zar

TNIKI

1865

VIRTVS · TENDIT · IN · ARDVA

PAMIĘTNIKI

1798—1865.

PAMIĘTNIKI

1798–1865

GUSTAWA OLIZARA

Z PRZEDMOWĄ

J. LESZCZYCA.

LWÓW.

NAKŁADEM KSIĘGARNI

GUBRYNOWICZA I SCHMIDTA.

1892.

Z drukarni i litografii Pillera i Spółki.

PRZEDMOWA.

Gustaw Olizar i jego prace 1798—1865.

W ostatniej swojej pracy zauważył Stanisław Tarnowski, że Opatrzność różnym częściom Polski jednej po drugiej, daje sposobność i warunki życia. W ten sposób, jeżeli cały organizm nie żyje jednakowo i krew po całym równo nie krąży, to część przynajmniej oddycha, żyje i dla wszystkich pospołu życie przeciąga.

W takich warunkach był Wołyń za Czackiego, było Królestwo, była Wielkopolska około roku 1840 i po nim *). Do lepszego poznania świetnej epoki Wołynia za Czackiego przybywa nowa pomoc w pamiętnikach i pracach Gustawa Olizara, który przez pięć lat przebywał w Krzemieńcu za czasów Czackiego, swego krewnego i w domu rodzicielskim go widywał. W Krzemieńcu tylko się uczył, do Krzemieńca w ciągu życia ciągle powraca,

*) Przegląd Polski z Lipca 1891, str. 88.

Krzemieniec opiewa. Z owoców ich poznacie ich.

Pamiętniki niniejsze obejmują zaledwie kilkanaście lat długiego życia Autora i dlatego postanowiliśmy dopełnić życiorys i dodać wzmiankę o jego licznych pracach literackich. Jedno i drugie było możliwem tylko dzięki łaskawym względom wdowy po autorze hrabiny Józefy z hr. Ożarowskich Olizarowej, która przez 25 lat z pietyzmem przechowywała rękopisy ś. p. męża swojego i pozwoliła nam z tych skarbów korzystać. Niechaj mi wolno będzie podziękować za to, że miałem sposobność poznać całą duszę i wszystkie myśli tego najznakomitszego może z pośród naszych marszałków szlacheckich, który ciągle rzucał się nie tylko do prac literackich, lecz i społecznych a pozostawał w stosunkach z wielu ludźmi głośnymi jak A. Feliński, Niemcewicz, Franciszek Morawski, Kropiński, Wincenty Krasiński, Kajetan Koźmian, Hołowiński, J. I. Kraszewski, J. Korzeniowski, H. Rzewuski, Padura, Moniuszko, Al. Przezdziecki...

Gustaw Olizar młodszy brat Narcyza, Kasztelana, urodził się r. 1798, rozpoczął nauki w Lyceum Krzemienieckiem za czasów Czackiego, lecz ciężko chory ojciec oderwał go

od nauk, aby zabrać ze sobą do Włoch. Po 6-letnim pobycie w Krzemieńcu, kończy edukacyą szkolną na drugim roku fizyki. Mając zaledwie lat 17 za zgodą umierającego ojca, żeni się z francuską, hrabianką Molo i osiada na wsi. Dopełnia swego wykształcenia czytaniem dzieł naukowych, w czem mu pomaga Alojzy Feliński znający go dobrze od dzieciństwa i namawiający do pracy literackiej. Olizar tłumaczy z autorów obcych jak Lafontaine, Delille, Lebrun, Parny, Millevoie, Casti, Arnault. Wierszyk tego ostatniego: „Listek“ ulubiony przez Kościuszkę, umieszczony został w pamiętnikach z dodatkiem, że ogładzony przez Felińskiego, drukowanym był w „Ćwiczeniach naukowych“ warszawskich.

Pisze oryginalne bajki jak n. p.

Motyl i pszczółka.

Choć latamy z sobą razem,
Rzekł do pszczółki motyl mały,
Ty masz cnoty być obrazem,
Ja zaś lekki i niestały.

Wszak i pszczółka,
Leci od ziółka do ziółka,
Zawsze zwinna, czasem płocha,
Rzuci fiołka, różę kocha.
Mnie zaś bez przyczyny,
Za równe łają winy!

Pszczółka na to: nie wiem za co
Jam poczciwa, ty ladaco?
Osądźmy się jednak szczerze
Czy nie przebierasz ty zioła?
Gdy przeciwnie pszczoła
I z bodiaka słodycz bierze.

Pisał i wiersze w stylu klasycznym jak n. p. do Kościuszki, w którym każe bohatorewi przemawiać do Stwórcy 36 wierszami, 13to zgłoskowymi. Wiersz do A. Felińskiego zawiera autobiografią pisaną współcześnie, kiedy pamiętniki zaczął pisać dopiero w 30 lat później. Nieraz przychodzi żałować, że do Felińskiego prozą nie pisał.

W świątyni nauk polskich za godną ofiarę
Na ołtarz Apollina zaniosą Barbarę;
Alfierego, Delila, przekłady szczęśliwe,
Wpoją miłość do wioski i cnoty prawdziwe.
Gdy piórem w krwi zbroczonem wyrok zbyt zażarty
Polaka z Europy wymazywał karty,
Twe pienia jeszcze wolnych ożywiały śmiałość.
Głosiłeś ich nieszczęścia, cnoty i wytrwałość.
Wodza ich opiewałeś, a z twej lutni tonu,
Umiał Polak Ojczyzny nie przeżywać zgonu;
Umiał ciernistą drogę w swem życiu obierać,
Łzę upuścić, krew wylać, lecz wolnym umierać!
A gdy zwalczone męstwo losom ustąpiło,
Tenże kir okrył naród i Twą lutnię miłą.

Opisuje dalej dolę porozbiorową:

Wtedy to los pomyślny, przyjacielu drogi,
Pierwszy Cię raz wprowadził w ojca mego progi·
Zastałeś mnie w kolebce niemowlęciem prawie
I takieś wyrzekł słowa: „Luby mój Gustawie,
„Dziś jesteś celem pieszczot, nadziei, obawy,
„Przynieś ulgę rodzicom! niech im los łaskawy
„Wlewając cnoty przodków w młode twoje lata
„Ujmie bolu, co sprawia ojczyzny utrata!
„Ach! niestety zbyt prędko poznasz co to człowiek,
„Dźwigacz mąk od otwarcia do zamknięcia powiek!
„Lecz rośnij, bądź cnotliwym w dalszym życia [biegu,
„Morze nieszczęść przepłyniesz i staniesz u brzegu
„Spokojny, bez wyrzutów czujnego sumienia,
„Darmo nosić nie będziesz Polaka imienia!“
Tyś skończył — jam Ci rączki wyciągnął [skwapliwie.
I dziecko poznać umie kto kocha prawdziwie. -
Odtąd wzrost mój, zabawy, igraszki dziecinne,
Uczucia młodej duszy, jak ona niewinne,
Wszystko się pod Twem okiem rozwijać musiało,
Inną postać i dusza przybrała i ciało.
Dziecko śmiałość już traci, wpół-człeka się zmienia,
Radby nazad powrócić, idzie od niechcenia
W dalszą żywota podróż, tam w bliskim zakresie,
Zwodnicza zaraz miłość złoty łańcuch niesie!
Nieszczęśliwy młodzieniec w sile zaufany,
Wdziewa na się z rozkoszą łudzące kajdany,
A gdy srogi miłości płomień go pożera,
Ze wzgardą on na przeszłość i przyszłość spoziera!
Później napływa przyjaźń — ten dar z nieba dany,
Uczy, jak ma ukochać, kto już był kochany;

Jak myśl zgaduje myśli, serce serca szuka,
Jak trudną i potrzebną pobłażania sztuka.
Bo prawdziwej przyjaźni niezmienne zasady,
Nie dość, że każą znosić, każą wydrzeć wady
Z serca, które kochamy, — tym przejęci celem;
Dopiero zwać się możem czyimś przyjacielem.
Wolno mi jest przypomnieć, jak wśród nieszczęść
[wielu,
Taką pomoc znalazłem w Tobie przyjacielu!
Gdym od zemsty niewdzięcznych srogi cios
[odbierał,
Gdy los dzieci, majątek, nadzieję wydzierał,
Kiedym życie przeklinał, gdym śmierci złorzeczył,
I na Boga wyrzekał, że mi skonać przeczył.
Moja łza w twoim oku drugą łzę ujrzała
Uśmiech spoczął na ustach, rozpacz oniemiała —
Któż ocenić potrafi tej błogości chwile?
Trzeba kochać prawdziwie, trzeba cierpieć tyle!

Słowa te uwalniają biografa od wspomnienia o smutnem pożyciu małżeńskiem Olizara z cudzoziemką, które skończyło się rozwodem.

Mogęż i to zapomnieć jakeśmy w jesieni,
Gdy mroźnym wiatr oddechem wioski postać
[zmieni,
Przy kominku, gdzie miły ogień się rozpali,
Swobodnie, bez obawy, nieraz rozmawiali.
Przykrzy-li-się rozmowa? książka miejsce bierze,
Najgłupsza bywa czasem na gładszym papierze;
I pewnym, że niejedna szafa zadziwiona,
Rassyna ma z bibuły — z welina Pradona!

Pan księgarz zna alfabet, a zatem Chomiński
Pierwej u niego stoi, niżeli Feliński,
Lecz błąd swój tem przynajmniej jak może
[naprawia
Że za nim gdzieś daleko Trembeckiego stawia itd.

Zadziwiającym u 20-to letniego poety jest epilog niedokończonego wiersza do Felińskiego.

Lecz ten Duch, u którego światy na skinieniu,
Wkrótce tamę położy człeka omamieniu,
Umilknąć każe sercu — rozumowi rządzić,
Duszy umieć się cenić — a sumieniu sądzić.

(dalszego ciągu brakuje).

W najstarszym brulionie znajduje się następujący nagłówek:

„Przypomnieć Pani Starościnie Czackiej oraz prosić Pana Gołębiowskiego, żeby robił wyciągi krótkie z dzieł różnych sławnych Polaków, któreby tylko w bibliotece Czackiego Starosty znajdowały się; także rady piśmienne i słowne zasięgać od księdza Osińskiego“.

Poczem idą niektóre życiorysy ręką Olizara pisane, a przy Koperniku dopisek:

„Dać opisanie ważniejszych kawałków dzieła (de revolutionibus) i inne o nimże czynić dostrzeżenia, jakoteż powodów, dla których w języku łacińskim pisał.“

Są i życiorory po francusku pisane jak np. Marcina Kromera, A. Felińskiego, które naprowadzają na myśl, że zamierzał wydać po francusku dzieło o Polsce.

Gdy kolega jego Teodozy Sierociński przetłómaczył Salustiusa, Olizar dał nakład na wydanie tej pracy, a później uczynił to samo z dziełami Felińskiego. Feliński umiera, a Olizar po rozwodzie z żoną coraz więcej przebywający w Krzemieńcu, zawiązuje wraz z kolegami towarzystwo p. t. złączonych przyjaciół Felińskiego, którego głównym celem miało być zajęcie się losem pozostałej po nim familii i kierunkiem umysłów młodzieży, tak mocno czującej wtedy poniesioną stratę swego dyrektora.

W dzień imienin zmarłego Felińskiego d. 21. czerwca 1820 r., miał Olizar przemowę do złączonych jego przyjaciół, która za pozwoleniem cenzury wydrukowaną została.

We wzniosłej i patetycznej mowie wzywa bóstwo opiekuńcze Polski, rozmawia z duszą zmarłego i kończy: „My zaś, gdy mimo zaciętości losów z Tobą rozmawiamy, dajemy Ci na smutne wiązanie przysięgę w obliczu Boga złożoną, że... każdy młody Wołynianin wiedzieć nie przestanie czem ma pocieszać święte cienie Czackiego i Twoje!“

Po tej przemowie następuje zaraz list do Redakcyi Pamiętnika Warszawskiego o potrzebie wykrycia dawnej i zmienienia w części używanej dzisiaj prozodyi języka polskiego, która przez nałogowe przedłużanie przedostatniej syllaby, w każdym wyrazie niszczy harmonią a poniekąd tamuje i postęp poezyi. Pierwszą okazyą do tej pracy (o 14 stronach bitego pisma in 4to maj.), była rada pisowni Felińskiego, aby każdy proponowane przez siebie odmiany w pisowni, ogłaszał a złe racye upadną, dobre utrzymają się i z samej rozmaitości utworzy się jednostajność. Bezpośrednią zaś pobudką był artykuł o miękkości i twardości języka polskiego. Olizar przyznaje wyższość prozodyi czeskiej i ruskiej a nawet rosyjskiej nad naszą, ostatniej z powodu, że naśladowała grecką harmonią; rozbiera krytycznie wiersz Żukowskiego a jako muzyk i nutami się posługuje. Zostawiam p. A. Małeckiemu ocenę tej pracy, która drukowaną nie była. Dla autora piszącego przed Mickiewiczem, Feliński sztukę odlewania wierszy, jak się wyraża, do najwyższego doprowadził stopnia.

Poznano się rychło na tak wiele obiecującym młodzieńcu: szlachta wołyńska wybrała go gubernialnym marszałkiem, lecz gubernator

Giżycki nie potwierdził tego wyboru z powodu małoletności wybranego.

Nasz poeta udaje się do Warszawy, gdzie u swego krewnego Krasińskiego zapoznaje się z całym obozem klasyków. Do szczegółów o tym obozie znajdujących się w pamiętnikach, dodam niektóre z innych rękopisów. W liście do K. P. (zdaje się Konstantego Przezdzieckiego szwagra swego a ojca wielce zasłużonego hr. Aleksandra) posyłając mu urywki z tłomaczenia Zairy Woltera pisze: „Bawił w Warszawie obywatel z Wołynia i Ukrainy niejaki Jaxa Marcinkowski. Był to poczciwy i zacny człowiek, ale rażony monomanią pisania i drukowania złych wierszy. Stał się więc wtedy pastwą naigrawań większych i mniejszych dowcipków, do których niestety i ja należałem. Jak więc w ostatnich czasach panowania Stanisława Augusta, Niemcewicz i inni prześladowali smutnego poetę Marewicza, tak teraz Osiński, Morawski i Koźmian bawili się Marcinkowskim a do tej obławy i nas mniejszych poetów nieraz zapraszano. Pierwsze więc moje dowcipkowe popisy ofiarowane i rozgłaszane były przez tę literacką warszawską koteryą".

Bawiono się w bohaterów greckich. Krasiński pisze raz do Olizara, że Jaxa zupełnie

już ich zwycięża, że on (Olizar) tylko jeden może być Achillesem, co tego Hektora pokona, że Ajax (Morawski) Nestor (Koźmian) Ulisses (Osiński), ręce już opuścili i dalej zabierają się do ucieczki, jeśli on dłużej od ich zastępów oddzielać się zamyśla. Wezwanie to nie było daremnem. Olizar gromi rubasznym wierszem Jaxę i pisze nadto bajkę:

Wilk (Morawski), Kot (G. Małachowski), Jastrząb (Krasiński), Wąż (Olizar) i Dudek (Jaxa).

Dla jakiegoś tam hałasu,
Wyleciał dudek z lasu
I na drodze spotkał wilka.
„Już niedziel kilka"
Rzecze z uśmiechem,
„Jak się z niemałym wybieram pospiechem,
By pana mego powitać".
— Cóż cię tu prowadzi, jeśli wolno spytać,
Rzekł wilk. — Miłość dla zwierząt; w tym [względzie
Przyszedłem się pochwalić, miło ci to będzie
Słyszeć żem tyle spiewał, żem tyle się trudził,
Aż człekam znudził!
— Ta szlachetna pobudka
Godną jest dudka,
Wilk mu odpowie, a gdy tak chwali,
Łasnął go łapą i puszcza dalej.
Wtem jastrząb zlatuje,
Wita, całuje,

Zaprasza na śniadanie, tudzież zapowiada:
Zobaczysz węża twego sąsiada.
Jakoż w tej chwili
Kiedy się wszyscy prawie zgromadzili,
Do opowiadań nasz się dudek bierze,
Lecz wąż, to znane najzjadliwsze zwierzę
Przerwał: zaczekaj na kota
Wszak to wielki patryota!
Wtem i kot nadszedł naostrzywszy uszy;
Tedy dopiero dudek się puszy,
Że wszystkich razem o swem uwiadomi dziele;
Rozprawia zatem — leczy czy za mało,
Za dużo, czy za nudnie... zgoła przyjaciele,
(Co za sromota!)
Ów wilk, kot, jastrząb nawet wąż niecnota,
Tak go pieścili,
Tak go chwalili,
Że mu na grzbiecie piórka nie zostało!
Zoil zaś mówi: wy o tem nie wiecie:
To się zdarzyło pewnemu poecie.

Pisma warszawskie musiały drukować wiersze Olizara skoro tenże obrażony jakiemś pochlebstwem niezgrabnem w Pamiętniku warszawskim napisał:

Wychodź, mówię, zły wierszu, kiedyś tak uparty,
Znajdziesz zawsze dla siebie Pamiętnik otwarty.

Biblioteka humorystów mogłaby przedrukować: Podróż na Parnas i Jaxiadę poemat bohatersko-komiczny, który miał być w sześciu

księgach napisany a zostało się autorowi tylko dwie i część trzeciej. Olizar sam o niej pisze w brulionie: „Pisało się to w Warszawie podczas otwarcia drugiego sejmu przez ces. Aleksandra Igo. Stąd niektóre alluzye czyli zastosowania do miejscowych politycznych okoliczności.

„Bohaterem poematu był jak zawsze Kajetan Marcinkowski przydomku Jaxa, człowiek najpoczciwszego charakteru, obdarzony cnotą towarzyską, przyjmowania przyjacielsko wszystkich rodzajów żartu! Nieszczęśliwa pasya jego od pisania wierszów, nadała mu cechę śmieszności, z której się otrząsnąć nie mógł do ostatnich dni życia swego. Marcinkowski wyrównywający talentem Bielawskiemu, to miał tylko nieszczęście, że go nie Trembecki ani Niemcewicz napadał, lecz człowiek, którego poetyckie zasługi w mało co wyższym rzędzie do Jaxy stawiały, człowiek, który za to tylko miał prawo prześladować go, że jednej z nim będąc prowincyi nie chciał by się dobre człowieczysko w nędznego wieszcza przemieniało. Było to wprawdzie z mej strony próżniactwo, może i nadużycie; lecz jeżeli czytelnik dozna jakiej przyjemności w przejrzeniu rzeczonej fraszki, niech raczy pamiętać, że ją napisałem

dla Niemcewicza, Morawskiego, Koźmiana, Krasińskiego, przyjaciół znających dobrą duszę Marcinkowskiego. Oni wraz ze mną i przy nim naśmiewali się tylko z metromanii jego; a razem z nami niech ów czytelnik odda hołd należny poczciwości i charakterowi prześladowanego bohatera". Jako rysownik illustrował zbiorowy poemat: „Niesnaski Parnasu". Więcej zajmującem od Jaxiady zdaje mi się jeszcze jego poema heroiko-komiczne pod tytułem „Czarnomorska wyprawa", chociaż nie miało rozgłosu Jaxiady, lecz ma zato charakter lokalny w opisie wielkopańskiego dworu Koresteszowa i jego rezydentów. Poemat ten miał także zawierać 6 ksiąg, lecz zostało się tylko 2 i pół. Na początku zużytkował poeta szczęśliwie pierwsze wiersze wielkich epopei tłómaczeń Dmochowskiego, Przybylskiego i innych.

Zaocznie wybrany Kijowskim gubernialnym marszałkiem przez 400 polskich obywateli, w tymże r. 1821 udaje się do Kijowa dla objęcia urzędu. O mowach jego marszałkowskich nic powiedzieć nie mogę, gdyż w papierach się nie zostały; wiadomo tylko, że zajmowały się ulepszeniami administracyjnymi, zalecały składki na Kijowski katolicki kościół, który był zarazem pomnikiem. W sprawach

swego urzędu udaje się do Petersburga, lecz car go nie przyjął wskutek szpiegowskich doniesień jakoby mowa jego przy powtórnych wyborach na marszałka, miała być podejrzaną.

Nasz marszałek i dziedzic licznych włości miał chrześcijańskie i poetyczne uczucia względem włościan.

Kiedy Fr. Morawskiemu urodził się syn, Olizar z obfitości serca odlał 200 wierszy. Do kolebki przychodzą rozmaite stany a zatem i włościanie.

Ale wieśniak znękany drżące wlekąc nogi,
Zaledwie mógł przestąpić pańskich gmachów progi,
Zbliżył się i w kolebkę kawał włożył chleba,
A stargane już ręce podniósłszy do nieba,
Wyrzekł z płaczem: „Mój Boże, wielki świata Panie,
Ty widzisz, czy na większą ofiarę mię stanie.
Dzielę się mym majątkiem, niech to dziecię za to
Przez swą dobroć, prac naszych stanie się zapłatą,
Niechaj wie, że przynajmniej litować się godzi,
Nad tym, co karmiąc drugich, sam zgłodniały [chodzi.
Moje drogie paniątko, bądź ty dobrym panem,
Ulituj się nad nędznym włościanina stanem,
I pomnij że ojczyźnie, że Bogu Polaków,
Ścisły oddasz rachunek z łez twoich wieśniaków".
Rolnika uścisnąwszy, rodzice w tej chwili
Za syna, słowa starca przysięgą stwierdzili.

W bajce zaś przerobionej z francuskiego: „Wąż i osa", w której wąż zrozpaczony dokuczli-

wością osy, siedzącej mu na głowie, ciska się pod koło, by zginąć wraz z osą, umieszcza dodatek:

Wam to dziedzice wiedzieć nie wadzi,
Do czego rozpacz prowadzi.

Kiedy dowiedział się o krzyczących nadużyciach ze strony obywatela względem włościan, nie bronił go wobec rządu; te nadużycia dały mu pochop do zajęcia się myślą oczynszowania włościan, w czem niestety dwóch tylko marszałków powiatowych podzielało jego zdanie.

Kochliwy poeta, który przejmował się uczuciami platonicznymi względem wielu pań i opiewał ich wdzięki, zakochał się w Moskiewce, córce generała, chciał się z nią żenić, oświadczył się ojcu, z którym był w wielkiej przyjaźni nawet po odmownej odpowiedzi, a Beatrice niewiedziała o niczem. Podobnie rzecz się miała w głośnej wówczas powieści P. Krüdener „Walerya". Marszałek był przez kilka lat prawdziwym Gustawem z Dziadów; z rozpaczy ucieka do Krymu z zamiarem puszczenia się dalej, osiada jako pustelnik i plantator koło Ajudahu, opiewa swoją boleść. To romantyczne patos musiało być głośnem i doszło do Mickiewicza, zwiedzającego wówczas Krym,

natchnęło go ostatnim krymskim sonetem: Ajudah.

„Tak i ty również o poeto młody!"

Na sonet odpowiedział Olizar długim, szumnym wierszem, w którym morze i Tatarzy wielbią Adama. Nasz Gustaw, któremu najznakomitsi patryoci dali obywatelską dyspensę na zamierzone małżeństwo mięszane, które wówczas i ze strony kościelnej było możliwem, zaczął jeszcze w Kijowie pisać Świątynię Boleści. Poprzedza ją Sen, w którym rozgrywa się kolizya między miłością Ojczyzny i Maryli należącej do rodu nieprzyjaciół ojczyzny.

Wpływ Mickiewicza pod wielu względami jest widoczny. Oto kilka strof z długiego Snu, który poeta Zmorą później nazwał.

Okropna minęłaś nocy,
Jakie srogie tkwią wrażenia,
Z martwej odchodzę niemocy,
Ledwie czuję życia tchnienia.

Miecz zabłysnął, już, już spada,
Utopi swe ostrze we mnie,
Ciało me sobą nie włada,
Unieść życie chcę daremnie!

Skuty ciężkimi kajdany,
Ostatki siły natężam,

Wstaję — padam — naprzemiany
Zrywam się, łamię, rozprężam.

Gdy nakoniec tchu niestaje,
I zgonu nadchodzą cienie,
Życie śmierci w hołdzie daję,
Łzę ostatnią i westchnienie.

. . . .

Maryla na mojem łonie,
Słowo „kocham“ wyrzec miała!
Wtem niebo ogniem zapłonie
I ziemia wstrząsła się cała.

I z rozpadłej ziemi łona,
Niewiasta w bieli odziana,
Cierniem laury uwieńczona,
Cała wyszła zapłakana.

W jednym ręku miecz trzymała,
Drugim odsłania swe blizny;
Uchodź! uchodź! zawołała,
Jestem cień twojej ojczyzny!

Jeszcze ta krew nie ostygła,
Co własne przelały dzieci,
Wkrótce może już doścignie,
Mej zemsty doba zaświeci.

A gdy inne moje syny,
Będą obcych łamiąc szranki,
Na mym grobie siać wawrzyny:
Ty je zerwiesz dla kochanki.

Muza poety najwyżej wzniosła się w Świątyni Boleści. Jest to co do treści naśladowanie Dantego i opis zagrobowych katuszy, w których umieścił zdrajców ojczyzny, niektóre damy a nareszcie przedmiotowo w osobie jakiegoś potępieńca przedstawił w 100 wierszach katusze własnej zawiedzionej miłości.

Daruj Ojczyzno moja że rozpaczy pienie,
Zbyt często Twoje z grobu wywołują cienie!
Lecz ja na Twoim strasznym nie byłem pogrzebie,
Nie znałem Cię szczęśliwą, nie widziałem Ciebie!
Tyś na świat nas wydała, już przy samym zgonie,
Nie my zbójcze żelazo w twem utkwili łonie,
A jeśli stos Twój bracia zapalili nasi,
Może potok łez naszych ostatki ugasi.

Cały poemat ma 800 wierszy. Wiele w nim jest głębokich myśli i czyta się go z zajęciem i nie bez wzruszenia. Skoro Beatrice poszła za mąż, napisał znajdującą się w pamiętnikach: „Rozpacz“. Ostatni szczególniej wiersz: „ty ślubny pierścień dasz mi w ziemi łonie“, przypomina podobną myśl Mickiewicza.

Do tej epoki należą wiersze drukowane w 2 tomikach w Wilnie pod tytułem „Spomnienia“, których o wiele więcej pozostało niedrukowanych. W rękopisie są one poprzedzone dedykacyą rymowaną do tej, która je natchnęła, Rosyanki.

Sobieszczański pisze w życiorysie Olizara umieszczonym w encyklopedyi Orgelbranda, że wiele wierszy jego uczono się na pamięć. Sądzę, że do ich liczby należeć musiało „Życie", o którem dowiedziałem się z ustnej tradycyi, że czytane było Padurze, który radził, żeby poprzestać na 6ciu strofach i tak też wydrukowanem było we Spomnieniach.

ŻYCIE.

Trafem do łodzi życia wtrącony,
Płynąłem razem z innymi,
Nie wiedząc w jakie zostanę strony,
Uniesion wiatry sprzecznymi!

Zrana pamiętam pogodne zorze,
Różaną szatę rozwiły,
Błyszczało zdala spokojne morze,
Chmury się wszystkie ukryły.

Jedni w pogodę wierząc niezmienną,
Szczęścia się nurtom oddali,
Widziałem jako przestrzeń bezdenną,
Z nadętym żaglem mijali.

Drudzy i takich liczyłem wielu,
Bez steru byli i wiosła,
Nie mieli życzeń, troski, ni celu,
Jednakże woda ich niosła!

Niewiem czy tamci zachwycające,
W żegludze mieli widoki,

Jam tylko widział wierżby płaczące,
I mchem porosłe opoki!

A jeśli czasem spragnione oko,
Powabny ujrzało kwiatek,
Choć rósł na brzegu — to za wysoko,
Mijać go musiał mój statek.

Po 2 latach arcyromantycznego życia na Krymie powraca do siebie, aby najniesłuszniej być wywiezionym do Petersburga i osadzonym w Petropawłowskiej twierdzy. Pokazało sie, że nie należał do dekabrystów i uwolniony, postanawia powracać na Krym do swojej pustelni a chcąc umysł pracą pożyteczną zająć, bierze ze sobą Anglika w roli sekretarza i nauczyciela języka angielskiego (miał wówczas lat 28.) Zaledwie powrócił do majątku swego, na żądanie W. ks. Konstantego zostaje odstawiony do Warszawy na nowe więzienie i śledztwo.

Na tem kończą się pamiętniki, lecz gdy Stanisław Zamoyski prezes Senatu i komisyi śledczej w pamiętnikach w niekorzystnem przedstawiony był świetle, Olizar następnie napisał o nim przypisek, który jako nader zajmujący i prostujący pierwotne zdanie o Zamoyskim, zamieściliśmy na str. 278 niniejszego „Pamiętniku".

Po uwolnieniu z więzienia i po powrocie do domu wraz z ojcem swojej ex-Beatrice, która w ciężkich robotach w kopalniach Sybirskich mężowi swemu towarzyszyła, udaje się do kąpiel Kaukazkich. Prawdziwy los Czeczeńca, natchnął go do powieści poetycznej „Setyr.“ Bohater jej, Setyr, dzieckiem porwany i wychowany przez Rosyan, opuszcza swoich chlebodawców i staje w szeregach nieznanych sobie rodaków. Autor poprzedza zwykle swoje utwory wstępami i pisze tutaj: „Opatrzności to jest widoczną sprawą, że dobrodziejstwa osobiste wywołujące wdzięczność, nie przytłumiają nigdy wrodzonych dla Ojczyzny obowiązków. Ciągłe tego mamy dowody w późniejszem postępowaniu niemowlęcych brańców, tak Czerkiesów jako i Polaków. Może to głos samej natury, wilk chowany etc.“

Nieraz przychodzi żałować, że Olizar, rówiennik Mickiewicza, nie przechodził twardej jego szkoły uniwersyteckiej w Wilnie, że nie miał Borowskiego profesorem. Osiada na wsi, zajmuje się wychowaniem syna i posługami obywatelskimi. Skoro zaprowadzono tak zwane sądy sumienia (będące czemś pośredniem między sądem przysięgłych a sądem pokoju), Olizar został wybrany prezesem tej magistratury i bierze się

do studiowania początku ducha i stopniowego rozwoju tej instytucyi zaprowadzonej w Rosyi jeszcze w wieku przeszłym. Ztąd w memoryałach do rządu proponuje praktyczniejsze przeobrażenie tych sądów. Prozą z wierszem koresponduje z przyjaciółmi jak z Kropińskim, który mu przysyłał urywki ze swojej sztuki rymotwórczej. Syna odwozi do Krzemieńca, gdzie ma przyjaciół literatów: Józefa Korzeniowskiego, Ksawerego Godebskiego, późniejszego kustosza Zakładu im. Ossolińskich, Stanisława Worcla. Z nim to i z bratem Narcyzem postanawiają śmieszno-uczonymi komentarzami illustrować poemat Marcinkowskiego „Rzeki Polskie“. Korzeniowski wziął Niemen, Godebski Wisłę i t. d.

Praca Olizara, tym razem prozą, kwalifikuje się znowu do biblioteki humorystycznej. Zbierano się co tydzień, a Korzeniowski jako profesor literatury nadawał pewną jednostajność zbiorowemu wydawnictwu, Worcel przygotował rysunki do drzeworytów, którymi ozdobione być miało. Powstanie Listopadowe przeszkodziło wydrukowaniu tych już do druku przygotowanych fraszek. — Nie mające się drukować pamiętniki przybierają ton romantyczno-sielankowy. Olizar wyszedł już ze świątyni boleści znalazłszy godną siebie oblubie-

nicę. Wprzódy żegna się z dawną Marylą która w poezyi nazywa się także Amirą.

Dawniej Amiro! nieszczęście dzieliło
Dwa serca czułe, ale godne siebie,
Jam się truł płonną nadzieją, lecz miłą.
Ojczyzna moja odstręczała Ciebie.

Dzisiaj nas więcej rozdzielać powinno,
Szczęście co przecież dom mój powitało,
Mnie kocha inna i ja kocham inną,
I kraj mój inną zajaśnieje chwałą.

Szczęście jakie znalazł w małżeństwie z Józefą z hr. Ożarowskich sam niechaj opowie.

HYMN

(ostatnie 4 strofy.)

Panie! którego wszechwładnej wielkości
Same niebiosa ogarnąć nie mogą,
Spojrzałeś na mnie! skaza doczesności
Już mojej duszy nie napełnia trwogą,
I już niepomny, żem ziemi tułaczem,
Dzięką Cię witam — wprzód wzywałem płaczem.

Bez wiedzy Twojej cud się ten nie zrobił,
Tyś moje serce upodobał sobie;
Tyś mnie przez rozpacz do szczęścia sposobił;
Wstał nędzarz z martwych i stanął na grobie!
I oczy wznieść się do nieba nie boją,
I duma moja jest wielkością Twoją!

Tworzyć z niczego Twoim to udziałem,
Twoją czuć łaskę serce moje zdoła,
Ale jej pojąć nie śmiem i nie śmiałem,
Wszak widzialnegoś dodał mi anioła!
Tak gdy nadludzką uwieńczasz mię dolą,
W miłość zamieniasz i wolność i wolą!

Z pokorą Panie Twe przyjmuję dary,
Lecz jako Twoje niech będą wiecznemi!
Wspieraj mnie duchem silnej niebian wiary,
Dziś mi tak trudno nie pokochać ziemi!
O dar ostatni błagam Ciebie szczerze,
Wątpię, ach! w większe szczęście niech [uwierzę!!

Kiedy wybuchło powstanie Listopadowe, jako człowiek wpływowy zostaje wywieziony w głąb Rosyi do Kurska, lecz tym razem towarzyszyła mu małżonka. Uwolnieni po upadku powstania udają się do Włoch, zimują w Rzymie równocześnie z Ankwiczami i w dzienniku Ewuni są częste wzmianki o Olizarach. Powraca do kraju a będąc w przyjacielskich stosunkach z generał-gubernatorem Guriewem przedstawia mu w r. 1836 memoryał, gdy Guriew udawał się do Petersburga. Z godnością i z roztropną śmiałością wykazuje prześladowania religijne, o czem już poprzednio do gubernatora pisał. W rozdziale o wychowaniu

wykazuje, że Kurlandya, Finlandya, Tatarzy, Gruzińcy a nawet Żydzi mają przywilej uczenia się macierzyńskiego języka w początkowych i gubernialnych szkołach; my jedni rozsiedleni na znacznej przestrzeni posiadamy jedną katedrę literatury polskiej w Kijowie.

Dotkliwszem to jest gdy zakłady edukacyjne, nie wyłączając uniwersytetu Kijowskiego, (założonego z funduszów krzemienickiech) były utworzone z dobrowolnych ofiar majątków prywatnych; tym sposobem zapisy testamentowe i warunkowe donacye zostały ekstra-prawnie zniszczone. W podobny sposób przechodzi sądownictwo, sąd sumienia i komisyą rewizyjną dekretów szlacheckich deputacyi wywodowej. Praca to dowodzi sumiennych studyów i erudycyi a przedewszystkiem miłości kraju. Kraszewski rozpoczął wydawać Ateneum, o którem sam powiedział: „Pierwszem jego zadaniem było zwrócenie umysłów na drogę idei religijnych zdrowych, a tępienie niedobitków wyobrażeń i przekonań 18go wieku. Ateneum stanęło do walki z materyalizmem młodej Europy“. Zaprasza do pisania Olizara, który oddawna stał już na gruncie szczerze chrześciańskim. Nasz poeta zawsze skromny, w odpowiedzi do Kraszewskiego, jako poeta, porównuje się

do strzelca gościa, co z prochu i śrutu rachuby nie zdaje. Posyła Pielgrzymki, w których przeplata rymy jednozgłoskowe z rymami zwyczajnymi i pisze: „Będą mię sądzić ach! wiem to! byle nie Magdeburskim sądem. Gdyby zaś i to nastąpić miało, przyjm Panie wtedy na siebie moją obronę i zacytuj to factum, że kiedy magistrat pewnego miasteczka kazał za złodziejstwo ślusarza, powiesić kowala (dlatego że kowalów było dwóch a ślusarz jeden) to i mnie warto oszczędzić póki prawie samopas tego gatunku rymowania używam“.

Część Pielgrzymek była drukowaną w Ateneum, chociaż pisaną jeszcze w epoce nieszczęśliwej miłości, podobnie jak Świątynia Boleści. Sam poeta w niedrukowanej przemowie tłumaczy dlaczego chcąc opierać miłość i dzieje ojczyzny a nie obrazić cenzury sięgnął czasów odległych.

Czytelnicy domyślili się jednakowoż, że Askold namiestnik Olgi, to właściwie Bibików, a starożytni Mirczanie to Polacy. Dla Ateneum spolszczył znakomitą powieść Nicolo de Lapi, lecz ograniczył się na obszernem streszczeniu powieści Azeglio i na podaniu ostatniego rozdziału. Przejąwszy się homeopatyą, przetłomaczył rozprawę dr. Doin i sam o niej pisał.

Dr. Karol Kaczkowski kolega Krzemieniecki i przyjaciel, późniejszy lekarz naczelny wojska polskiego w r. 1831, zaczepiony przez Olizara chcącego go nawrócić do homeopatyi, odpisał mu uczonym listem o 50 stronach. Z listu tego dowiadujemy się, że Michał Wiszniewski był ich kolegą. Nie mogę się oprzeć pokusie by nie zacytować kilku słów z tego listu: „Sztuka lekarska, rozum i serce zajmująca, nie mogła Ci być długo obojętną. Świątynia Eskulapa dla takich jak p. Gustaw otwartą jest zawsze. Jej kapłani przyjmą Cię z lubą otuchą, iż jak oni z pokorą religijną niedokładność istniejących wiadomości czuć będziesz i jak oni dzieła Stwórcy cierpliwie, dokładnie i sprawiedliwie śledzić nie przestaniesz. Pod tem hasłem, witam Cię zacny przyjacielu na progu wspólnego nam teraz przybytku. Pomówmy z sobą z tą godnością, jaką miejscu, nauce i nam samym winniśmy“.

Po medycynie przyszła kolej na filozofią religijną.

Tłumaczy wyznania Sgo Augustyna; przetłumaczywszy 1szą księgę dowiaduje się, że całe dzieło wyszło w Wilnie, musiał więc swej pracy zaniechać a natomiast układa rozprawę p. t. „Duch wyznań Śgo Augustyna“. W przed-

mowie pisze: „Cieszmy się, że i u nas *pospolite mędrców* ruszenie zbiera się na polach filozofii; że sobie dobierają wodzów w różnych szkołach poza granicami kraju nieźle ćwiczonych, oddajmy cześć ich światłu, ich poczciwej chęci, ale wprzód nim ich do twierdzy serc naszych wpuścimy spytajmy o hasło. Bo od czasów Homerowskiej bajki, żaden podobno już naród murów bezpieczeństwa swego nie rozwalał dla sprowadzenia drewnianego konia, ogromem podziwianego, a kryjącego we wnętrzu zniszczenie.

Tak więc bez urazy, bez przesądu pytam was naczelnicy szkoły polskiej filozofii, jakież to dary Troi naszej przynosicie? Pięknym jest wprawdzie i drogocennym skarbem rozum posiłkujący uczucie i wiarę, która jest niczem innem, (pod względem ludzkim) tylko tychże uczuć najwyższą potęgą, — ale rozum najezdniczy, niszczący i burzący wszystkie budowy odwiecznego spokoju, musi wprzód dać nam zakład swoich narzucanych dobrodziejstw, nim go za oswobodziciela ciemnoty przyjmiemy i przywitamy. Powiedźcie mi, czyście wynaleźli jedną myśl, jeden nowy uczynek do szczęścia ludzkiego prowadzący, któryby opuszczony został w prawach objawienia? czyście istność

Boga i boskość w człowieku lepiej, inaczej i na inny koniec objaśnili, jak na to ażeby duch zawsze przodkował ciału i stopniowo zwierzę się w anioła zmieniało i t. d.".

Kiedy Henryk Rzewuski wydał Mięszaniny Jarosza Bejły, Olizar, który z nim w najlepszych był stosunkach, czynił mu wyrzuty za te brudne farby mistrzowskiego jego pędzla, jak sam tę rozmowę opisuje.

„Cóżem złego uczynił, odrzekł Rzewuski, żem wywołał oburzenie? więc naród żyje! byłby umarły, gdyby milczał!" Dalszego ciągu tej rozmowy obecnie wydrukować nie możemy, chociaż będzie ona kiedyś kęskiem nie lada dla historyków Bibikowa i zabranego kraju. Olizar pisze odpowiedź Rzewuskiemu pod tyt.: „Pomięszanie Jarosza Bejły", które wyszło w Wilnie r. 1842.

O dalszej polemice z Rzewuskim sam nas zawiadomi: „W rok później, gdy wyszedł tom II-gi Mięszanin, w którym już było mniej do brych ogólnych uwag, a więcej przymilania się ohydnemu rządowi, napisałem również recenzyą p. t. Recydywa Jarosza Bejły. Ale gdy cenzury Wileńska i Petersburska, rok cały trzymając mój rękopism, odesłały mi go wre-

szcie z tylu pomazaniami, że cechę pisma tego zupełnie zmieniały, postanowiłem je w kraju nie drukować i przygotowałem był dwie przemowy: pierwszą wskazującą umyślną opieszałość cenzury, drugą wyjaśniającą rodzaj operacyi w krajaniu czy wycinaniu podanych pod jej nóż żyjących nieco utworów. Lecz przez zbieg okoliczności, gdy recydywa i za granicą wydaną nię była, pojawił się najbezecniejszy utwór tyle skądinąd szanowanego autora Soplicy i Listopada p. t. Pamiętniki Bartłomieja Michałowskiego.

Ponieważ to ostatnie pismo, lubo należycie w ulotnych wolnych dziennikach ocenione, przybrało postać bibliotecznego w 8miu tomach drukowanego dzieła, oraz formę rzeczywistych pamiętników, których wszakże celem było spaczenie wszystkich wyobrażeń, sprawiedliwie dotąd powziętych o ostatnich smutnych wypadkach nieszczęśliwego kraju naszego, ponieważ zamiarem zmyślonego pseudonima było potępiać to i w tych, których dotąd naród szacował, a wychwalać niecnotę czynności powszechną pogardą potępioną, umyśliłem przeto napisać recenzyą tych ostatnich pamiętników, dla zostawienia śladu przyszłym bibliomanom, że w czasie wyjścia tej książki z druku, ode-

zwał się żyjący owoczesny świadek, iż ona jest wierutnym fałszem.

Miałem więc przedrukować Pomięszanie wydać Recydywą, dołączyć krytykę Pamiętników Michałowskiego p. t. Mormonizm J. Bejły z osobną przemową do Henryka Rzewuskiego, który czytanie tej ohydnej książki uprzejmie rodakom zalecał". Książka ta dotychczas wydaną nie była. Recydywa oprócz szlachetnej i mądrej treści swojej, wykazuje wszystko co cenzura chciała wykreślić i to co z własnego pomysłu dodać pragnęła i z tego powodu będzie to zabytek humorystyczny prześladowania rosyjskiego.

W r. 1843 odbył podróż na Litwę którą opisał w listach do żony; Dolina Kowieńska natchnęła go do powtórnego uczczenia Mickiewicza.

Przygotował życiorys Czackiego dla encyklopedyi Wileńskiej. W czasie sejmu Frankfurckiego w r. 1848 pisze po francusku broszurę w formie listu pisanego do zgromadzenia niemieckiego. Tłómacząc ten zdaje się niedrukowany list, w starości na język polski poprzedza go temi słowy: „Od 1840 roku po dzisiejsze smutne chwile (1864) pisma moje

wierszem czy prozą wyłączniejszą miały cechę politycznych rozpraw, z czego wykreślić nie mogę ani libretta opery p. t. Wanda, ani tłómaczenia tragedyi z niemieckiego p. t. Szermierz z Rawenny przez Münch-Belinghausen pod pseudenymem Halma wydanej. W operze albowiem: Wanda, lubo się nie trzymam ściśle bajeczno-historycznej tradycyi, mam jednakowoż na celu wystawienie, że godłem narodu było, jest i będzie: ofiara i poświęcenie się. W Szermierzu z Rawenny role Thusneldy i wynarodowionego syna Arminiusa, zupełnie zastosować się mogą do smutnych okoliczności kraju naszego, któremu nieba nie oszczędziły Kaligulów i innych potworów pod nazwiskami Bibikowa i Murawiewa, Bährensprunga etc., jakoteż zmoskwiczałych lub zniemczałych od lat dziecinnych krajowych odstępców etc."

Pielęgnując w Hyéres chorą żonę, pisze praktyczne rozmyślania, któreby należało wydrukować, gdyby katolicy u nas czytali książki religijno-moralne jak to czynią na zachodzie.

Muzyków interesować będzie korespondencya ze Stan. Moniuszką, którego Halkę (libretto) tłumaczył na język włoski i pragnął by zagranicą mogła być przedstawioną.

W r. 1852 za pośrednictwem Orłowa przedstawia ces. Mikołajowi projekt oczynszowania włościan i banku włościańskiego. Obszernie umotywowany projekt był przedmiotem obrad w ministeryum, lecz wojna krymska przeszkodziła wykonaniu go. W kilka lat później w Cieplicach zjechał się z dobrym znajomym swoim, ministrem Norowem, który znowu zażądał owego projektu oczynszowania włościan, a nadto otrzymał memoryał domagający się przywrócenia lyceum krzemienieckiego i języka polskiego i polemizujący z tymi, którzy zaprzeczali polskości zabranym prowincyom naszym.

Pod psudenimem Anastasios pisywał do belgijskiego dziennika: „Le Nord“, a sam opowie z jakiego powodu: „Kiedy rząd rosyjski w r. 1857 czy 8. rozpoczął był uorganizowanie gubernialnych komitetów dla podania projektów do urządzania gmin i uwłaszczania włościan, wydało mi się potrzebnem do działania na opinią publiczną przez wpływ gazety zagraniczej, temuż jednak rządowi sprzyjającej, dziennikowi Le Nord, myśli moje w kształcie listów udzielać“. Autor tych listów sam je na język polski przełożył. W tym przedmiocie pisał list cyrkularny do trzech marszałków.

Radzi odstąpić przywileju propinacyi, albowiem kieliszkowa intrata podliła i znikczemniała obywatelski charakter dziedziców. Napędza do najrychlejszego przywiedzenia do skutku ówczesnej myśli rządu.

Będąc obecnym na posiedzeniu komitetu kijowskiego w r. 1858 w sprawie włościańskiej zabrał głos i mowę tę nader długą przechował. Gawędy Pana Jacka drukowane w „Tygodniku Petersburskim“ pod imieniem A. Filipowicza miały wielkie powodzenie. Pod lekką formą humorystyczną, utwór ten Olizara zawiera cechy głębokiej, delikatnej obserwacyi. Miał także pisać do Ruchu muzycznego, a dla Dziennika Warszawskiego wychodzącego pod redakcyą Henr. Rzewuskiego przygotował obszerne sprawozdanie i tłómaczenie niektórych rozdziałów dzieła adwokata Aug. Nicolas: *Etudes philosophiques sur le Christianisme.*

P. Estreicher w bibliografii przypisuje G. Olizarowi autorstwo książki wydanej w Paryżu w r. 1847 pod tytułem: Kazania dla rodaków w kraju i za krajem, lecz w rękopisach żadnej nie ma o tem wzmianki. Natomiast Psalmy z Psalmu drukowane w Lipsku 1857 przypisywane przez bibliografią Narcyzowi Olizarowi mają być pióra Gustawa, jak świadczy jego

szanowna małżonka, a nadto i dedykacya: Irydyonowi Atanazy; imieniem tem podpisywał się czasem. Pod koniec życia zajmował się pisaniem pamiętników, które same chwalić się będą przed czytelnikami. Kraszewski mieszkający już w Dreźnie w czasie ostatnich lat życia G. Olizara i znający go dobrze, napisał o nim wspomnienie, które umieszczonem zostało wraz z dodatkiem Lucyana Siemieńskiego w Czasie krakowskim z d. 12 stycznia r. 1865 w pogadance o książkach i ludziach. Oto są słowa Kraszewskiego:

„Roku 1865 dnia 2 stycznia, zamieszkały oddawna w Dreznie hr. Gustaw Olizar z żalem rodziny i licznych przyjaciół po długiej słabości pożegnał się z tym światem. Dnia 3go wieczorem zwłoki jego liczny bardzo orszak ziomków przeprowadził na cmentarz katolicki na Frydrykstacie, a 7go mnóstwo osób przybyłych z daleka i mieszkających w Saksonii oddało mu ostatnią posługę. Żal po zmarłym jest niewysłowiony powszechny; a ci co go znali podzielają go z nami.

„Był to jeden z tych ludzi co życiem długiem zaskarbiają sobie serca wszystkich; ziomkowie i cudzoziemcy, których los choć chwilowo przybliżył do niego, zarówno go kochać

i szanować musieli. Gustaw hr. Olizar był synem Filipa i Ludwiki ze Szczytów podczaszowstwa W. ks. Litewskiego, urodził się w Korystyszowie na Wołyniu w dobrach rodziców dnia 3 maja 1798 r. Nauki ukończył w najświetniejszych czasach Krzemienieckiego lyceum i był jednym z zaszczytów szkoły Czackiego.

„Zaledwie młodzieńczego wieku doszedłszy mając lat niespełna 24 wybrany został przez szlachtę kijowską na najwyższy urząd reprezentanta jej marszałka gubernialnego. W roku 1825 razem z hr. Marcinem Tarnowskim, Aleksandrem Chodkiewiczem i wielu innymi został uwięziony po dwakroć. Po uwolnieniu swojem spełniał jeszcze rozmaite urzędy obywatelskie, wreszcie dla zdrowia był zmuszonym kraj opuścić i zamieszkał w Dreznie.

Żonaty naprzód z hr. Molo, z którego małżeństwa miał syna Karola i córkę Ludwikę hr. Chodkiewiczową (Mieczysławową) następnie w r. 1830 pojął w powtórne małżeństwo hr. Józefę Ożarowską z którą przeżył lat trzydzieści kilka. Tych słów kilka nie dają wyobrażenia o życiu człowieka, który należał niechybnie do najznakomitszych swojego czasu i kraju. Taki obywatel stał zawsze w rzędzie niepokalanych synów Polski i obowiązki swe

spełniał z gorliwością i wytrwałością rzadką aż do zgonu. Ani wiek, ani słabość, ani oddalenie od nich nie uwalniały, obchodziło go wszystko, zajmował się, czuł, bolał a co więcej radził i poświęcał się ochotnie. Stróż pilny świętych tradycyi narodowych, przechowywał je w pamięci i sercu czystemi, nienaruszonemi. Miłość jego była spokojna, męska, ufna w sprawiedliwość Bożą niezłomną. Ciosy bolesne, które w ostatnich chwilach kraj dotknęły, przyczyniły się pewnie do przyspieszenia jego zgonu ale nie obaliły w nim ufności w przyszłość i nadziei.

„Odbolał on każdą ranę zadaną krajowi, tem więcej im czulsze i wrażliwsze w piersi jego biło serce. Chociaż rozpoczął był zawód w najwyższym urzędzie, później gdy ustanowiono sędziów sumienia, pierwszy przyjął na siebie to dostojeństwo pojednawcze, aby drogę do pokoju i zgody otworzyć; w posługach dla kraju nie przebierał, nieznużonym był, nie odmówił nigdy. Nie szło mu oto jakie zajmować będzie stanowisko, pragnął być użytecznym.

„Umysł to był wykształcony usilną pracą, bystry, jasny, którego cechą główną stanowi spokój, słodycz, niewyczerpana dobroć — cecha

tych co z wysokości patrzą na sprawy ludzkie. Wielkiego i łatwego dowcipu nie używał go nigdy przeciw nikomu; jego dowcip prawdziwie polski, nie drażniący nikogo, prostował poglądy fałszywe, nie tykając nigdy osobistości, sterowało mu serce anielskie. Od pierwszej młodości zajmując się z zamiłowaniem wielkiem literaturą, począwszy pisać, jak się zdaje, około r. 1821 pracował bez przerwy do 1864 dotykając niemal wszystkich kwestyj literackich i społecznych, w przeciągu tego długiego zakresu. Szedł on z wiekiem i ideami ale umiał trafnie rozróżnić fałszywy kierunek i opierać się wpływom zgubnym. Pamiętne nam są żywe jego protestacye w tych chwilach, gdy może od pierwszego konturu zależało wykrzywienie opinii krajowej. Hrabia Olizar stanął na prawej stronie na straży zacnych tradycyj. Wiele później rozpraw, krytyk i t. p. zostało po nim, część ich w ostatnim roku uporządkowana, wszystko stanowi nader cenny materyał, nietylko do dziejów literatury, ale do historyi kraju, który żył przez nią. Tu prawie pierwsze miejsce zajmują Pamiętniki, których śmierć mu ukończyć nie dała. Stosunki jego, położenie towarzyskie, zajmowane urzędy, dozwoliły mu głębiej wniknąć w wiele wypadków i zbadać charaktery ludzi. Pamiętniki odsłonią obraz

równie smutny jak zajmujący. Znawca i miłośnik sztuki, prawie do ostatniego dnia myślał jeszcze o polskiej operze Wanda, dla której dla Moniuszki wyborne ułożył był libretto.

„Ale jakże mam odmalować człowieka, męża, ojca, przyjaciela, jak opowiedzieć niewyczerpaną słodycz i dobroć, niestrudzoną uczynność dla wszystkich, której niewdzięczność nawet nie mogła ostudzić, uśmiech i uprzejmość jego dla każdego, wyrozumiałość na wady, współczucie dla najmniejszego nawet talentu, poświęcenie się dla wszystkich chętne i serdeczne i tę słodycz charakteru, jaka go odznaczała? W istocie nie ma na to wyrazów. Był reprezentant innej epoki, ale najpiękniejszej, najszlachetniejszej jej strony, a pomimo to człowiek do ostatniego dnia młody, żywy, niezacofany, żyjący życiem ogółu — i prawdziwie chrześcijańskiego spokoju ducha!“

Liczny tłum rodaków w Dreznie zamieszkałych i przybyłych na smutną wiadomość o jego zgonie, towarzyszył zwłokom znakomitego obywatela z głębokim żalem do mogiły. Ksiądz Jastrzębski przemówił do zgromadzenia nad grobem. Znane i cenione pióro Kraszewskiego, kreśląc te wyrazy powyższego listu pod wpływem pierwszych boleśnych wrażeń, nie

myślało zapewne o wypowiedzeniu wszystkich zalet i zasług zmarłego.

Jeszcze jedno, już osobiste wspomnienie (Lucyana Siemieńskiego). Lat temu kilkanaście, w czasach przypominających kubek w kubek dzisiejsze — znalazło się liczne towarzystwo polskie w Ostendzie i jak zwykle, wlokąc za soba swoje smutki, swoje obawy i przewidywania, pomimo wszystkich przyjemności miejsca i swobody, rozpamiętywało z goryczą świeżo poniesione klęski. Nastrój ten melancholijny rozproszyło zjawienie się ś. p. Gustawa Olizara. Czuł on i cierpiał jak inni, ale nie tracił wesołego humoru. Jego naturalny dowcip, ożywiona konwersacya i ujmujący uśmiech na twarzy, serdeczność w obejściu się, ożywczo wpłynęły na całe towarzystwo. Stroniący od siebie zbliżyli się; utyskujący przestali utyskiwać; chorzy uczuli się zdrowszymi — słowem zrobiła się jakby jedna rodzina, której on był duszą.

Każda inicyatywa do wycieczek w okolicę, do wieczornych zebrań muzykalnych i literackich pogadanek, wychodziła od niego. Jednego dnia zaproponował przejażdżkę wodną. Zebrało się liczne grono i wsiedliśmy na jacht i puściliśmy się na pełne morze. Póki płynęliśmy

w obrębach zatoki, póty dobry humor ożywiał kompanię, lecz gdy mocniejsze fale zaczęły miotać jachtem, niejedna twarz pobladła i niejeden wykrzyk trwogi wydobył się z piersi. Wtenczas Olizar, który także był poetą, zaczął deklamować jednę ze swoich piosnek. Za lotnymi zwrotkami poleciały i myśli słuchaczy zaniepokojonych rozdąsanem morzem i nikt już nie myślał o wzburzonym żywiole, a każdy powtarzał refrain piosenki:

Trzeba żyć, na złość żyć.

Przywiodłem ten szczegół, bo daje poznać człowieka *Memento mori*. Trzeba żyć!

Na pożegnanie zacytuję własne słowa kochanego Gustawa napisane do potomków na rok przed śmiercią:

„Jest w tych pracach moich własność narodowa, która do was należy tj. miłość Ojczyzny i wiara w jej wskrzeszenie! Nie trwońcież tego uczucia a osobistą pracą i wytrwałością ów kapitalik w spuściźnie przyjęty zwiększajcie!“

Leszczyc.

ROZDZIAŁ I.

W nieszczęśliwym dla kraju mojego urodziłem się czasie, a w nieszczęśliwszym jeszcze żyję i piszę te pamiętniki! Może Bóg Wszechmocny, który jak mówi Tomasz à Kempis, „zasmuca sprawiedliwego z bezbożnym“ nigdy bez słusznych i sprawiedliwych powodów, może ten Bóg miłosierny ojców naszych, pozwoli i mnie dokończyć i ubarwić te karty życia mojego weselszym blaskiem, a smutek rodzin lub osobisty, z nieszczęść powszechnych wzrosły i z nich czerpany, zatopić w jakiem nieznanem dotąd źródle błogości krajowej! Może i mnie samemu przyjdzie dziwować się jeszcze, żeśmy mogli kiedyś być tak nieszczęśliwi! Ale pokąd ten odwrót gniewu Bożego nie nastąpi, winienem dla pamiątki westchnienia lub nauki wnuków moich, opisać sumiennie wydarzenia tak prywatne jako i publiczne, których w ciągu

dni moich byłem świadkiem, uczestnikiem lub ofiarą!

W prywatnych wydarzeniach, błędów własnych taić nie będę, ni też pochwał szczędzić dobrodziejom moim, a żalu lub skargi złośliwym wrogom, bo szczere te uczucia, to jedyna zaleta domowych pamiątek. W rzeczach krajowych, zdanie własne obok powszechnego zamieszczę, co się tyczy wypadków. Co zaś do osób, trzymać się będę gwoli zdania tych, którym opinja powszechna tajemnie niejako prawo sądu nadała. Wszakże to bezpieczniej?

„Roku Pańskiego 1798 dnia 3. maja, ochrzciłem z wody młodzieńca nowonarodzonego, imieniem Gustaw, Henryk, Atanazy, syna JWW. Filipa Nerjusza i Ludwiki ze Szczyttów, Olizarów, Podczaszowstwa W. ks. Litewskiego, Rodziców — trzymali do chrztu i świadkami byli" i t. d.

Tak w akcie metrycznym zapisany byłem przez JW. księdza Godlewskiego, kanonika kijowskiego, proboszcza korosteszowskiego. To mnie przekonywa, że istotnie tego roku 1798 urodziłem się, dnia i miesiąca, który w dziejach kraju mojego, pamiątkę wielkiej sławy a większych jeszcze nieszczęść po sobie zostawiły.

Nieufając przesądom astrologji dawno zapomnianej, trudno mi jednak oprzeć się myśli, że dzień i miesiąc, w których na świat wstąpiłem, mieć musiały pewien wpływ na dalsze koleje życia mojego? To namiętne przywiązanie do Ojczyzny już nie istniejącej... te ciągłe za nią cierpienia — te walki umysłowe z zewnętrznymi i wewnętrznymi jej wrogami — to karmienie się nadziejami a pożeranie gorżkiej strawy rzeczywistości!... nie jest że to wszystko bardzo zgodne z tem, co chcieć mogli działacze 3. Maja i co potomkom swoim przekazali?

Prościej i sprawiedliwiej może będzie, przypisać te serca dążności, uczuciom czcigodnych Rodziców moich, których popiołom hołd wdzięczności w tych kilku słowach oddać winienem, a lubo ich za wcześnie postradałem i nie miałem już za przewodników i świadków człowieczego życia, jednak jeśli co dobrego kiedy zrobiłem, jeśli dobrą sławę u ziomków dzieciom w spuściźnie zostawię, ich to sprawa, ich to błogosławieństwa skutkiem!

Matki mojej nie znałem; odumarła mnie albowiem trzecioletniem dziecięciem, ale jednozgodny głos pochwał, długo trwający żal sług, przyjaciół i włościan, wierzyć mi od kolebki kazały, że była wzorem łagodności, dobroći,

uprzejmości! Czemuż rysów tej ukochanej rodzicielki niebo spamiętać mi nie dało? Ileż cierpkich chwil wdziękami nieczułych niewiast sprawionych, to jedno wspomnienie osłodzić by zdołało. Biada, biada dzieciom, które matek swoich nie znały; najlepsi ojcowie nigdy tej straty wynagrodzić nie są w stanie!

Matka moja powtórnym węzłem małżeństwa połączyła się z moim Ojcem — była w przód za Oskierkiem i była nieszczęśliwa, bo nie z wyboru serca, lecz z familijnych układów ten się związek skojarzył; to wyczytałem z listu jej stryja JW. kasztelana Szczytta, przepraszającego za wpływ swój do tego małżeństwa, przypadkowa śmierć Oskierki na polowaniu uwolniła matkę moją od zgryzot nieszczęśliwego pożycia a nieszczęśliwszej jeszcze ostateczności rozwodu.

Jaką była żoną i matką dla nas, świadczą piękne grobowe napisy w kaplicy na schronieniu drogich jej popiołów przez miłość owdowiałego męża wzniesionej przy kościele parafialnym w Korosteszowie. Wypiszę je tu dla dzieci i wnuków moich. Z nich albowiem uczyć się mogą, jak religja każe pojmować a jak pozwala znosić stratę najdroższych osób! Wewnątrz kościoła korosteszowskiego, nad

drzwiami wchodowemi do familijnej naszej kaplicy, poważny napis czytać się daje.

D. O. M.
W tem schronieniu
Złożone zwłoki
ś. p. Ludwiki ze Szczyttów
Olizarowej
Ostatecznego względem siebie
Oczekują wyroku.
Człowiecze
pomnij, że spraw twoich
masz sędzią
współczesnych, potomność
i Boga
Roku MDCCCI dnia 11. Listopada s. s.

Na ścianie zewnętrznej kaplicy w piramidalnej formie zbudowanej, Ojciec mój kazał te wyryć słowa:

D. O. M.
Szanownym popiołom
Najmilszej małżonki
ś. p. Ludwiki ze Szczyttów
Olizarowej,
Podczaszyny Litewskiej,
Ten Monument

Ku wiecznej pamiątce
Nieodżałowanej straty
Niepocieszony Mąż
poświęcił.

Roku MDCCCII dnia 2. Listopada s. s.
żyć zaczęła dnia 30. Mąja Roku MDCCLXIX n. s.
przestała dnia 21. grudnia Roku MDCCCI s. s.

Miłości, przyjaźni, lecz nie próżnej dumie
Miejsce to poświęcone, a kto cenić umie
Skromność, łagodność, przyjaźń i życie cnotliwe,
Dobrą Matkę i Żonę, serce litościwe,
Niech tu westchnie! a smutne grobu tego cienie,
Niech świadczą żal, szacunek i cnoty uczczenie!

Nie będę jako poeta tych wierszy roztrząsał, ale każdy syn chrześcianin, szczerość ich i wdzięczną prostotę uczuć potrafi.

Tak więc pierwsze moje lata dziecinne były pół sieroctwem, bo chociaż miałem ojca dobrego, brata i siostrę których czułej przyjaźni, zacząłem później odbierać dowody, wszelako różnica ich wieku nie pozwalała im być mojemi towarzyszami. Jako więc najmłodsze dziecko długo zostawałem na pieczy piastunek i wiernego sługi, strzelca niegdyś domu, który mnie nie odstąpił aż do chwili ożenienia mojego.

Pierwsze wrażenie, jakie pamięć moja dziecinna zachowała, był pobyt w domu, na-

szych dwóch ciotek mojego ojca, z których młodsza starościna Wilczyńska ciągle mieszkała a starsza Cześnikowa Horodyńska niekiedy tylko, i to na postrach i umartwienie wszystkich zjeżdżała. — Pierwsza Wilczyńska była wzorem godności i dobroci, i tę babunię, my dzieci, szczerześmy kochali. — Bawił przy niej mąż, którego ona z koniuszego, małżonkiem i starostą zrobiła, był to istotnie, siwy już, ale bardzo przystojny mężczyzna, a strój jego polski dość bogaty, pierwszy raz oczy moje wielką nasycił przyjemnością. Ojciec mój opiekował się tem stadłem, *inde irae* starszej cioci Horodyńskiej, która na pokazanie że tem nienawistnem małżeństwem siostry, jej marnotrawstwem na odzież wykwintną dla siebie i męża, pośrednictwem Ojca mojego w dziale ich majątkowym, odartą z własności swojej została, przyjeżdżała zawsze w płóciennym letniku domowej tkanki i grubą serwetą głowę mając przewiązaną, w takim stroju tygodnie przesiadywała. Dziwne nam się wydawały attencje ojca dla tak prostej kobiety, ale dawne obyczaje rodzin, zachowywane jeszcze były przez niego, luboć sam zagraniczne już otrzymał wychowanie; — pamiętam jak w dzień urodzin tej pudermantlowej ciotki, ojciec mój w mundurze i ze wstęgą Orła bia-

łego przyszedł z rana oddać jej należne powinszowania, co ona nie zmieniwszy stroju, z najzimniejszą twarzą jako należność przyjęła. Pierwsze więc uczucia pociągu i wstrętu wznieciły we mnie te dwie babki tak do siebie niepodobne i tak odrębnego układu i wykształcenia od mojego ojca.

Późno, nader późno, zacząłem poznawać a nawet kochać rodzica mojego. — Ten jako człowiek, musiał mieć wady; w wielu rzeczach a nawet w wychowaniu dziatek, mógł mieć mylny systemat, ale błogo mi było dowiedzieć się później, że był obywatelem nieposzlakowanej reputacji, że jako marszałek Najjaśniejszego Trybunału koronnego, zarobił sobie na miano sprawiedliwego sędziego, i lubo nie taki utrzymywał przepych jak brat jego stryjeczny Kajetan Olizar, Stolnik koronny, laska podczaszego litewskiego pamiętną stanowiła epokę w dziejach lubelskiej i piotrowskiej magistratury.

Muszę tu w kilku słowach wspomnieć o mojej familji, nie ze względu samochwalstwa i pychy, *vulgo* nierozsądnie arystokracją nazwanych, ale z powodu że mi to na myśl przychodzi, i że stan wewnętrzny rodzin, ma niezaprzeczony związek ze stanem narodu.

ROZDZIAŁ II.

Pomijając wywód genealogiczny Niesieckiego, który by nam do mitr książęcych i królewskich zaszczytów, fałszywy apetyt mógł sprawić, zacznę od mojego pradziadka, mającego czterech synów, z tych Adam, starosta Łojowski najstarszy, miał tylko jednego syna Kajetana, stolnika koronnego; Onufry średni, miał dwóch synów: ojca i stryja mojego; Konstanty młodszy, miał siedmioro dzieci a Gabryel najmłodszy, umarł bezdzietny.

Z linji Adama, Kajetan stolnik koronny, po długim procesie, wykwitowawszy siostrę swoją rodzoną, za Dunina Borkowskiego wydaną, dość szczupłym posagiem i wyrobieniem u króla orderu św. Stanisława dla jej męża, na zgodę, zapisał schedę swoją dzieciom Onufrego, którym i cząstka po Gabryelu się dostała później, cała ta fortuna przeszła spadkiem na mojego ojca, po którym brat mój i ja,

piękną wzięliśmy spuściznę, spore wiano udzielając siostrze naszej 1-voto Przezdzieckiej, 2-voto Dziekońskiej, wypłaciwszy jej w gotówce 1,500.000 zł. pol., oprócz kosztowności innych i remanentów.

Inaczej się stało z linją młodszą Kostantego; rozdrobniony majątek na schedy między tylu sukcesorów, nie podżywiony żadnym znaczniejszym wnioskiem przez związki małżeńskie, rozrodzenie się potomków tychże sukcesorów, wreszcie chylenie się i upadek fortuny publicznej, to jest miłej ojczyzny, wszystko to sprawiło, że ta część rodziny, przyszła do miernego bytu. Rodzice już nawet procesami między sobą i ustawiczną pieniaczką z nami, potracili przed czasem majątki. Ztąd wynikło dwoje złego: pierwsze, że tej samej rodziny członkowie, inne mając dążenie, już się rozumieć a przeto i lubić nie mogli; drugie, że zawiść uboższych przeciw bogatszym, pozbawiała ostatnich rozkoszy dopomagania lub kształcenia mniej uposażonej braci swojej.

Niech filozofowie jak chcą mędrkują i wywodzą w swoich teorjach wszystkie prawa natury, cóż poradzą na to rzeczywiste factum, że u nas za rozdrobnieniem majątków, najpiękniejsze imiona, niegdyś z cnoty i rozumu słynne, z czasem nikczemnym chwastem zarosły! Byłbym, wyznaję, za majoratami, lecz do potrzeb politycznych kraju mojego, roztropnie zastosowanymi.

Stryj mój, Józef Kalasanty Olizar, poseł wołyński na sejm czteroletni, szambelan J. K. M. był to człowiek dobrego serca, lecz bardzo popędliwy, a chociaż przy nauce miernych jednak zdolności. Patrjota zapalony, wiele świadczył i wiele za kraj cierpiał. Uczonych protegował, czego w części zdaje się dowodzić, dedykacja tłómacza Iliady; ale obywatelska jego gorliwość i wzniosła dusza piękniej się odznaczały, już po nieszczęściach i zaborze kraju. Wtedy to legjonom skryte a niebezpieczne posyłano zasiłki, mój stryj świadcząc różnym, między innemi pułkownikowi Cyprjanowi Godebskiemu*), oskarżony został przed Rządem rossyjskim i na Sybir skazany, już miał być wywieziony, gdyby nie przyjacielskie poświęcenie się biednego szlachica Sokołowskiego, który wziął na siebie całą winę i następnie za niego ofiarował się być wygnańcem. O tym Sokołowskim wspomina w swoich pamiętnikach

*) Syn jego Ksawery, dziś tułacz w Belgii, śladem ojca poszedł co się tyczy miłości kraju; był jednym z posłów Wołyńskiej ziemi na sejmie rewolucyjnym 1830 r.

Kotzebue w wygnaniu swojem, który z nim w Tobolsku się znajdował, a którego synowie są dzisiaj moskiewskiemi generałami i dyplomatami!

Inne to były czasy, jak z rozmów ojca mojego spamiętać mogę. Rosjanie ówcześni, mniej może co do poloru wygładzeni, więcej cnoty publicznej posiadali niż teraźniejsi. Czuli oni, wielu nawet znaczniejszych, że prawa ich carowej do kraju naszego, były tylko prawem gwałtu i podstępu. Wykroczenia więc polityczne, samodzielnie żyjących polaków, nie zdawały im się zbrodniami stanu, zemsty godnemi. Tak zatem, ani chciwość polityki Katarzyny, ani porywczość osobista Pawła, nie nadawały szczególnej cechy postępowaniom ich namiestników.

Podczas prześladowania, które dotknęło stryja mojego, gubernatorem Wołynia był zacny człowiek Bazyli Siergiejowicz Szerematiew, a generał gubernatorem wszystkich naszych prowincyi, Bekleszow, wyższych może uczuć, przy wyższem znaczeniu. Pod zarządem tych dwóch ludzi, łatwo było ojcu mojemu brata uratować a Sokołowskiemu wygnanie osłodzić względami i należną o nim i rodzinie jego pamięcią w rzeczy majątkowej.

Ten Bekleszow był tak wyrozumiały na ówczesne smutne położenie zagarnionych pod obcy rząd obywateli, że raz będąc w domu ojca mojego, przysłuchiwał się uprzejmie spiewkom brata mojego Narcyza, kilkoletniego chłopczyka i kazawszy sobie powtórzyć piosenkę:

Czerwone jabłuszko
Tadeusz Kościuszko,
A szyszka borowa
Imperatorowa.

wyrzekł do zmięszanych rodziców moich: „Mała to zapewnie pociecha, ale nim wam Bóg większej udzieli, używajcie i tej“ Ach! jakże miło we wrogu znaleść człowieka.

Przebywanie stryja mojego było zawsze w Rafałówce, nędznej poleskiej mieścinie, nad Styrem w Łuckim powiecie. Tam, oddany kolejno to najskrzętniejszemu gospodarstwu, to zbytkom gardła i oczu, pracował sześć miesięcy, na 6-cio miesięczną biesiadę, a ta niejednostajność życia miała wpływ i na zmienność humoru, co też wielu od niego odstręczało. Do brata, rzadko bywało przyjeżdżał, a lubo się bardzo kochali, niemogli długo być razem dla sprzeczności charakterów, mój ojciec flegmatyk rad był raz zaprowadzony tryb domu

ciągle, choć może mniej dobrze, utrzymywać, za przyjazdem zaś szambelana, wszystko musiało odmienną przybierać postać, meble, obicia, stół, nasze nawet ubiory lub jedzenie; tak zaś, jako starszy, despotycznie w tem się rozrządzał, że zdawał się nie gościem u brata, ale panem i opiekunem.

Dwie o nim anekdoty, które słyszałem z ust samych aktorów, zakończą ten portret p. Kalasantego, któremu dłuższy artykuł poświęcam, bo to był poczciwy i dobry krewny.

Książe Ksawery Drucki Lubecki, rodzony siostrzeniec jego, będąc wówczas bardzo młodym człowiekiem, służył w wojsku rossyjskiem i wracał do kraju po kampanji włoskiej Suwarowa, w randze chorążego czy porucznika; zajechał do wuja, spodziewając się dobrego przyjęcia, bo słyszał, nie znając go jeszcze, że był ludzkim i gościnnym. Lecz na nieszczęście pokazał mu się w barwie wielce mu nienawistnej, co było powodem, że pan Kalasanty bardzo ozięble go przyjął. Zdało mu się jednak później, że należy młodego siostrzeńca wybadać i na dobrą naprowadzić drogę. Dopełnił to w ten sposób: przywołuje go do siebie i mówi: „Po co WPan do tej wlazł służby?“

Młody człowiek zmieszany, ledwo jął mu wykładać okoliczności i powody wstąpienia swojego do wojska, on mu przerwał mowę i rzekł: „Krótko WPanu powiem — najwięcej jeśli dosłużysz się rangi pułkownika, a i na to trzeba mieć głowę!“ i już po tej rozmowie więcej się z sobą nie widzieli. — Tak to mój stryj umiał ocenić i zdefinjować jedną z najpotężniejszych głów, jaką kraj nasz wydał!... z takim taktem miał nadać kierunek dalszemu publicznemu Lubeckiego życiu?... Kto wie czyli to pierwsze przyjęcie przez najbliższego i z wielu miar poważanego krewnego, nie wpłynęło mimowolnie na późniejszy a przeciwny sposób widzenia rzeczy, męża, któremu Mochnacki najwyższy rozum a Jelski prawe serce jawnie przyznają?.

Po długiej niebytności w Korosteszowie, stryj mój przyjechał raz do brata w późnej jesieni, a że było słotno, więc w miasteczku błoto wielkie, i pan Kalasanty z karetą zagrząsł na rynku! Nieposiadając się ze złości, wyskoczył z powozu i brnąc po kolana, dąży do dworu. Tam miasto przywitania się z bratem, zburczał go niepospolicie, używając słów niemile dobranych — ojciec mój, przeczekawszy burzę, łagodnie tak doń przemówił:

„Panie bracie, nie wiń mnie, lecz siebie samego w tym wypadku, ja miałem miasteczko brukować, i widzisz że o to są już kamienie... lecz w tem cały kahał przyszedł do mnie tak się odzywając: „Na własną krew pańską zaklinamy, żeby pan tego nie robił, bo jak tu kiedy przyjedzie ten pijak, ten burda brat pański, a padnie na bruk to się strasznie potłucze, kiedy zaś w błocie, przynajmniej kości nie połamie?

Rozśmiał się mój stryj którego już pasja odeszła — uściskali się — i na tem skończyła się ta zwada braterska.

Do familijnego domowego obrazu należy jeszcze jeden krewny a głowa młodszej linji JW. Leonard Olizar, starosta siennicki, który lubo w ciągłym był procesie z moim ojcem, nigdy jednak nie chybiał zwyczajowi odwiedzania starszego krewnego w dzień n. p. Jego imienin, lub w jakiej innej okazyi. Ten człowiek pełen nauki potrafił ją dziwacznie uporządkować. Zawiść familijna o której już wspomniałem pchała go na drogę zawsze przeciwną tej, jaką szli antagoniści jego — dość więc było dla pana Leonarda widzieć ojca i stryja mego sprzyjających konstytucji 3. Maja, żeby samemu rzucić się na łeb do Targo-

wicy! A tak imię nasze przypadkiem wpadło do tego związku głupstwa lub niecnoty! a Pan Starosta Siennicki, wyplątając się jak mógł z popełnionego błędu, został autorem, wydawcą i drukarzem dzieł politycznych, własnych, okropnemi litery na bibule, w Studziennicy drukowanych, które z tego kiedyś będą sławne, że je familja niszcząc, rzadkiemi uczyniła.*)

---

*) Ich tytuły rozmaite i bardzo długie; o jednym pamiętam; Rozmowa kijowianina z wołynianinem o sukcesyi tronu, czy coś podobnego.

ROZDZIAŁ III.

Do dziesiątego roku życia mego mieszkałem w domu ojcowskim, mając kilku nauczycieli domowych, którzy mię do szkół publicznych sposobili. Pierwszy z nich, właściwie bratu mojemu dodany, był Franciszek Skarbek Rudzki, później pisarz komisyi sądowej edukacyjnej, człowiek światły bardzo, którego okoliczności kraju, do prywatnych na czas usług zwróciły. Była zaś chwila, w której publicznym pismom i zdolnościom jego oddawać umieli sprawiedliwość Kościuszko, Kołłątaj, Czacki. Jakże to boli opatrzeć się, że są znakomici u nas ludzie, których biografia zupełnie nieznana. Ten, o którym piszę, siedemdziesięciokilkoletni dziś starzec, znękany umysłowemi trudami, domęczony ostatnią rewolucją, (1829 roku) w której sam więzy dźwigał, dzieci i krwawo zapracowany majątek postradał, ten starzec mówię, już sam nic o sobie nie powie.

Miał jednak przyjaciół w gronie pierwszych osób stolicy i wszyscy co w zeszłym wieku za uczonych uchodzili, wszyscy mieli z nim przyjaźń lub stosunki, nikt jednak nie raczył wspomnieć o czynnym publicyście w 1792 r. i zdaje mi się, że ja, którego on czytać uczył, mniej ścisłe mając później z nim stosunki, będę pierwszym co wspomnę o jednym z redaktorów „Gazety Narodowej i Obcej“, o człowieku znakomitym, którego rady Czacki, Feliński i wielu innych, nie raz i nie bez korzyści zasięgali.

Drugim moim nauczycielem, był niejaki Kowalewski z Warszawy, nie źle a scholastycznie uczony, hypokondryk w wysokim stopniu, spędzał zły humor, może za często trochę, na grzbiecie moim, niezliczę plag, które od niego odbierałem; jednakże w dobrych momentach swoich, był tak dobry, że żadnej w sercu mojem dziecinnem nienawiści do niego nie zachowałem. Widziałem go później, dojrzałym już będąc, urzędnikiem w biurze ministerstwa spraw wewnętrznych w Warszawie.

Trzecim i ostatnim mistrzem moim przed wejściem do szkół był Drzewiecki, skrzypek, bon motista czyli dowcipiarz i elegant starej daty — zawsze w krótkich... i trzewikach.

Dobre to było człowieczysko i podobno z przypadku tylko chwycił się tego powołania; przez krótki przeciąg jego w domu naszym pobytu, wszystkiegom zapomniał, co mnie był Kowalewski i guwernantka siostry mojej, szwajcarka panna Griffon nauczyli, tak dalece, że przyjechawszy do szkół do Krzemieńca w 1808 roku, zaledwie wstąpić do 2giej klasy mogłem; — nie wiem czy ten Drzewiecki żyje jeszcze i gdzie się podział; jeżeli umarł, Panie świeć nad duszą jego! jeśli nie, świeć-że nad głową, bo wiele tam było ciemnoty.

Ojciec mój był w dalekich związkach krwi lecz w najścislejszych przyjaźni ze sławnym a niestety nie odrodzonym już Tadeuszem Czackim, starostą nowogrodzkim! Ten mąż, ten bohater ojczyzny, wtedy, kiedy już jej orężem dźwigać nie można było, świeżo co założył główną szkołę w Krzemieńcu, dla młodzieży naszych prowincyj, nie potrzebował wiele pracować nad moim ojcem, żeby dzieci swoje do tego publicznego oddał zakładu, bo miał do czynienia z przyjacielem i człowiekiem światłym, lecz ileż to oporu i niesmaku doznał, ile trudności przełamywać musiał, nim swoich współziomków, tych, dla których majątek, czas

a w końcu i życie poświęcił, namówić zdołał, aby z dobrodziejstw, jakiemi ich darzył, korzystać chcieli i umieli!

Pisząc o Krzemieńcu i o szkołach, w których tam przebyłem, będę miał sposobność wrócić do Czackiego; teraz zaś, samo to wielkie imię wymówione wkłada już na mnie obowiązek przyklęknąć myślą, dla złożenia czci i hołdu religijnego tym cieniom, które dla tego tylko świętemi nazwać nie odważam się, że o tym jeszcze rzymsko-katolicki kościół mój nie wyrokował! Lecz jeśli młodzież i ludzie dzisiejsi kraju naszego, którzy tyle za drogą matkę ucierpieli, obowiązani są Czackiemu za wszczepienie w ich serca niewygasłego ducha poczciwości, cóż ja o nim powiem, ja, którego on był jak drugim ojcem, najczulszym, najstaranniejszym opiekunem lat młodocianych! Sieroctwo moje po matce było wielkie, ale większe nierównie po Czackim! Nikomu, może własnym dzieciom jego, ta śmierć tyle zmiany nie przyniosła, ile ja ją uczułem; wiedziałem już albowiem co to było zasłużyć na przychylność i przywiązanie tego wielkiego człowieka!

Krzemieniec! ileż uczuć, dzisiaj bolesnych, a tak niedawno jeszcze roskosznych, nazwisko

tego miasta w sercu mojem obudza! Widzisz, wśród jarów, w rozmaitych kierunkach wężykowate smugi domów, na pół zwalonych, a jednak gdzieniegdzie jeszcze kawałkiem gzymsu lub kolumnami świecących. Te ulice wychodząc z jednego placu, między murami pojezuickimi, na szkołę poświęcone, a klasztorem OO. Franciszkanów, wydają się jak obnażone korzenie stuletniego dębu, świeżo ściętego, którego pień, obcym liściem zazieleniały, ogromem swoim dotąd zadziwia! Jeszcze tu widzisz ruch, ale i oni podobni są do brudnego mrowiska co posadę swoją założyło przy szkielecie potężnego niegdyś drzewa, które za życia swego, innym szlachetniejszym, cieniu użyczało! Takim jest dzisiaj Krzemieniec. Mury i kościół pojezuicki, fundacyi książąt Wiśniowieckich, w których niedawno cnota i gorliwość wielkiego męża założyła przybytek naukowy dla wielkiej części kraju, dzisiaj wybielone, żelazem z wierzchu pokryte czy okute i gąsieniczą zieloną farbą pomalowane, gnieżdżą w sobie roje popowiczów, którzy seminaryum szyzmatyckie przemocą w nich założyli!

Kościół Franciszkanów, fundacyi królowej Bony, równie jest dzisiaj przytułkiem kilku

puszczyków i popa z dyakiem, mających na odgłos grabieżnej religii swojej do 20-tu dzwonów z kilku katolickich dzwonnic zdjętych! a ten skromny i piękny kościół, niegdyś OO. Reformatów z kamienną galeryą i takąż kolosalną statuą św. Franciszka w dziedzińcu, oddany OO. Bazylianom w zamian ich murów udzielonych dla powiększenia gimnazyalnych zakładów, ten kościół dziś jeszcze do tych Pseudo-Bazylianów należy, których ubior i słowiański język ten sam, lecz serce i wiara na stronę wrogów św. Rzymskiego kościoła już od lat kilku przeszła za przekupstwem i zdradą wyższego ich duchowieństwa. Tak więc trzy kościoły i milionowe gmachy, pobożnością przodków naszych wzniesione, dotychczas utrzymywane, oddane są na użytek kilkuset dyzunitów, kiedy około ośm tysięcy katolików Krzemienieckiej parafii muszą w najętej chacie, ledwo kilkadziesiąt osób pomieścić mogącej, Bogu ojców swoich, prawdziwie krwawą i łzawą ofiarę odprawować!

Lecz musi to być potrzebne dla naszej poprawy lub zbawienia, kiedy się Bogu podobało taką na nas klęskę w XIX wieku zesłać! i gdy obok tego, bożnica żydowska, niedawno wzniesiona, piękną budową swoją,

jawnie, jakby na drwiny, religijnej tolerancyi rządu moskiewskiego, dowodzi.

Lecz Krzemieniec, jakim ja go poznałem, gdy mnie doń przywieziono, był zupełnie inny. Licha błotnista mieścina, jak wszystkie nasze, w której znaczne publiczne gmachy jeszcze świetniej odbijały, ożywiona była mnóstwem młodzieży rozmaitych klas i wieku. Magnaci, szlachta, księża uniccy, żydzi nawet mieli na ławach szkolnych swych przedstawicieli, a duch tej mądrej rzeczypospolitej młodzieńczej był tak stateczny, że go ani śmierć założyciela, ani zmiana naczelników, ani prześladowanie a w końcu zagłada przeinaczyć i zniszczyć nie potrafiły. Bo chociaż od lat 11-tu szkoła ta już nie istnieje, chociaż system rządu dzisiejszego wszystkie szkoły prowincyj naszych, od tej głównej zależne, pokasował i przeobraził, nie mniej jednak tradycya szkoły krzemienieckiej trwa dotąd między młodzieżą, której po dzisiejszych niewolniczych turmach (a jak oni zowią szkołach) mówić nawet z sobą po polsku zabroniono!

Tak to przemysł wielkiego męża umiał odgadnąć potrzeby szlachetnego a nieszczęśliwego kraju! Na zaradzenie wielkiej narodowej klęsce, niezgodzie wylęgłej z błędnej edukacji a błędniejszego zastosowania instytucyi swobód krajowych, trzeba było utworzyć dla rosnącego pokolenia szkołę jedności i temu celowi Krzemieniec jedynie odpowiadał. Zrozumieli to lepiej może od nas zawzięte wrogi nasze, kiedy dziś dla kwalifikacyi czyjej na stan nauczycielski, w opisie stanu cywilnego (formularny spisek) jest osobna rubryka rządowa, pod tytułem: Nie był li w Krzemieńcu? dodana do zwykłych: Był li pod sądem? Był li strofowany?

Systemat naukowy, o ile teraz sądzić mogę, nie był może z najszczęśliwiej dobranych. Było albowiem wszystkiego po trochu i każdy musiał tę trochę wszystkiego liznąć po trochu! Ztąd żadnej specyalności, a wiele fanfaronady i papuziej erudycyi. Ale Czackiego całkowicie w tem winić nie należy. W stanie ukształcenia obywatelstwa naszego, biorąc u nich fundusze na ten publiczny zakład, trzeba prawie było okazać, że za swój miły grosz każdy dla swojego potomstwa co niemiara rozumu nakupił. Bez tej ułudnej zachęty, jarmark rozumowy przez Czackiego w Krzemieńcu zaprowadzony, nie utrzymałby się był niezawodnie. Tak więc uczeń szkoły krzemienieckiej, gdyby się wyuczył wszystkie-

go, czego się musiał uczyć, posiadałby, co do religii: katechizm wyznania do jakiego należał; co do języków: grecki, łaciński, francuski, niemiecki, angielski, rosyjski i polski, również ich literatury; co do nauk ścisłych: arytmetykę z algebrą, geometryę aż do rachunku różniczkowego i sfery kulistej, fizykę, chemię, mechanikę teoretyczną i praktyczną, geo- topo- i kosmografię; co do nauk wyzwolonych: botanikę, mineralogię, historyę naturalną, dalej historyę starożytną i nowożytną, numizmatykę, prawo natury, krajowe i narodów z rozgałęzieniem na prawo cywilne i kryminalne, ekonomię polityczną i bibliografię; co do sztuk pięknych: rysunki, malarstwo, początki architektury, muzykę; co do gimnastyki: konną jazdę, fechtunki i tańce. Do każdego z tych przedmiotów, ważnych lub dodatkowych, był nauczyciel a czasem i dwóch, jak n. p. do prawa, a oprócz tego pomocnicy i korepetytorzy. Mało było objektów, od których uwolnić się było można, gdyż, o ile pomnę, z języków folgowano tylko angielszczyźnie; z nauk zaś i sztuk pięknych nie zmuszano do topografii, numizmatyki, bibliografii, muzyki, a i gimnastyka ogólnie nie była obowiązkową, co właśnie jedno powinno było być dla ukształcenia i umocnienia ciała. Niejeden też to brat

szlachcic, co długo opierał się poczciwej żebraninie Czackiego, rozwiązał w końcu zczerniały skórzany trzosik i dobył z niego ze 200 zł., gdy w drukowanym egzemplarzu publicznego rocznego egzaminu przeczytał, że syn jego tyle a tyle nauki w Krzemieńcu będzie mógł sobie przyswoić.

Wkrótce może imiona tych zacnych ludzi, którzy młodość moją kierowali, znikną z tego świata, a prędzej jeszcze z pamięci! Dla tego postanowiłem wypisać tu skład nauczycieli szkoły krzemienieckiej za moich czasów i jej urządzenie. — Starosta Czacki, zakładając w 1805 r. tę główną szkołę na Wołyniu, przeniósł z akademii krakowskiej pierwsze flance nauczycieli, dodając następnie do nich miejscowe subjekta, którzy stopniowo przemieniali się i doskonalili, aż wreszcie doczekaliśmy widzieć niektóre katedry zajęte przez ludzi europejskich,*) lub też godziwie i korzystnie osadzone uczniami tejże samej szkoły.**) Pierwszymi luminarzami Krzemieńca byli: Józef Czech (tłómacz Euklidesa) dyrektor i nauczy-

*) Lelewel, numizmatyk — Besser, botanik — Feliński, poeta.

**) Jentz Karol, profesor fizyki — Korzeniowski Józef, wymowy — Hreczyna, matematyki — Sawicki, szkoły geometrów praktycznych i w. i.

ciel matematyki; Józef Scheidt, profesor chemii; Witwicki, profesor fizyki; trzech braci Jarkowskich, z których starszy Antoni był profesorem prawa, a później groźnym lecz jedynym prefektem szkoły, czyli naczelnikiem porządku i władzy wykonawczej; Paweł Jarkowski był zrazu profesorem języka francuskiego, którego posiadał z reguł, lecz szkaradnie wymawiał, a później został profesorem bibliografii i najdostojniejszym bibliotekarzem, w jakiej to funkcyi i dziś jeszcze starca muszą tolerować w Kijowie przy Bibliotece uniwersyteckiej św. Włodzimierza (do 30-tu tysięcy tomów, oprócz rękopisów posiadającej) jako przy świeżym łupie, którego w całości pragną dochować; przywiązanie zaś Pawła Jarkowskiego do szaf i książek krzemienieckich jest tak silne, że gdyby ten zbiór został własnością Nogajów lub Samojedów, onby i u nich był bibliotekarzem! Wojciech Jarkowski trzeci był profesorem geometryi początkowej, ztąd przezwany przez nas matematykiem, jakowy tytuł już mu do końca życia, żonie i potomstwu służy. To bo pamiętam, że niejeden z nas uprzejmie się zalecał pani matematykowej, de domo Siekierzyńska, i pannie matematykównie, jako rodzinie, mającej wpływ na ponury humor brata swojego, pana prefekta.

W miarę jak szkoła wzrastała a nieśmiertelny Tadeusz Czacki coraz więcej funduszów przysparzał, naczelnicy administracyi nie udzielali już prelekcyj, a katedry coraz nowe, nowymi nauczycielami obsadzone były.

Organizacya gimnazyum a później liceum krzemienieckiego była następna:

Dyrektor miał jedynie dozór nad profesorami i częścią naukową, tudzież prezydował Radzie ekonomicznej zakładu. Wszelkie apelacye do niego, jako najwyższej miejscowej władzy zanoszono. On zaś sam miał za zwierzchników: wizytatora i uniwersytet wydziałowy (Wileński), którymi znowu rządził kurator okręgowy i minister oświecenia narodowego. Za moich czasów wysocy ludzie zajmowali szczyt tej hierarchii; dla tego też i urzęda innej były skali jak późniejsze. Czech*) lub Feliński, ludzie z nauki i talentu całej Polsce znani. W wileńskim uniwersytecie przodowali Śniadeccy, sławy europejskiej! Czacki, on wielki Czacki zniżał się do skromnego urzędu wizytatora, kiedy to on był duszą uniwersytetu,

*) Józef Czech był tyle cenionym przez Czackiego, zajmując urząd dyrektora, że po jego śmierci, domieszczono do obrzędu instalacyi nowego dyrektora, przyprowadzenie go do portretu Czecha, wymawiając jakby sakramentalne słowa: „Bądź jemu podobny!“

kuratora i ministra samego! Kuratorami byli: książę Adam Czartoryski i rzeczywisty tajny radca Nowosilcow, a luboć pierwszy do rzędu aniołów a drugi do szatańskich zastępów należał i już był narzędziem niszczenia, obaj jednak pierwsze w kraju godności piastowali wprzódy nim miejsce naukowych kuratorów zajęli. To samo co do ministrów: Zawadowski n. p. lub Rozumowski, jacy to byli ludzie niezawisłego charakteru! Jak ich postępowanie, zwłaszcza pierwszego, z Czackim i szkołą krzemieniecką oznaczało, że przejęci byli duchem tych starożytnych Rzymian, którzy w ujarzmionej Grecyi światło i starodawność bytu uznać i szanować umieli! W obecnym stanie rzeczy, indywidua maleją, dla zwiększenia systemu opresyi i uciemiężania, miejsce dyrektorów szkół głównych, zajmują odstawne majory moskiewskiej służby, a najwyżej już podpułkowniki. Kuratorem wydziałowym kijowskim już był pułkownik Bratke, jeszcze nie z gorszych, a wszystko wtedy oddane było pod policyjną władzę generał-gubernatorów, którym szczególnie zdawało się być poleconem baczyć, aby przypadkiem nauka czasem się nie wcisnęła!

Ale wracam do Krzemieńca. Po dyrektorze najstarszym był prefekt, mający bezpośrednią władzę nad uczniami i baczność na ich postępy i prowadzenie się. Profesorowie podzieleni byli na klasowych i kursowych. Klas było cztery, kursów dwuletnich trzy. W klasach uczono języków do retoryki, religii i nauki moralnej, arytmetyki, tudzież 4-rech pierwszych ksiąg geometryi Euklidesa, geografii.

W kursach: na 1-szo letnim geometryi teoretycznej i praktycznej lub algebry, historyi starożytnej lub nowożytnej, prawa natury lub narodów, tudzież retoryki języków słuchanych w klasach. Na drugoletnim to samo w wyższym stopniu. Na 2-gim pierwszoletnim uczono fizyki eksperymentalnej lub mechanicznej, prawa politycznego i cywilnego lub ekonomii politycznej, literatury językowej z kolejną przemianą jak na kursie pierwszym.

Na trzecim i ostatnim dawano w pierwszym roku matematykę wyższą, chemię, historyę naturalną lub botanikę, mineralogię, kosmografię, topografię, bibliografię i t. d., tudzież wyższe stopnie literatur językowych, a w drugim roku też same nauki przedłużane lub kolejno zmieniane.

Po przejściu ucznia przez te wszystkie nauki, mógł, jeśli chciał, pozostać jeszcze rok

jeden w szkołach i taki zwał się liber, a miał przywilej obrać sobie jakie chciał przedmioty, w jakich szukał doskonalenia. Nie należał już do władzy prefektowskiej, gdyby go o co oskarzono, dyrektor lub wizytator mógł tylko sprawę jego sądzić, w końcu wolno mu było uczęszczać do szkół lub nie i nie był obowiązany do egzaminów, chociaż gdy zażądał zdać sprawę ze swojej nauki, przypuszczony bywał do nagród na równo z drugimi.

Czacki, zakładając szkołę narodową, najwięcej dbał o utrzymanie ducha obywatelskiego i uczuć szlachetnych. Dla tego kar cielesnych, poniżających charakter, bardzo skromnie używano i to tylko w klasach niższych. Sam prefekt tylko miał prawo tego środka karcenia używać i to u siebie, nie zaś w klasie przy uczniach, jak wprzódy bywało. Antoni Jarkowski, człowiek srogi ale gruntownie poczciwy i najlepszy Polak, trzymając się zwyczajów starego etatu, nie odważyłby się szlacheckie dziecko rózgami oćwiczyć, nie podesławszy mu wprzódy kobierca; zastępował on to skórą niedźwiedzią do tego przeznaczoną.*)

*) Stąd pomiędzy studentami używano metafory: „Przejechałeś się na niedźwiadku?"

Na kursach były sądy obieralne, a było wielkim zaszczytem do tej magistratury należeć, której Czacki umiał nadać prawdziwą powagę, lubo to starym profesorom i prefektowi długo dziwacznem się wydawało. Każdy kurs a podobno i czwarta klasa obierała jednego sędziego; liber lub 2-go letni uczeń kursu 3-go bywał obierany prezesem. Trzy tylko stopnie kar było w kodeksie naszym: więzienie chwilowe, więzienie ciężkie o chlebie i wodzie, nareszcie ekskluzya, czyli wypędzenie ze szkoły.*)

Nagrody odbieraliśmy następne: w trzech pierwszych klasach listy pochwalne z podpisem wizytatora; w czwartej i na kursach oprócz listów, medale srebrne i akcessita do nich; na trzecim kursie był jeden medal złoty. Z codziennych zapisywań (w erracie) nauk i obyczajów studentów klasowych a z spostrzeżeń profesorskich na kursach i z egzaminów kwartałowych, zbierano listę nagród, które na sesyi profesorskiej u dyrektora stanowczo uło-

*) Raz sądzili pamiętam jednego studenta za ożenienie się... Władza szkolna mocno była zaturbowana, jak nam ten kryminał wystawić?... i nie bardzo też kanonicznie tę sprawę rozebrano. Małżeństwo albowiem wzięto za jednoznaczne z próżniactwem i jawną rebelią i skazano winowajcę a co większa z żoną na expulsyę ze szkół. Tego trzeba było władzy szkolnej.

żywszy, rozdawano przy wielkiej solenności w kościele, za błogosławieństwem zwykle biskupa i w przytomności rodziców i znakomitych gości.

Czacki, który wszystkiemu umiał nadać poważną okazałość, z wielkim przepychem strojów, orderów i ceremonii, otwierał i zamykał corocznie szkoły. Przy tych okazyach, przysłuchiwaliśmy się mowom duchowieństwa, obywateli i profesorów, przywykając zawczasu do tego publicznego życia, jakiego w sercu i modłach swoich ten ojciec młodzieży pragnął dla naszego dojrzałego wieku a które, niestety! my już i pod starość naszą sprawować nie możemy! Niech się dzieje wola Boża! Cóż nadto powiedzieć? Czarującym, można powiedzieć wpływem skarbił sobie Tadeusz Czacki serca nasze! bo on z nami był studentem; a widząc go nieraz tego samego dnia chodzącego z rana z pierwszymi matadorami kraju, błyszczącego odznakami dostojeństw, a wieczorem w składanym białym kapeluszowym kaszkiecie, w sieraczkowym surducie, grającego z nami w piłkę lub goniącego do mety, jakże go było serdecznie nie kochać? On to pierwszy oswoił nas z myślą, że w każdym wyższym urzędniku, człowieka i serce wypatrywać

najpierwej należy — myśl filozoficzno-moralna, obfita w dobry owoc w kraju wolnym, ale która nas tak niezdolnymi i tak nienawistnymi czyni w oczach teraźniejszego naszego rządu!

Dla dopełnienia obrazu Krzemieńca, muszę nadmienić i o towarzystwie, które się tam zbierało, bo z jednej strony wpływ niemały wywierało na polor układowy młodzieży, z drugiej na srogie prześladowanie rządu, który zjazd ten zawsze ze strony politycznej uważając, zawziął się na Krzemieniec, jako miejsce źle i wolno myślących ludzi. Ta jednak opinia utworzyła się dopiero, kiedy cesarz Aleksander po drugim sejmie warszawskim, jawnie odkrył zmianę liberalnych swoich zasad, a rozwinęła i dopełniła za następcy Augusta, przy gorliwości jego Sejanów.

Towarzystwo krzemienieckie składało się początkowo z kilku domów, a mianowicie z dwóch familii Czackich, starosty nowogrodzkiego i podczaszego koron. brata jego, z domu ojca mojego i z rodziny JW. Malczewskiego,*) brata generała, tudzież JW. Michała Sobańskiego, członka a później prezesa komisyi

*) Stryj Antoniego, autora „Maryi“ i Konstantego, którego los dziwny zaniósł do Ameryki południowej, gdzie był adjutantem przy Boliwarze; obaj uczniowie krzemienieckiej szkoły.

sądowej edukacyjnej, którego właśni synowie i stryjeczni tak pięknie w ostatnich czasach odznaczyli się rycerskiem męstwem i cierpieniem.*) Później cokolwiek świetniejszego było w prowincyi odwoziło dziatwę do Krzemieńca; rodzice majętni mieszkali przy dzieciach; domy i domki wzrastały jak grzyby po krętych ulicach lichej mieściny, która się i bruku doczekała. Zimowe zebrania a raczej zapustne zabawy zaczęły ściągać kawalerów, elegantki i coraz więcej matek z córkami; w końcu odgłos zjazdów i zabaw krzemienieckich tak się rozpowszechnił, że sławna wonczas europejska spiewaczka Catalani, objeżdżając północne kraje, nie pogardziła i Krzemieńcem, skąd za jeden koncert wzięła 1.000 czer. zł. Odtąd Krzemieniec zwano małym Paryżem; realnie, polor, jaki odbierali starsi studenci uczęszczający w towarzystwach obywatelskich, znacznie wpłynął na późniejsze ich w świecie wykształcenie, luboć może umniejszał bardzo korzyść ściśle naukową.

Umarł nieodżałowany Czacki, starosta nowogrodzki w Lutym 1813 r. Może w porę dla siebie, bo nie był świadkiem klęsk, jakich

*) Któż nie słyszał o męstwie braci Sobańskich, Izydora i Aleksandra, pierwszych twórców powstania podolskiego.

kraj i ulubiona jego szkoła doznały w tych czasach!

Nie doczekał się on nawet ostatnich lat panowania cesarza Aleksandra a więc mógł i umiał dawać ratunek zakładowi, na którego już wtedy rządowi służalcy czyhali. Najgłówniejszym jego wrogiem był w 1812 roku wszechwładny gubernator Wołynia Komburlej, grek rodem. Ten mając łaskę u znaczącej jeszcze faworyty cesarskiej, Maryi Antonówny Naryszkinowej, niestety trząsł prowincyą bezkarnie (jak się wonczas zdawało!) i pragnął Czackiego uwięzić a szkołę przenieść do moskiewskiego miasta Charkowa. Kryć się więc musiał Czacki po różnych domach a najczęściej przesiadywał u Malczewskich w Tarnorudzie na Podolu, aż dopiero gdy smutna rejterada francuska odjęła już wszelkie nadzieje ojczyźnie naszej, gdy już książe Józef Poniatowski ostatkami wojsk polskich za granicą kraju swojego, zakrywał raptowny odwrót Napoleona, wtedy Czacki mógł śmielej pokazać się na oczy rządcom naszym.

Wtedy powtórnie był kuszony przez Petersburg i ks. Adama Czartoryskiego, wierzącego jeszcze w przychylność Aleksandra, do zawiązania z księciem Kazimierzem Lubomir-

skim (z Dubna) jakiejś niby konfederacyi przeciw Francuzom i trzymającemu z nimi wojsku naszemu, jak to przed kampanją 1811 r. proponowanem raz już jemu było i gen. Kniaziewiczowi. Potrafił on jakoś i teraz ustrzedz się plamy, którą na najczcigodniejszą głowę jego chciał rzucić najzręczniejszy rząd do plugawienia. Lecz zmęczony trudami, nieszczęściem kraju, niepewnością przyszłego losu ojczyzny, wreszcie rażony niespodzianą śmiercią dwóch dobrych przyjaciół, księcia Kazimierza Lubomirskiego i generała Karwickiego, jadąc na pogrzeb tego ostatniego, zapadł w Dubnie na gorączkę nerwową. Tam na rękach najpierwszego lekarza w kraju, Dra Lerneta, przyjaciela swojego, w dni kilkanaście przeniósł się z tej ziemi do lepszego świata!... *)

Kiedy rozpaczliwa o tem wiadomość wpadła do Krzemieńca, rzekłbyś patrząc na mieszkańców tego miasta, że dla nich dzień sądu ostatecznego przyszedł! Co żyło, płakało, bez żadnej mówię to przesady, bo płacz starszych i rozumiejących stratę swoją, wzbudzał płacz

*) O szczegółach życia i pogrzebu Czackiego, można dokładną zaciągnąć wiadomość w dziele księdza Alojzego Osińskiego, infułata oryckiego, nominata łuckiego. Do Encyklopedyi powszechnej wydawanej w Wilnie, napisałem krótką biografię tego męża, ale ją nie przyjęto do redakcyi i rękopism zagubiony.

dzieci, widząc ten lament powszechny. Delegacye ze stanu nauczycielskiego i uczniów, tudzież mieszczan i żydów, pojechały na obrzęd pogrzebowy do Dubna, po odbyciu którego ciało tego wielkiego męża zawiezione zostało do Porycka i złożone w grobie familijnym, a serce jego w srebrnej urnie z napisem: *Ibi cor tuum, ubi tesaurus tuus*, przywieziono do Krzemieńca i umieszczono w bibliotece zakładu *).

Na krótko przed tym wypadkiem, bawił Czacki w domu naszym niemal tydzień a ja 14-letni wówczas chłopiec służyłem mu za sekretarza. Dnia jednego dziwny miał sen; nie wiedząc albowiem o chorobie Karwickiego, przyśnił się on mu w postaci zmarłego, kiwającego nań ręką i zapraszającego do siebie. Strwożyło to Czackiego, który nam zaraz ten sen opowiadał. Lecz drugi sen Czackiego a raczej widzenie, które on nietylko mojemu ojcu ale wielu znajomym opowiadał, było jeszcze dziwniejsze; że zaś w żadnej biografii Czackiego nie znajduję o tem wzmianki, dla niestracenia o tem tradycyi, tu je opisuję:

*) Dzisiaj po zniszczeniu szkoły krzemienieckiej i wywiezieniu biblioteki do Kijowa, urna z sercem Czackiego znajduje się również w Porycku.

Starosta Czacki bawił w r. 1812 w majątku swoim Porycku. Jednej nocy, żona jego Barbara z Dębińskich, przebudzona rzewnym płaczem męża, pyta go o przyczynę żałości. Gdy on na to: „Nie widziszże ojca mojego siedzącego na łóżku przy nogach moich?“ Żona nic nie widziała. Czacki zaczyna opisywać ubiór ojca a pokazało się później, że istotnie w takim kontuszu i żupanie był pogrzebiony, o czem starosta nie wiedział, nie będąc na pogrzebie ojca. Znowu rzekł Czacki do żony: „Patrzaj, żegna się i odchodzi!“ Zona i wtedy nic nie widziała. Po chwili uspokojenia, Czacki najprzytomniej tak dalej mówić zaczął: „Dziwne mi rzeczy mój ojciec opowiadał! kazał najpierwej za siebie się modlić i dla wybawienia go z czyścowych udręczeń, polecił o ile można wynagrodzić dwie krzywdy, które za życia wyrządził. Pierwszą, wynaleść sukcessorów jakiegoś żyda, któremu ekonomia Brusiłowska (majątek w Kijowskim) krowę zabrała za szkodę w łanie, czem ubogą familię zniszczyła i wynagrodzić im tę stratę. Drugą: zapłacić pewnej familii kilkadziesiąt tysięcy złotych polskich, ukrzywdzonej kompromisarskim sądem jego, w którym dał się uwieść przyjaźni. Potem o losach kraju tak mówił: „Będzie Polska wielka i szczęśliwa jeszcze, ale nie teraz, albowiem ta, której się spodziewacie (w r. 1812) nie ucieszy żadnego prawdziwego patrjoty, a ty i twój syn starszy i takiej nie zobaczycie!... Przed twoją śmiercią jeszcze ci się raz pokażę!“

Żona starosty uśmierzała go jak mogła, tłumaczyła sen czy widzenie przez gorączkę i imaginacyę, ale Czacki zawsze powtarzał, że to wszystko widział i słyszał na jawie. Jakoż w krótkim czasie wynalazły się w archiwach Brussiłowskich tudzież i Poryckich, ślady jednej i drugiej popełnionej krzywdy i te starosta nowogrodzki pozaspakajał według ojca woli.

W rok po śmierci Józefa Czackiego starszego syna a we dwa lata po zgonie starosty, cesarz Aleksander ogłosił się królem Polski, mniejszej wprawdzie jak było Księstwo Warszawskie, bo bez Poznania i obwodu Białostockiego. Różnie, różni o tym śnie, przepowiedni Czackiego, mówili, ja powtórzę z Shakespearem, że są jeszcze na tym świecie rzeczy, o których nasi filozofowie nie wiedzą i wiedzieć nie będą!

ROZDZIAŁ IV.

Po śmierci Czackiego, zajął urząd wizytatora młody wówczas jeszcze człowiek, hrabia Filip Plater, niejako wychowaniec i przysposobiony przez Czackiego następca. Na jego pochwałę tyle powiedzieć można, że po takim poprzedniku Plater złym się nie wydał a nawet potrafił sobie zjednać przychylność uczniów. Była to epoka niezaprzeczonej jego zasługi, ponieważ nie bardzo lubiony przez księcia Adama Czartoryskiego w onym czasie kuratora, nieznany ministrowi, niechętnie przyjmowany za naczelnika przez skład nauczycielski, młodości jego niedowierzający, potrafił jednak wywalczyć sobie miejsce, w którem bardzo zręcznie wzór przez Czackiego zostawiony naśladując, nowemi zbieranemi ofiarami wzbogacał a pracą i stosunkami zasłaniał od prześladowania powierzoną mu szkołę.*)

*) Smutny bowiem był koniec tego wielce sposobnego za młodu urzędnika, umarł 1839 r. w Odessie, w stanie zwierzęcego ogłupienia; był on z gałęzi Platerów Żmudzkich; ojciec jego Antoni Plater, właściciel Dąbrowicy, sławny był ze swego gospodarstwa.

Dobre to były jeszcze te Platera czasy; a co się tyczy zjazdów, zabaw i ruchu, może najświetniejsze! Przyczyniał się wielce do tego znany szef Józef Drzewiecki, legionista, towarzysz Dąbrowskiego i Kniaziewicza, który będąc marszałkiem szlachty powiatu Krzemienieckiego, odziedziczył po Czackim rzadki dar przyciągania, ugaszczania, ubawiania tak mieszkańców jako i przyjezdnych.

W ową porę, po powrocie moim już z zagranicy, odwiedzałem często dom JW. hrabiny z Platerów Ożarowskiej, wdowy po zacnym polskim generale Kajetanie Ożarowskim, nie spodziewając się, że później po przejściu prób i nieszczęść, przyjdzie mi w tym domu szukać i znaleść powtórną towarzyszkę życia, która mi dotąd z takim poświęceniem i miłością dźwigać je dopomaga!

Uniwersytet Wileński pod wodzą Śniadeckich, ludzi uczonych lecz dumnych, zaczął zazdrościć powodzeniom podwładnej mu szkoły i obstał przy służącym mu przywileju mianowania wizytatorów z grona swojego; książe Adam, duszy i serca najszlachetniejszych, ale charakteru słabego i wahającego, nie mógł

się długo opierać naleganiom Sniadeckich, a więc Plater widział się zmuszonym ustąpić z posady swojej. Była to chwila, w której cesarz Aleksander upojony szczęściem po kampanji francuskiej, pochlebstwy Laharpa i pani de Stael, a może też idący za natchnieniem serca, bo je miał dobre bez wątpienia, pragnął prowincye nasze przyłączyć do utworzonego przez siebie Królestwa Polskiego, i dla tego przysposabiał może umysły krajowców swoich, mianując na urzędników wyższych na Litwie i u nas, Polaków. Bartłomiej Giżycki, były generał wojsk rosyjskich z Guberskiego marszałka postąpił na gubernatora Wołyńskiego, usunąwszy Komburleja, po zagubę którego jeździł sam do cesarza aż do Paryża. On to, znając i lubiąc Platera, przedstawił go na wice-gubernatora Wołyńskiego. Ktoby się mógł spodziewać, ażeby z owej przyjaźni, tyle później szpetnej i brudnej nienawiści z serc tych dwóch skąd inąd poczciwych ludzi, wypłynęło! Osobiste wypadki życia mego mają związek z kłótnią tych dwóch niegdyś przyjaciół. Filip Plater, lubo zachował reputacyę najsposobniejszego i szlachetnego urzędnika, szwankował na tej posadzie pod względem serca i patryotyzmu; przymioty jednak osobiste musiały równoważyć wady, bo nikt z jego

przyjaciół nie opuścił go, a w tym rzędzie położę siebie, Steckiego prezesa sądu głównego i Feliksa Czackiego, który zajął po stryju swoim staroście, prezydencyę w komisyi sądowej edukacyjnej.

Postrzegam, żem nic jeszcze nie wspomniał o tej tak ważnej, chociaż monstrualnej magistraturze, jaką była komissya sądowa edukacyjna. Pomysł o niej Czackiego z poczciwego wypłynął źródła, jak wszystko co on zamyślał, to jest z gorliwości o dobro pokoleń przyszłych naszego kraju. Jednak użyty środek istnym był nadużyciem, ponieważ tworzył oprócz krzyżujących się już nie mało rozmaitych władz sądowych, wśród praw ukazami popstrzonych, nową sądowniczą, bez appelacyjną władzę, fiskalizującą na rzecz funduszu edukacyjnego. Był to zapewne najprędszy sposób dorobienia się majątku przeznaczonego wprawdzie na oświatę publiczną, ale rękojmią jej sprawiedliwości był tylko charakter osobisty osób tę juryzdykcyą składających.

Jakoż czas wykrył później, że po zmianie systematu liberalno-toleranckiego cesarza Aleksandra, fundusz edukacyjny kosztem prywa-

tnych majątków nabyty, stał się własnością nazwy, tej uprzywilejowanej grabicielki wszelkiej własności, tej sukcesorki naturalnej, wszystkich nieprawnych spadków!

W skutkach więc swoich, gorliwość Czackiego okazała się błędem, bo wyniosła kilkanaście milionów złotych z rąk prywatnych i oddała je niechcąc, nieprzyjaźnemu rządowi. Ale na uniewinnienie Czackiego można i to powiedzieć, że mógł jak i inni zapomnieć o despotyzmie w pierwszych latach panowania Aleksandra i że skład sądowy jaki sobie dobrał, był istotnie złożony z pierwszych i najzacniejszych obywateli naszych prowincyj.

Dotąd jeszcze (a piszę w 1841. r.) Krzemieniec nie przeorany i solą nie zasiany, dotąd jeszcze mury Zygmuntowskiego zamku, chociaż co dzień szczypane próżniaka ręką, jakiego popowicza, stoją i szczęśliwszej zdają się doczekiwać przyszłości. Modlitwa w ubogiej chacie, msza św, przez bogobojnego Bernardyna co dzień spiewana, może prędzej dojdzie do Wszechwładcy światów, niż dawne solenne nabożeństwa, niż choralny spiew dzisiejszych posiadaczy gmachów naszych. Czekajmy, komu Bóg czekać dozwoli! Myśl moja

często zwraca się do miejsca, w którem lat kilka młodzieńczego wieku przepędziłem.

Ze szkolnych wspomnień, nie mam wiele do zapisania; uczyłem się nie źle, ale nie wyśmienicie; miałem w kolegach wielu przyjaciół, chociaż niektórzy starsi byli wiekiem i nauką. W liczbie tych miło mi zaliczać Sienkiewiczów Karola i Jana, Dobrowolskiego Adolfa, Chlebowskiego Piotra, Tylmana Antoniego, Ordyńca; z młodszych Baworowskiego (później Jezuitę), Tymona Zaborowskiego, Sobańskich i t. d. Miałem też i nieprzyjaciół, z których jednego nie lubiłem tylko; drugi zaś był ohydą całej szkoły, która go poczwarą nazywała.

W czasie pobytu mojego w Krzemieńcu, dwóch tylko miałem domowych nauczycieli; pierwszym był Mikołaj Czarnocki, profesor algebry, drugim Jan Łuczyński, profesor fizyki. Odebranie mię od pierwszego, a umieszczenie u drugiego, było spowodowane nieszczęśliwem wydarzeniem, którego przebieg i tragiczne rozwiązanie z obowiązku sumienia tu umieszczam, ażeby pamięć niewinnych, przez kogobądź niesprawiedliwie oskarzoną nie była. Wychowywał się ze mną razem krewny mój

Ludwik Olizar, syn Fryderyka. Będąc wprzód na opiece stryja mego Kalasantego, testamentem jego był przekazany opiece i względom ojca mojego. Przydany mi za kolegę i brata, nieszczęśliwy Ludwik był celem największej troskliwości, a że był charakteru żywego i upartego, nadto trochę wypieszczony przez pierwszego opiekuna, lepiej mu się działo u nas jak mnie samemu, gdyż ojciec mój w przywiązaniu swoim do pupila ukochanego brata swojego, zachowywał jakiś rodzaj delikatności, której nie miał potrzeby okazywać dla własnych dzieci. Razu jednego, przy zbliżaniu się wakacyi, profesor nasz Czarnocki, powiózł nas kąpać się do wsi bliskiej Młynowice, nad rzeką Ikwą; lecz przybywszy na miejsce i spostrzegłszy, że woda na rzece znacznie przybyła, zabronił nam tej uciechy i zamienił ją na inną, łapanie ryb na wędkę. Ja i reszta młodych, bo nas było kilku, usłuchaliśmy tej rady od razu i na grobli z drugiej strony młyna zaczęliśmy się bawić, kiedy p. Ludwik wymknąwszy się z pod oczu i rozebrawszy się, po za chatą Mielnika wszedłszy do wody, krzykiem swoim oznajmił nam, że kąpiel wyborna. Czarnocki wołać nań i błagać począł, ażeby natychmiast wychodził, gdyż samemu kąpać się nie dozwoli a Ludwik od-

powie: Zaraz wyjdę, tylko raz jeszcze dam nurka; dał go też wprawdzie wobec nas wszystkich... ale się nam już więcej z wody nie pokazał!!

Przerażony Czarnocki, ubrany rzucił się w wodę, ale że pływać nie umiał, profesor Miechowicz rzucił się za nim i wyciągnął na brzeg. Biedny zaś Ludwik, po próżnym szukaniu go przez najlepszych pływaków, będąc pod wodą godzin kilka, już do życia nie mógł być przywrócony. Cały Krzemieniec w przeciągu godziny, zjechał się do Młynowiec, na odgłos tego nieszczęścia; dawano 100 rubli nagrody pływaczowi, któryby go znalazł — daremne były usiłowania! w końcu p. Audibert, francuz, nauczyciel konnej jazdy, doradził puścić chleba bochenek na wodę; gdzie po zakręceniu się stanie, tam się ciało znajduje. Jakoż w naszej przytomności, robią to doświadczenie; bochenek płynie naprzeciw wody spadającej z kół młyńskich, kręci się i staje. Nurek puszcza się w to miejsce i wyciąga zmarłego Ludwika!! Skutkiem może tego wiru co i ciało pochwycił. Nigdy się w mojej pamięci smutny ten widok nie zatrze! Ileż to środków rozmaitych nie użyto, bez skutku niestety! żeby w nim życie jeszcze przywołać!

Ciemnym zmrokiem wróciliśmy do Krzemieńca a przyjaciele Czarnockiego już go pilnować zaczęli, gdyż widocznie z wielkiego smutku, jakiegoś pomieszania zaczął doznawać.

Uwiadomiony o tem nieszczęściu mój ojciec, wielce nim dotknięty został. Pierwszą myślą jego było, przelać dobrodziejstwa jakiemi stryj nasz udarował był Ludwika, na innego członka tejże rodziny: czekał tylko, żeby się kto odezwał ze spółczuciem użalenia, ale miasto tego familja nieboszczyka, czy z żalu czy z zawiści (bo zapis stryja wracał z woli jego do naszego domu), zaczęli miotać niegodziwe potwarze, tak na nauczyciela, jako na ojca mego, co gdy doszło do niego, zmienił już dla tej rodziny pierwsze hojności swojej zamiary.

Po wakacyach oddano mię już do profesora Łuczyńskiego, z wielkim moim i mego pierwszego poczciwego mistrza smutkiem; ten bowiem, coraz bardziej zapadając w czarną melancholję, w końcu życie sobie odebrał.

Takie były ostatnie moje szkolne wrażenia, gdym wkrótce wrócił do domowych stosunków, zaczęło się ukuwać to żelazne ogniwo,

jakim przy pierwszem mojem wyjściu na świat, czułem się spętany; ztąd długa plątanina nieśmiałego i niepewnego chodu po ścieszce życia które w tym wieku zwykle kwiatami wydaje się usłane, jam wcześnie bardzo ciernie napotkał!

ROZDZIAŁ V.

Szczególnem rozrządzeniem Opatrzności w ważnej dla historyi naszej urodziwszy się porze, pamięcią tylko a nie działaniem mogłem mieć uczestnictwo w główniejszych wypadkach politycznych wieku, gdyż albo małoletność, albo obowiązki rodzinne, nad wiek mój poważniejsze, były mi przeszkodą.

Kampanja 1812 r. pochód Napoleona do Moskwy, smutny jego odwrót, zdrada Schwartzenberga, feldmarszałka austryackiego, stojącego nad Styrem, nie posuwając się do naszych prowincyi, aby dać czas admirałowi moskiewskiemu Tchitschagowowi do połączenia się z ostatkami rozbitego korpusu generała Tormansowa i módz znakomitą już siłą skutecznie przegradzać odwrót armii francuzkiej, wszystko to tkwi świeżo w pamięci mojej, bom rozmowom ojca mojego z Czackim się przysłuchiwał, płacz ich i smutek widział. Dwadzieścia tysięcy dukatów przygotowanych przez mojego ojca na uformowanie pułku, w razie wejścia

do nas wojsk polskich, leżało dla mojego brata, nie dla mnie, bo wtedy jeszcze ledwie bym mógł być fetrem przy doboszu pułkowym.

W owym czasie nadziei i niepewności, która się wkrótce na tak ciężki zamieniła smutek, mieszkał u nas oddany na porękę ojca mojego, z racyj stosunków z Komburlejem, krewny nasz Wojciech Pustowski, marszałek słonimski, ożeniony z kasztelanową lubelską. Rząd rosyjski obawiając się wpływu większych posiadaczy majątków, już wtedy uwoził ich z kraju, w miarę postępowania wojsk francuskich a litewscy magnaci, jedni z musu, drudzy z ostrożności wyjeżdżali do głębszych gubernij moskiewskich lub do prowincyj nie zajętych jeszcze przez wojska sprzymierzone. Pustowski przez cały ciąg wojny bawił u nas; pobożny był to człowiek; opuścił nasz dom, skoro tylko wrócić mógł bezpiecznie do majątków swoich, mniej może przez nas żałowany jak tego był godzien z racyj sprzeczności w politycznych jego opiniach.

W tej właśnie porze, przyprowadzono do Berdyczowa wojennych jeńców oddziału generała Konopki, który choć dwukrotnie przestrzegany, dał się jednak schwycić i zabrać gene-

rałowi rosyjskiej służby Czaplicowi, polakowi, lecz uwięzłemu w obowiązkach honoru i wierności dla sztandaru, pod którym broń dźwigał. Bóg to osądzi, bo On jeden wie, dlaczego tak ciężkie i trudne do rozebrania, niektórym poczciwym ludziom naznacza obowiązki; bo Czaplic był poczciwy człowiek i nie był złym polakiem w życiu prywatnem — Konopka dał wtedy zabrać kwiat młodzieży z powstania litewskiego; był pośród nich młody wówczas książe Antoni Jabłonowski, o którym wiele wspominać mi tu przyjdzie.

Wiadomo na czem się kampania 1812 r. skończyła; o tem nader wiele pisano w najdrobniejszych szczegółach; wspomnę tu tylko, że w ciągu roku jednego ów wielki Napoleon, na czele swoich i sprzymierzonych wojsk, niemieckiej Rzeszy, Austryaków, Prusaków, Włochów i naszych Polaków, których do stutysięcy wystąpiło, był w Moskwie, a za dopuszczeniem Bożem, gdy go wszyscy oprócz nas odstąpili, gdy głód i mróz wytępiły mu armię, gdy pomimo walecznych cudów pod Lützen i Bautzen, musiał się cofnąć do swego kraju, w ciągu mówię jednego roku, cesarz rosyjski ze swoimi Baszkirami i Samojedami poszedł do Paryża a pogromca świata ledwie zdołał

otrzymać dla siebie lichy przytułek na wyspie Elbie.

Burbony, po dwudziestokilkuletnim wygnaniu, wrócili nazad do Francyi, a ludzie myślący i pobożnego ducha, wyrzekli: „Skruszył Pan Panów narzędzie chłosty swojej, cóż jest dla Niego niepodobnem?

Dla nas, nic wtedy dobrego nie wynikło, nasza nie wybiła godzina! targowano się o nas na kongresie wiedeńskim. Upokorzona Francya, którą na tym zjeździe monarchów reprezentował jednak najrozumniejszy człowiek wieku Talleyrand, książe Benewentu, próżno się domagała przywrócenia udzielności Polski całkowitej; daremnie poseł angielski Lord Castlereagh w tym samym duchu podawał noty, na mocy niby lecz kłamliwie przybranego hasła: *Suum cuique.* Nieskutecznem było i zezwalanie choć powolne Austryi, Rosyi z Prusami, nietylko przeszłowieczną grabież utrzymać, ale powiększyć chcieli a gromowy powrót Napoleona do Francyi najniekorzystniej spór kongresu względem nas rozwiązał. Obcięte Księstwo Warszawskie dostało się Rosyi z tytułem Królestwa; łakomstwo Prusaków Księstwem Poznańskiem, częścią Saksoni i Westfalją zaspo-

kojono — Austryakom zaś Włochy pod jarzmo oddano.

Taki był stan polityczny Europy w 1814 roku, kiedy mój ojciec ciężką chorobą, bo paraliżem złożony, powziął zamiar wyjechania do Włoch z domowym swoim lekarzem, doktorem Bazylim Kostowiczem i ze mną, liczącym zaledwie lat 15. Tu się rozwija dla mnie pasmo przygód i wypadków, dojrzalszego wieku wymagających a których wpływ wielką położył wagę na pierwszą młodość moją i kierunek całego żywota.

Ojciec mój wdowiec od lat kilkunastu, chociaż troskliwy o wychowanie swojej córki, nie był szczęśliwy w wyborze guwernantek dla niej — było ich trzy, wszystkie zagraniczne i mało sumienne; ostatnia więcej zajęła się kształceniem brata przystojnego chłopca, aniżeli panienką swoją — i taką w nim miłość rozbudziła, chociaż brzydka i ospowata, że dla niej brat mój i na niełaskę ojca zasłużył i piękne partye opuścił, zakopawszy się z nią na wsi przez lat kilka; na jej jednak pochwałę to rzec można, że jedynie afektem, choć nieporządnym wiedziona, ani majątku zbierać się nie starała, ani też na związek małżeński się

nie zgodziła, wiedząc, że tem by na zawsze serce ojca ulubionemu swojemu by zagrodziła.

Wynikłe ztąd niesnaski domowe sprawiły, że Czacki prawie gwałtem wydał siostrę moją za Konstantego Przezdzieckiego, starościca Pińskiego, zacnego i dostojnego obywatela, nie posiadającego zewnętrznych powabów, oprócz imienia i majątku. Brat mój mając sobie dymittowany majątek Rafałówkę, spuściznę po stryju, z okazyi nieszczęśliwej miłości i zajścia z owym doktorem Kossowiczem, opuścił dom rodzicielski. Wtedy rola Kossowicza, Don Basilia, wątpliwa dotąd, na jaw okazywać się poczęła. Pewny wpływu swego nad starcem, któremu raz szczęśliwie przywrócił życie zapomocą lekarskiej sztuki, którą wysoce posiadał, zapragnął prędko majątku się dorobić. Gdy więc propozycya czyniona mojemu bratu podróżowania z ojcem, którego wedle jego wyrażenia „prędko gdzieś pogrzebać mogli“, z pogardą odrzuconą została, korzystając z zagniewania ojca przeciw synowi, poróżnił ich do reszty a namówił znękanego chorobą starca, aby mnie ze szkół odebrać, i ze mną, reprezentantem niby familii jechać do Włoch, dla prędkiego ratunku zdrowia.

Tak się też i stało. Z Krzemieńca, z drugiego kursu fizyki, do podróżnego powozu mię zabrano a ja, co bardzo naturalne, błogosławiłem układom które mi kazały, mozoły szkolne, na rekreacyą wojażu zamienić.

ROZDZIAŁ VI.

Pierwsze szczegóły naszej podróży nic bardzo zajmującego nie przedstawiały, ale co naprzód powinienem opisać — to stan fizyczno-moralny podróżującej naszej gromadki. Biedny mój ojciec paraliżem tknięty, pozbawiony był mowy i nie miał władzy chodzenia ani jakiegobądź umysłowego zajęcia; ja, student, ptaszek z klatki wypuszczony, do niczego, chyba wietrzenia świeżego powietrza. Kossowicz więc de facto, pan i przewodnik wyprawy! Zręcznie więc, przed wyjazdem z Korosteszowa wszystko dla siebie uporządkował. Plenipotent jeneralny ujęty, komisarz z jego ręki dodany; obaj ci zastępcy właściciela, dyktatorską władzę doktora uroczyście uznali. Wszystkie więc podróżne pieniądze trzymał Kossowicz u siebie i dalsze intraty na jego ręce przychodziły. Nie pożałował on sobie i pensyi w kontrakcie przed wyjazdem przez niego i dwóch wymienionych

urzędników, sporządzonym. Zapewnił albowiem sobie 300 rocznie, wszelkie wygody, wolną praktykę i za towarzyszenie i odprowadzenie mojego ojca z podróży Włoskiej, zawarował sobie 30.000 zł. pols., które dla uniknienia brudnego procentu, wypłacono mu do grosza.

Roku 1814go, w Maju przejechaliśmy granicę w Brodach i tegoż dnia przybiegł goniec od Przezdzieckiego do mojego ojca z doniesieniem, że mu się wnuk Aleksander narodził, lecz na to odpowiedzi nie było, bo Kossowicz już był plan swój rozwinął, przyjmowania wszelkich korespondencyj do mojego ojca, pod pozorem chronienia jego zdrowia. Wyznać muszę, że początkowe postępowania ze mną Kossowicza były wielce ujmujące; szczerze temu człowiekowi byłem gotów zawierzyć; a podstępne przedstawiania jego, nie znajdywały wielkiego oporu w umyśle młodocianym, zajętym szczęściem zajmującego próżnowania, które winien byłem uczynności eskulapa naszego.

Minęliśmy więc Lwów, Ołomuniec, Berno, na które to miasta coraz większe otwierałem oczy a w końcu dojechaliśmy do Wiednia, w chwili najciekawszej, bo podczas kongresu

św. Przymierza i niemal wszystkich europejskich mocarzy.

Obraz Wiednia, książką napisana przez zbyt wcześnie zmarłego rodaka, księcia Edwarda Lubomirskiego, daje dostateczne wyobrażenie, o czynnościach tego zjazdu sławnego, względnie spraw świata i naszej biednej Ojczyzny. Wspomnę tu tylko o fizyonomiach owych władców, co jak studenci, pozbywszy się groźnego bakałarza swego, Napoleona, serdecznie się bawili. Skreślić chcę ich portrety, tak jak ich na oczy widziałem w zamku cesarskim, na wielkiej reducie, gdzieśmy byli w liczbie pięciu tysięcy osób.

Rej, jakto mówią, wodził między niemi cesarz Imci rosyjski, Aleksander. Piękny wzrost jego, barczyste plecy, ujęta w ciasny mundur kibić, czoło wyniosłe, wdzięczny uśmiech na twarzy i uprzejma zalotność, najwidoczniejszym go czyniły. Zawsze on w pierwszej parze z cesarzową Jejmość austryacką, księżniczką modeńską, wtórą żoną cesarza Franciszka, wszystkie polonesy zawodził. Po nim zwykle szedł, albo cesarz austryacki w białym bez szlif mundurze, bardziej do burgrabiego, niźli do właściciela domu swego podobny, ze znaną przeciągłą fizyonomią domu lotaryńskiego.

Często jednak ustępował miejsca drugiemu znakomitemu, choć nie tyle miłemu gościowi, Imci królowi pruskiemu, Fryderykowi Wilhelmowi; był to piękny, dorodny mężczyzna; chciał on niby zachwycić nieco układności cesarza Aleksandra, ale jakiejś niemieckiej sztywności zwyciężyć nie mógł.

Król Imci duński, Fryderyk, nie pomnę jakiego numeru, był może pan wysokich przymiotów, ale bardzo lichej i śmiesznej postawy. Mały i suchy, miał twarz i włosy białe, oczy czerwone, jak u królika i spodnią wargę niezmiernie wydatną, niebieskawo-siną. Gdyby on był królem francuskim podczas pierwszej rewolucyi, możeby mu za tę przyrodzoną trójkolorową barwę, wiele darowano?

Król Imci zaś wirtemberski za to, słoniową swoją grubością, szeroką sobie ścieszkę torował w salonach kongresu, jeżeli nie w jego radzie; brylantowemi guzikami frak swój zielony ozdabiał, nie nosił albowiem ubioru wojskowego. Król Imci bawarski, Maksymilian, poczciwą miał fizyonomię, dobrego burmistrza niemieckiego. Zięć jego, książę Eugeniusz Beauharnais, ekswicekról włoski, stał w naszym tłumie widzów i tylko od cesarza Aleksandra uśmiech i zaprosiny odbierał, aby się do panujących przyłączał, na co mu wice-król skromnym, lecz pełnym godności wojskowej, ukłonem odpowiadał.

Różnej barwy książąt panujących Rzeszy niemieckiej, trudno było w tym tłumie naliczyć, tembardziej, że oczy moje, choć bardzo wówczas młode, ciekawszych ludzi piórem lub szpadą panujących, wypatrzeć pragnęły; takiemi byli: Talleyrand, książę Benewentu, poseł francuski, patrzący na tę zabawę z obojętną spokojnością, jakby ten, co sprawiwszy gody, widzi, że wszystkiego biesiadnikom dostarczył. Książę Metternich, kanclerz cesarstwa austryackiego, najpiękniejszą, wypogodzoną twarzą i szlachetną fizyonomią pokrywający sumienne może, lecz fatalne dla wolności ludów pomysły swoje! Widziałem Diuka Wellingtona w czerwonym mundurze, wysokiego, suchego Anglika z orlim nosem i opasłego feldmarszałka księcia Schwartzenberga, rozmawiającego z bawarskim feldmarszałkiem, księciem Wrede, jeden w białym, drugi w niebieskim mundurze, wszystko błyszczące złotem i różnej barwy wstęgami, musieli sobie wzajemnie winszować zdrady, jeden nad Styrem drugi nad Lipskiem; wszystko to razem było

nader ciekawe i podobnego zbioru znakomitości bogactw, strojów i wystawy, nie prędko widzieć się wydarzy.

Przy osobliwościach kongresowego zjazdu, miejscowe osobliwości miasta, nie zajmowały mię wiele a że Kossowicz odgrywał wtedy jeszcze rolę dbałego lekarza, staraliśmy się zaraz przywołać znanego w uczonym świecie człowieka, sławnego Dra Franka (Piotra) do konsultacyi w dalszym prowadzeniu kuracyi mojego ojca; piękny i poczciwy był to starzec, Dr. Frank; układny nasz Don Basilio, posiadający dobrze język łaciński, zaraz mu się zalecił, jako jeden z tysiąca uczniów jego, dopraszając się łaskawych względów mistrza, które też i otrzymał. Nie bardzo nałamawszy głowy, udecydowali, siarczane naprzód kąpiele w Baden a potem wyjazd do Włoch, gdzie mój ojciec miał zimę w Pizie przepędzić i gdzie Frank zalecał innego ucznia też swojego, Dra Morelli. Rozmowa Franka wielce mię zachwycała, był on natenczas doktorem księcia Reichstadt, kilkoletniego syna Napoleona, którego Marja Ludwika austryacka, niepoczciwa matka, nie ojcu, ani narodowi zostawiła, ale jako fant polityczny, cesarzowi austryackiemu oddała, za owe nikczemne księstwa Parmy, Piacencyi i Guastalli, które się jej w dożywocie dostały.

Dwie historyczne anegdoty o małym Napoleonie z ust Franka słyszane, zapiszę tu; kiedy tryumfalnym obrzędem kongresowi monarchowie, przy wspaniałym orszaku otoczenia swojego, na zamek wjeżdżali, to dziecko, wbrew naturalnej ciekawości wieku swojego, niechciało się tym widokiem bawić i żadnemi namowami nie dało się na balkon wyprowadzić, powtarzając: „Nie chcę widzieć nieprzyjaciół ojca mojego“. Kiedy mu raz przedstawiano, książęcia de Ligne, feldmarszałka austryackiego, on go zapytał: „Czy pan jesteś z tych marszałków, co mojego ojca zdradzili?“ Najdowcipniejszy wieku swojego człowiek, tak się tem zapytaniem zmięszał, że się nie umiał na inną odpowiedź zdobyć, jak na tę: „Ja jestem wiernym sługą, matki Waszej królewskiej mości.“ Świetne to orlątko w sępim gnieździe wychowane, bez powietrza i lotu, moralnem ścierwem przez opiekunów swoich karmione, nie uniknęło przewidzianego losu, i marnie, w kwiecie wieku swojego, życie skończyło!

Pojechaliśmy więc do Baden; tam oprócz przykro woniejących wód siarczystych, cudo-

wnej doliny Heleny, z pięknemi zwaliskami rycerskiego zamku, cudowniejszych kiflów i bułeczek a cudowniejszej jeszcze aktorki panny Hubert, nic w pamięci nie zachowałem. Wkrótce do Włoch wyjechawszy, widok pierwszy raz ujrzanych, okazałych gór Karyntyi, wielkie na mnie sprawił wrażenie, ale utkwiła bardziej w mojej pamięci, okoliczność we wsi Ponteba, granicznej komorze między państwy austryackiemi a ziemią włoską. Idący włościanin, przemówił do nas językiem prawie polskim, zapraszając nas do gospody na słowiańskiej części tego sioła. Nasz Landkutscher, najęty z Wiednia, rzekł do nas, że za mostem na stronie włoskiej, jest najlepsza gospoda pod znakiem konia a w tej wsi Ponteba od niepamiętnych czasów osiadłe pokolenia Słowian, Niemców i Włochów, dotąd ani zmięszać się, ani połączyć się nie potrafiły, choć od wieków o miedzę z sobą żyją. Tak więc pomyślałem, istnieje tu jak na wzór, żyjące słowo księgi Rodzaju: „I podzielił ludy na języki.“

Kiedyż to władcom ziemi przyjdzie do rozumu, ażeby boskich rozporządzeń nie psować i nie krzywić i podział ludów co do ich samoistności, na różności języków, trwalej i pewniej ugruntować?

Celem naszym było, jak najprędsze dostanie się do Pizy, gdzie klimat i rekomendowany Dr. Morelli, miały skutecznie na stan ojca mojego wpłynąć. Przejechaliśmy więc tylko przez kraje i miasta, które nas od tego punktu dzieliły. Trewiza, Ferrara, Bolonja, Florencya nawet po przelocie, już mniej wrażenia mi sprawiały, jak obaczenie pierwszy raz Lwowa.

W Wenecyi, gdzieśmy trzy dni spędzili, nie tyle śmiałe i szlachetne gmachy miasta tego na morzu zbudowanego, nie tyle historyczna potęga i upadek tej Rzeczypospolitej umysł mój zajmowały, jak uciecha pływania w gondoli! Dziś, gdy się wstecz obzieram, boleję nad lekkomyślnością usposobienia wieku tego, ubolewam że z natury mając nie pospolite zdolności do sztuk pięknych, lubiąc namiętnie muzykę a do rzeźby posiadając wrodzony niby genjusz, przez brak kierunku, przewodnika, rodzicielskiej opieki, wyrobionej woli, te piękne lata podróży bez korzyści zmarnowałem.

ROZDZIAŁ VII.

Pierwszą zimę pobytu naszego we Włoszech przepędziliśmy więc w Pizie, dla łagodności i jednostajności klimatu tej okolicy, osobom cierpiącym zalecanej. Piękne to albowiem miasto, na równinie po obu brzegach rzeki Arno osadzone, zakryte jest od wschodu i północy pasmem Apeninów a tylko od południa i zachodu wystawione na błogie działanie zimowego słońca i morskie powiewy. Stąd dwór Wielkiego księcia Toskańskiego przenosił się każdorocznie do Pizy na sroższe zimowe miesiące, w których jak mówią Włochy, Florencya, to istna Syberya, nie do zniesienia; chociaż w owej Syberyi, w której istotnie czasem chłodny wiatr z gór śniegiem okrytych powieje, nie ma prawie nigdy wyżej pięciu stopni mrozu. Ale domy nie opatrzone, brak pieców, posadzki kamienne, kominy ogromne nie zamykane, czynią mieszkania chłodne i niewygodne.

Nasz Don Basilio, który równie swoje, jak pacyenta swojego wygody cenić umiał, najął dla nas najpiękniejsze mieszkanie na „Lung Arno“, w pałacu margrabiego Boncioni; zajmowaliśmy całe piętro, złożone z tak obszernych komnat, że w nich wygodnie można było karjolką parą końmi jeździć. Życie nasze bardzo prędko się uporządkowało; do południa czytywałem mojemu ojcu; od południa do 2-giej odbywałem z nim spacer, o 2-giej obiad, do 4-tej wypoczynek, o 7-mej teatr, a o 10-tej wracaliśmy do domu; jeżeli kto z nas nie był na jakim wieczorze, co się częściej doktorowi jak mnie przytrafiało. Plany jego już były widoczne, chciał się najczęściej mną zastępować, by samemu swobodniej oddawać się rozrywkom a nawet naukom. W częstych do Florencyi wycieczkach, wyrobił sobie nie bez kosztu, patent na honorowego członka jakiegoś naukowego Towarzystwa.

Nudna jednostajność życia a zwłaszcza próżniactwo, otworzyło pole rozmaitym ponętom 16-letniego młodzika; ujrzałem wdzięki, które zbyt łatwo umysł i istotę moją opanowały; tą cyrceą była dama Pizańska wyższego tonu, margrabina B., którą nieraz zwano la

bella Marianna; istotnie nadzwyczaj piękna a tej piękności winna była swoje towarzyskie wywyższenie. Umiała ona po mistrzowsku prowadzić miłośne intrygi, pomimo gasnących już powabów dojrzałości. Obyczajem włoskim, pragnęła mię niejako urzędowo pomieścić w gronie swych wielbicieli, pod tytułem Il Forestiere, którego tem uprzejmiej i zaszczytniej uważano, o ile z dalszego przybywał kraju. Po spełnionych przy ojcu moim obowiązkach, wszelki zbywający czas spędzałem u mojej Dulcynei, co nareszcie w niesmak poszło staremu margrabiemu, od zasadzek których ujść zaledwo zdołałem, ostrzeżony czuwaniem przedmiotu czułych moich płomieni. Opatrzność, która tak dzieci jak szalonych, mimo ich wiedzy strzeże i mnie w tym razie od niebezpieczeństwa raczyła ochronić.

Wyjechaliśmy wtedy z Pizy a ja bez wyniesienia żadnych pamiątek, tak historycznych o tym grodzie, ani też wrażeń o cudach sztuk pięknych, które w architekturze, rzeźbie i malarstwie tak obfite pomniki na tej ziemi zostawiły.

Za drugim dopiero powrotem moim do Włoch, w lat 20 później, potrafiłem podziwiać śmiałą piękność pochylonej wieży Pizańskiej, architektoniczne bogactwo marmuru i bronzu katedry i Battisterya, tudzież nie zatarte jeszcze malowidła i styl gotycki sławnego pizańskiego cmentarza il Campo Santo od tego, że w nim ziemia mająca jakoby własność pożerania w godzin kilka powierzone jej ciała, na okrętach niegdyś możnej Rzeczypospolitej Pizańskiej, z ziemi świętej przywiezioną została.

Pełen ciekawych wspomnień jest kościółek maltański, którego sklepienie ozdobne w rzeźby a ściany w chorągwie u niewiernych zabrane. Nie bez wzruszenia patrzałem na te szczątki owej wieży głodu, w której Pizanie hrabiego Ugolina z całą rodziną, na tak okropną śmierć skazali. Udało mi się także być na tak zwanej Luminara; jest to illuminacya, urządzana corocznie w dzień św. Remigiusza, patrona Pizy; okazalszej trudno widzieć w największych miastach Europy. Oba nadbrzeża rzeki Arno, łączące je trzy mosty i pałace najwspanialsze, wszystko pokrywa się rusztowaniem, zupełnie inne kształty tym budowom nadające, na których miljony lamp lub świec jarzących gore. Dwór, wszyscy możni obywatele miasta i kraju w najświetniejszych powozach, po tych oświeconych nadbrzeżach

nocną odbywają przejażdżkę — ale nieraz w tym tłumie ujrzeć można i lichego konika, przyczepionego do nędznego wózka, wplątanego w kolej tych wspaniałości a woźnica jego, zwykle włościanin z okolicy, równie dumny i szczęśliwy, jak gdyby był w tej chwili jakim magnatem. Lud ten obdarzony bogatą wyobraźnią, skłonny do rozrywek, lada czem da się zaprzątnąć; to po części tłumaczy podział tego pięknego kraju na tyle państw drobnych, bo gdzie dwór, tam i zabawa, przy największym nawet ucisku.

Z narady doktorów, zdecydowano wyjazd do kąpieli Lukiezkich; potrzeba było się rozstać z miłą Pizą a milszą jeszcze margrabiną i w Czerwcu 1815 dostaliśmy się z moim ojcem ai Bagni di Lucca, do pałacu Valeri, obok sławnego dęba del Abbate Lena, w pośród którego konarów 60 schodów prowadziło do górnej, dość obszernej altany; zewnętrzne zaś gałęzie tego drzewa tak były obcięte, że zdala ten dąb wydawał się jak czworoboczna zielona wieża. Okolica górzysta miejsca tego, bardzo mi się piękną wydała. Zjazd gości do kąpiel był bardzo liczny.

Wiadomo, że Napoleon I. przebywał w tej porze na wyspie Elbie, do księstwa Toskańskiego należącej, o trzy dni drogi od Pizy. Widzieć tak cudownego człowieka, ujrzeć ten świetny geniusz w domowym areszcie, było to nader ponętną i ciekawą rzeczą wyobraźni mojej się uśmiechającą, ale ziszczenia której, byłem pozbawiony. Przebiegły nasz lekarz, zawsze pierwej sobie dogadzający, zostawiwszy mię przy chorym ojcu, sam się wybrał na Elbę i przez dni parę patrzał na wielkiego człowieka, który, rozpierając granice swej posiadłości, porty, drogi, gmachy publiczne zadziwiające, na tej wysepce tworzyć już zaczynał. Elbejska flaga Napoleona, złote pszczoły na białym polu, tak była szanowana przez korsarzy Mahometanów, że była bezpieczniejszą od morskich rozbojów, niżeli inna, chociaż by silnej morskiej potęgi. Napoleon na Elbie był to jeszcze Samson, który tylko odrośnienia włosów swoich oczekiwał. Przejeżdżając przez Liworno, spotykamy na drodze włościanina krzyczącego z uniesieniem: „Gran Novella! Napoleone fuggi!... W dni kilka ogłosiły gazety całą ekspedycyę ucieczki na bryku l' Inconstant.

ROZDZIAŁ VIII.

W środku więc tych ważnych wypadków, przybyliśmy do kąpieli Lukiezkich; ja jeszcze smętnie zakochany i stanem ojca mojego wielce stroskany, a nasz Don Basilio szukający nadać sobie reputacyą wielce uczonego a nieprzystępnego doktora. Jako cudzoziemcy, zainteresowaliśmy już publiczność Lukiezką, mój ojciec zamożnością, orderami i chorobą, ja młodością moją i smutkiem, doktor fantazyą. W dni kilka rozchodzi się wieść, że siostra cesarza Napoleona, księżna Paulina Borghese, która z nim na wyspie Elbie przebywała, po odpłynięciu brata do Francyi, sama do kąpieli Lukiezkich przybyła. Skoro do Viareggio jedynego portu Lukiezkiego wylądowała a kraj ten przez wojska austryackie natenczas był zajęty, natychmiast została aresztowaną i z konwojem wojskowym do Bagni di Lucca na kuracyę przywiezioną. Działo się to w czasie stu-dniowego panowania Napoleona; polityczne losy jego cesarskiej rodziny rozstrzy-

gnione jeszcze nie były, a przeciwnie tryumf, z jakim ten nadzwyczajny człowiek, przebiegnął Francyę, zawładnął nią i powtórnie Burbonów wygnał, kazał przewidywać, że się na szczeblu wielkiej wysokości utrzyma. Stąd areszt księżny Borghese przez rząd austryacki więcej dla pozoru dopełniony, był jednakże względny; zdawano się czekać na wynik pierwszej potyczki z wojskiem sprzymierzonych. Księżna w obawie, aby ją, równie jak siostrę jej księżnę Bacciochi do Morawji nie wywieziono, udawała chorę a nadzwyczajna bladość jej lica przy tak powabnej twarzy, dodawała większego jeśli być może uroku tej czarującej postaci. Oficer austryacki, który ją pilnował, prosty Kroat bez wychowania, mimowolnie jednak ulegał chęciom i żądaniom swej książęcej niewolnicy. Dlatego za pierwszym wyrażeniem jej chęci poznania się z doktorem Polakiem, bawiącym z pryncypałem swoim u tych wód, wola jej uskutecznioną została i lekarz wprowadzony do jej domu. Wkrótce, czy ze szczególnego rachunku Kossowicza, czy to z osobistej woli księżny, zostałem i ja jej przedstawiony. Nie długo rozburzone młodziencze serce wytrzymać zdołało pocisk nadzwyczajnych wdzięków na zmysły a stosunków politycznych na wyobraźnię; zda-

wało mi się, że zająć uwagę siostry bohatera wieków było to już ważne zająć w historyi miejsce!

Dwór księżny Borghese składał się z bardzo niewielu osób, gdyż oprócz jednej damy honorowej, hrabianki de Molo i starego nader otyłego kamerdynera, nazwiskiem Signor Rodomonte, który bywał do konwersacyi przypuszczany podczas trefienia cudownie pięknych jej włosów, reszta służbowego otoczenia widzianą nie była. Wstęp mój jednak do księżny miał wszakże ważny wpływ na moją przyszłość. Spotkania moje z księżną zdarzały się najczęściej na spacerach, na które ją w lektyce nosili, wprzód i z tyłu której, szedł żołnierz austryacki z obnażonym pałaszem; rozmowa tej pani, chociaż nie nader zajmująca, dziwnie ponętną i ujmującą była. Wiedząc żeśmy Polacy, nie wątpiła o naszem do jej brata przywiązaniu i chętnie dlatego udzielała nam wiadomości, które drogami tajnemi odbierała od generała Bertrand; jak zaś szybko i dokładnie mieliśmy dowód na przybyłej do niej wieści o walnej przez dwa dni wygranej pod Waterloo, kiedy w tydzień dopiero potem, urzędowe ogromne plakaty po rogach wszystkich ulic rozlepiane, oznajmiły

zupełną porażkę armii Napoleona, na dniu trzecim tej pamiętnej bitwy nastąpioną.

Zupełnie byłbym stracił głowę dla tej czarującej istoty, gdyby nie następująca nasunęła się okoliczność: doktor nasz w chwilowym podmuchu nie zwykłej ambicyi, umyślił odkraść księżnę rządowi austryackiemu i odwieść ją Napoleonowi do Francyi; miał to wykonać zapomocą paszportów ojca mojego, dostać się z nią pod przebranemi nazwiskami lądem do Genui, gdzie pewny okręt oczekiwał na rozkazy księżnej.

O tym okręcie krążącym po brzegach dla jej posługi, księżna uwiadomioną była przez wysłanego do niej od Murata z Neapolu, pułkownika wojsk jego, niejakiego Drouville, którego rząd austryacki, będący jeszcze na pozór w zgodzie z rządem Napoleona, dopuścić musiał do księżnej, jako posłańca w interesach familijnych. Drouville krótko bawił, ale pamiętam jak księżna opowiadała po jego wyjeździe komiczną scenę, jaką odegrał z jej politycznym wartownikiem austryackim hr. Sedlnitzkym; który, lubo oficer i mający rozkaz wpuścić Drouvilla do gabinetu księżny, za obowiązek jednak poczytał sobie, podsłuchiwać ich roz-

mowę pod drzwiami, czego Francuz się domyślając, korzystał z tego, że drzwi otwierały się na zewnątrz, odparł je nagle z taką siłą, że stojący u klamki Sedlnitzky, padł krwią oblany, za jakowy przypadek, Drouville z układnością narodowi swemu właściwą, pokornie go przepraszał, dodając: „Je ne pourais jamais supposser que l'etait la place d'un officier!“

Czy Drouville rozmawiał z Kossowiczem, czy księżnie tylko planów swoich udzielił, czy też rozmowy księżnej i wahanie się jej, naprowadziły doktora naszego na myśl ofiarowania swoich usług, nigdym tego nie doszedł. Wiem tylko, że wkrótce potem, księżna, doktor a nawet biedny mój ojciec, zaczęli koło mnie zachodzić, abym się na to zgodził, iżby księżna przebrawszy się po męsku pod mojem imieniem a Radomonte udając podagryka pod nazwiskiem mojego ojca, przy asystencyi Kossowicza, (który jeden tylko właściwy paszport przy sobie zatrzymywał), puścili się naszemi pojazdami do Genui. Mój ojciec zaś i ja ze służbą naszą, mieliśmy zostać pastwą austryjackiej zemsty, w każdym razie. Jam się z razu nie rozrachował; istotnie bowiem, niczemby nam dowieść nie można było, żeśmy w poro-

zumieniu byli z księżną; na doktora można było złożyć winę wykradzenia naszych paszportów i całej ucieczki, ale myśl, że w tym wieku będący i cierpieniem złożony mój ojciec, na srogie mógł być narażony prześladowanie, że zdradzałbym niejako obowiązek syna dla cudzych korzyści, wszystko to natchnęło mnie do tak silnej opozycyi, że z narażeniem nawet na siebie ojca i uwielbionej Dame de mes pensées, zmusiłem ich niejako do odroczenia, jeśli nie do zaniechania tego projektu; pierwszy to raz doznałem w sercu walki obowiązku z namiętnością.

Przegrana pod Waterloo, miała więc wpływ bezpośredni na moje domowe stosunki; mój ojciec widział w tem dowód mojego przywiązania i przekonanie, żem go poniekąd uratował a drzwi księżny Borghese, zostały od tej chwili dla mnie zamknięte.

Nie uszło bystrego wzroku Doktora to powolne zbliżenie się mojego ojca do mnie; czuwał on bardziej niż kiedy, abym nie starał się złagodzić jego uczucia względem dzieci zostających w kraju i od tej chwili jawnym już moim został wrogiem.

Z Lukki udaliśmy się do Florencyi; tam przybył krewny nasz hr. Stanisław Dunin Bor-

kowski, szambelan dworu austryackiego, z żoną swoją drugą z domu Michałowską, wielce uczony erudyt. Sympatje jego dla nas nie mogły być wielkie, bo był synem tej siostry stolnika koronnego Kajetana Olizara, którą on po długim procesie, od majątku odsunął, powtóre, że mój ojciec paraliżem dotknięty, nie mógł z nim rozmawiać a ja szkolarz niedokończony, nie umiałem; mało więc zważał na mnie a przylgnął chętnie do doktora naszego, któremu i archeologiczna erudycya p. Stanisława obcą nie była. Wszelako na pomoc familijną tychże Borkowskich wiele rachowałem, gdyż ona jako kobieta z pewną serca przenikliwością, wzajemne nasze stosuki odgadła. Zrobiłem jej więc niektóre zwierzenia i namówiłem, abyśmy odtąd jeden dom składając, razem dalej podróżowali. Hr. Borkowskiemu chodziło o miesiąc czasu, który rad był we Florencyi spędzić, poczem mieliśmy na zimę do Rzymu się udać. Niespodziany ten aljans ubodł przykro Kossowicza, który postanowił go natychmiast zerwać. Z nieprzyzwoitą więc gwałtownością oświadcza mojemu ojcu, że jeżeli natychmiast do Rzymu nie zechce jechać, to przeprawa przez góry w spóźnionej jesieni takiem grozi niebezpieczeństwem, że on za życie jego nie odpowiada.

Przelękły ojciec mój, radzi mi się wtedy co robić? Nie przywykły do wyrażania mojego zdania a jeszcze mniej do rządzenia, w dotkliwem byłem położeniu; czułem albowiem, że czas było działać a nie wiedziałem jak postąpić. Poprzestawszy na wykazaniu ojcu niegodziwości charakteru lekarza, który dla widoków swoich grozi niebezpieczeństwem, postanowiłem ten raz jeszcze nie brać na siebie całkowitej odpowiedzialności a stosownie do żądań doktora, wyprzedzić Borkowskich do Rzymu.

Ta chwila stała się stanowczą w dalszym kierunku znaczniejszej części mojego życia. Odtąd, nie ja szesnastoletni chłopiec, zostawać miałem pod przewodnictwem sędziwego ojca, ale on nieszczęsny, niedołężny starzec; może skutkiem choroby swojej przywiązany do życia, z niesmiałością i obawą oddawał się pod tajną opiekę młokosa, mającego prawe serce, lecz umysł tak jeszcze nie wyrobiony! Jakież miały z tego nastąpić skutki? już to bieda, kiedy ślepego kaleka prowadzi, ale nierównie większa, kiedy ojcu syn mistrzować zmuszony!

ROZDZIAŁ IX.

W roku 1815 przybyliśmy do Rzymu, gdzieśmy zamieszkali pyszny pałac na Corso, należący do P. Nelli, który był oraz posiadaczem sławnego fresku, znanego pod nazwą le Nozze Aldobrandina. Reprezentant domu naszego, Don Basilio Kossowicz, nie omieszkał natychmiast poznajomić się naprzód z bankierem naszym, którym był Torlonia Duca di Braeciano, miljonowy magnat z kupczyka przed pół wiekiem, liche graciki na plecach roznoszącego. Każdy bankier lub kupiec, zawsze był mojemu ojcu przez doktora przedstawiany, dla tego, aby się łacniej przekonał, że doktor a nie kto inny domem i panem jego rządzi.

Nie lękał się też nasz domowy Talleyrand znajomości kilku świetnych rodaków naszych, których spotykać mogliśmy, bo to wszystko szło na pożytek jego miłości a bynajmniej wewnętrznych rządów zmienić nie mogło.

Tak więc po przyjeździe naszym do Rzymu, obleciał ambasady, znaczniejsze domy polskie i włoskie. Książę Stanisław Poniatowski, zamieszkały w tem mieście, był niegdyś wielkim przyjacielem stryja mego Kajetana, stolnika koronnego a ojca mojego, natenczas młodego człowieka znał dobrze osobiście i pierwszy też natychmiast nas odwiedził, równie jak księżna kasztelanowa krakowska z Czaplicców Jabłonowska, mieszkająca przy pasierbicy swojej, księżnej stolnikowej Czartoryskiej a ministrowie, rosyjski baron de Tuilé, holender rodem i austryacki hr. Lebzeltern nie omieszkali spojrzeć na sparaliżowanego starca i na mnie młodzika. Przywołać musiałem w pamięci te szczegóły dla wyjaśnienia sobie samemu, jakim sposobem przeszedłem raptownie z kondycyi nieznanego młodzieńca, na człowieka mającego stosunki z osobami najwyższego szczebla towarzyskiego; nie myśląc wcale o tem, wróg Kossowicz sam mi te znajomości przysposobił.

Kiedy mi jednak w Rzymie czas dość nudnie upływał, bo ani umysł do nauki, ani serce do pojęć wielkiej naszej katolickiej religii, nie były usposobione, domowy ciemiężca ofiaruje mię wprowadzić na wielki koncert amatorski pod tytułem: Academia Musicale.

Co tylko było znakomitego z miejscowych i cudzoziemców podróżujących, wszyscy się na te wieczory co niedzielę schodzili. Chętnie przyjąłem propozycyę i poszedłem na tę zabawę: zajęliśmy ostatnie dwa luźne krzesła a koncert już był zaczęty. Wchodzą dwie damy i słuszny za niemi mężczyzna z orderową wstążeczką u fraka; jako grzecznym ludziom należało, ustępujemy damom nasze miejsca i stajemy za niemi. Wnet jedna z nich młoda i ładna, obracając się do mnie, pyta po francusku: „Jak się ma ojciec pański?“ a widząc z mej odpowiedzi, że ją nie poznaję, dodaje: „Zapewne zmiana w układzie moich włosów, sprawia, że mnie pan nie poznajesz; jestem hrabianka de Molo a to moja matka i mój ojczym generał Lebel, których panu przedstawiam“ — potem kilka słów do doktora przemówiła. W ciągu dalszej tego wieczora rozmowy, dowiedziałem się, że i księżna Borghese jest w Rzymie, ale że hrabianka już nie przy niej i mieszka osobno z rodzicami (przybyłemi do niej z Francyi, po rozpuszczeniu ostatniej armii Napoleona.

W osamotnieniu mojem, przy odświeżeniu w pamięci tak niedawno miłych wrażeń ze stosunków z księżną Pauliną, ten traf spotkania

się z jej towarzyszką, wydał mi się jakiemś opiekuńczem zdarzeniem, z którego korzystać zapragnąłem natychmiast. Na drugi dzień stawiłem się więc pod danym mi adresem i jakby to powiedzieć?... w dni 15 potem byłem mężem matki moich dzieci.

Karolina hr. de Molo, była piękna i dobra kobieta; ród jej był jeden ze znakomitych we Flandryi. Ojciec jej hr. Karol de Molo, ożenił się z miłości z francuzką, panną Bulletor, z której mając jedynaczkę córkę, w rok po jej urodzeniu, odumarł. Wdowa jego, nadzwyczajnej ongi piękności, jak to widać jeszcze było, nie długo w tym stanie została i wyszła za oficera huzarów francuskich, niejakiego Lebel. Ztąd ojczym opiekując się dzieciną od drugiego roku życia, nabył wszystkich praw ojcowskich; przywiązanie jej atoli do swych rodziców, zbyteczne, bo nie rozsądne stało się główną przyczyną następnych naszych nieszczęść, chociaż wydawało mi się wtedy tak świętem, tak szacunku godnem, że przez myśl mi nawet nie przeszło, iż niebezpiecznem być może, z całą się żenić rodziną, ale miałem lat siedmnaście!

Pytać jednak potrzeba, jak mój ojciec mógł potwierdzić gotowość moją do obrania

już tak poważnego stanu? Niestety! tak się wtedy na to zgodził, jak m ł o d s z e dziecko na namowę s t a r s z e g o. Wyperswadowałem biednemu ojcu, że przez ożenienie się moje, zwłaszcza z rodziną, zaludni się dom jego przyjemnem domowem towarzystwem, że tyrana naszego Kossowicza, albo się pozbędziemy, albo łacniej mi będzie za pomocą Le-Belów, w przyzwoite wprowadzić go karby, że cały rozum na tem, ażeby z doprowadzeniem do skutku tego zamiaru, umieć się ukryć przed doktorem. I biedny starzec, nie tylko że temu uwierzył, ale sam pomagał do spełnienia tego planu. Było trochę prawdy w tych błahych moich argumentacyach; nigdy jednak błąd i głupstwo nie są doskonalsze, jak kiedy roztropnością niby i obowiązkiem są zamaskowane.

Przyciśnieni biedą Le-Belowie, spostrzegłszy korzyści, do których się im otwierała droga, rączo się wzięli do usunięcia zawad, stawiających się do obrzędu ślubnego; córce zostawili staranie ujęcia serca mojego, co jej nie było trudno, bo była pięknej urody a ja powtarzam, miałem lat siedmnaście! Wszystko dopełniło się w największej tajemnicy i w formach najdokładniejszych, za pismiennem zezwoleniem

ojca mojego, tak dalece, że mając wszystko w kieszeni w wilję ślubu mojego, mogłem z nadzwyczajną radością tryumfującego szkolarza, zaprosić wroga mojego Don Basilia na obrzęd uroczysty, odbyć się mający nazajutrz. Widzieć przerażone zdziwienie jego, było dla mnie zapłatą długich cierpień; nic go więcej nie przebodło, jak przekonanie, że nietylko ojciec mój czynnie do tej przeciw niemu intrygi należał, ale że matedory, jak książe Stanisław Poniatowski, z szambelanem swoim hr. Duninem, księżna kasztelanowa krakowska, poseł rosyjski, przytomnością swoją ten akt wyzwolenia mojego zatwierdzą.*)

W tem gronie też odbył się nasz ślub a żona moja wraz z rodzicami wprowadzeni zostali do domu ojca mojego. Kossowicz zaraz nazajutrz pomyślał o opuszczeniu posady, w której miał odtąd bardzo podrzędną wygrywać rolę. Nie bez trudności wszakże przyszło nam ostatecznie pozbyć się Don Basilia; cho-

---

*) Pochlebne dla miłości własnej były z okoliczności tego ślubu odebrane powinszowania, niejako urzędowe od familii Napoleona, bawiącej w ten czas w Rzymie. P. Letycya (Madame Mére) oświadczyła je przez szambelana swojego Colonna, kardynał Felch przez własnoręczny bilet, ekskról holenderski przez adjutanta swego jakiegoś Van... i księżna Borghése, która także pamięć swoją okazała.

dziło wprzód o odebranie kasy w ręku jego zostającej a w której ze zdziwieniem mojem znalazło się tylko 1.000 złt. gotówki. Rachunki Kossowicza były krótkie; złożył albowiem na świstkach cztery podpisy ojca mojego kwitujące ze wszystkiego. Przypomniały mi się wtedy dawane przez niego memu ojcu owe lekcye pisania a kończące się podpisem imienia i nazwiska, które miały niby pomagać do przywrócenia pamięci i mowy, przez chorobę straconych. Trzeba jednak było poprzestać na tem, albo rozpocząć proces, do czego ani woli ani dostatecznego funduszu nie miałem. Zwiększyły się trudności finansowe, gdy przyszło opłacić wszystkie wydatki wynikłe z ułatwienia ślubu i urządzenia domu na nowej stopie, na odgłos bowiem, że hrabianka Molo wyszła za bardzo bogatego, młodego, polskiego hrabiego część dworu księżny Borghese wcisnęła się do usług naszych a ja wtedy nic odmawiać nie umiałem tym co mnie ożenili i Kossowicza wygnali.

Niepewną było rzeczą, ażeby nowe z domu fundusze prędko przybyły; tam bowiem rząd wewnętrzny osadzony był wspólnikami doktora, którzy jego tylko słuchali, jego podpis uznawali. Trzeba też było opłacić doktorów zastępujących biegłego eskulapa a stałego ordynaryusza ugodzić. Stanęła więc decyzya najprędszego do domu powrotu, tem bardziej, że zdrowiu ojca mojego ani klimat, ani najsławniejsi rzymscy lekarze nie pomagali. Bliższe stosunki osobiste z domem Torlonia, pozwoliły mi użyć już osobistego kredytu i pożyczyć od niego parę tysięcy szkudów, bez czego nie można było i pomyśleć o powrocie.

Wyjazd nasz z Rzymu tem się odznaczył, że trochę za dworno się odbywał; ojciec mój znosić nie mógł prędkiej jazdy, najęliśmy pod nasze pojazdy muły, które nas stępo z Rzymu aż do Brodów zawiozły. Generał Lebel miał parę wierzchowców, które mi dobrze sprzedał a ja cieszyłem się jazdą konną w odbywaniu tej podróży. Lecz kiedyśmy do Białej na ziemię ojczystą wjechali, witały nas nieraz dzieci wiejskie nie miłym okrzykiem: „A patrzcie, jakie to osły jadą!“

W podróży nic szczególnego się nie wydarzyło, oprócz nieprzyjemności doświadczonej w Wiedniu, gdzie policya austryacka aresztowała nas na doniesienie, że uwozimy zbiegłego z Francyi więźnia generała Debelle, który za powrotem Napoleona z Elby, aresztował księ-

cia d' Angouléme. Znosiłem przez dni kilka nie miły widok przydanych nam szyldwachów, których starałem się ukrywać przed chorym ojcem. Stan jego zdrowia tak się pogarszał, że przyjechawszy do Brodów, co chwila stracić go byłem przygotowany; przebyć granicy już nie mogłem, widząc go prawie umierającego; zmuszony byłem przedłużyć pobyt mój w tem miejscu. Straciłem ojca w tymże roku 1816, a po oddaniu mu ostatniej synowskiej posługi, zapewniwszy sobie wolność późniejszej ekshumacyi z grobu, gdzie zwłoki jego złożyłem, udałem się sam jak najspieszniej do domu. Potrzeba było uprzedzić wieść o zgonie ojca i zachwycić przed nierządem majątek w bardzo niepewnych rękach zostający.

ROZDZIAŁ X.

Daremny był mój pospiech; kasę zastałem dość próżną, sprzęty kosztowne już dawniej skradzione; gdy albowiem w kilka miesięcy później przyszło nam dział robić z moim bratem, znaleźliśmy w domu, gdzie wpłynęły srebra i inne kosztowności po dwóch marszałkach trybunalskich i tak okazale żyjącym człowieku, jak stryj mój, szambelan Olizar, znalazło się srebra zaledwie na sto kilkanaście osób, kiedy deserowego serwisu złotego było jeszcze na siedmdziesiąt pięć.

Małe to wszakże straty były, w porównaniu z temi, jakie później przez nieszczęście domowe, młodość i niedoświadczenie doznałem, bo jakże niedołężny jest człowiek niestety! gdy przy najlepszych nawet chęciach i dążeniach, własnym tylko słabym siłom zostawiony, nie polecając się nieustannie Wszechmądrej Opatrzności!

Wprowadziwszy, na wzór niebacznej Troi, cudzoziemców, rodziców żony mojej do domu mojego, prędko spostrzegłem, że pozbywszy się nie dawno jednego wroga, nabyłem sobie innych, nierównie niebezpieczniejszych, bo w ścisłem domowem pożyciu mających wpływy, mogące na zawsze harmonię małżeńskiego pożycia zniszczyć. Z ich przybyciem, przestałem prawie być panem u siebie; zwyczaje ich cudziemskie, przeciwne naszym, odstręczać poczęły wszystkich sąsiadów a prostactwo i szorstkość wojskowa napoleońskich czasów, nie mile oddziaływały na spokój domowy. Córka przywykła do tej atmosfery rodzinnej, nie pojmowała wewnętrznie ukrywanych moich cierpień z tego powodu, nie przywiązywała się do nowego położenia a mniej jeszcze do kraju, który rodzicom dziki się wydawał. Były może środki uchylenia nieszczęsnych następstw takiego związku, pokierowania sercem szczerze dobrem i umysłem nieszczęśliwie uprzedzonym istoty ze mną złączonej, lecz fanatycznie do rodziców przywiązanej, ale na to mój wiek i niedoświadczenie nie wzniosły mię do roli, która mi przypadła. W celu utrzymania równowagi w pożyciu małżeńskiem, ofiarowałem francuzom wioskę osobną dożywotnie, ale rozstać się z córką odmówili, co nareszcie spowodowało stanowcze zerwanie związku, który przetrwał lat trzy i zostawił mi córkę i syna. Matka ciągnąc za rodzicami, opuściła mój dom, uwożąc moje niemowlęta.

Mijając dalszy rozwój cierpień i smutku w tym ustępie życia mojego, gdy z porażki ochłonąłem, chciałem szukać trochę otuchy w zbliżeniu się do dawnych stosunków i przyjaciół, których z opowiadanych okoliczności długo zaniechać musiałem a to na wstępie życia i bytu samoistnego. Udałem się do Krzemieńca, tej wspólnej kolebki lat dziecięcych i uczuć, co dalszy rozwój miał natchnąć i kierować.

Zastałem w tem miejscu zjazd liczny, kwiat wołyńskiego towarzystwa i wielkie ożywienie. Promotorem onego, jako też i zabaw, był wtedy tameczny powiatowy marszałek, J. W. Józef Drzewiecki, znany pod tytułem s z e f a, dawny legionista, towarzysz Kniaziewicza, Fiszera i tylu innych wylanych dla sprawy narodowej. Nadzwyczaj uprzejmy ten człowiek posiadał wszystkie przymioty do skarbienia sobie serc polskich. Opowiadacz kapitalny, przedsiębiorczy, gościnny, grzeczności zniewalającej, był od wszystkich klas społeczeństwa lubiony a zwłaszcza młodzieży, dla której miał

zawsze jakąś patrjotyczną anegdotę do opowiadania, uścisk szczery a naweł nieraz łzę w oku.*) Jego pobyt i urzędowanie w Krzemieńcu, wiele się przyczyniło do świetności szkół i miasta tego; z jego dopiero oddaleniem, zaczął sie upadek i rozprężenie a po 1830 roku, całkowite nastąpiło zniszczenie tego ważnego ogniska zjednoczenia, co Czackiemu udało się jakby ukradkiem utworzyć wśród nieprzyjacielskiego obozu.

Gdy tak troski i cierpienia przerwać starałem się w miłym i czarującym uroku najwyborniejszego towarzystwa, potrzeba ocalenia majątku od pretensyi protegowanych władzą rządu cudzoziemców, zmusiła mię do powrotu. W konieczności zaciągnienia kredytu, znalazłem uprzejmą pomoc u J. W. z Engelhardtów hr. Branickiej, której łaskawej przychylności doznałem jeszcze w kilku kolejach życia mojego politycznego. W tak przeciwnych okolicznościach utworzyła się też we mnie chęć karyery obywatelskiej, do której znalazłem także silne poparcie w ludziach na ów-

*) Żyje dotąd (1853) wielce miły i szacowny ten starzec, osiadłszy z rodziną na Podolu, gdzie mimo podeszłego wieku i tak przeciwnych kraju losów, nie odmawia obywatelskich posług swoich w rozmaitych urzędach.

czas wpływowych i znaczących, którzy podali mnie na Marszałka guberskiego wołyńskiego.

Dwaj ziomkowie nasi, gubernator wołyński generał Bartłomiej Giżycki i wicegubernator Filip hr. Plater, tak ważne zajmując posady w kraju, srodze się poważnili, częścią z różnicy własnych charakterów, częścią za sprawą podłych ludzi, co ze słabości drugich korzystając, poddmuchują nienawiść, aby sami znaczenie w zawichrzeniu osiągnąć. Giżycki był nadzwyczajnie popędliwy, Plater zaś zimno złośliwy i przycinkowy. Nie mały też wpływ wywarła na tę zwadę żona Giżyckiego, Ilińska z domu, siostra senatora, kobieta skąd inąd dobra, ale próżna aż do śmieszności; obrażenie jej miłości własnej stało się zarzewiem pożaru. Stąd w następstwach nietylko wiele zgrozy spadło na prowincję, ale do tego rząd moskiewski chwycił się pretekstu, by nie powierzać później wyższych urzędów administracyjnych, krajowcom naszym. Ja, tyle byłem szczęśliwy, żem u obydwóch miłe dotychczas miał zachowanie a przybywszy do Żytomierza podczas zjazdu elekcyjnego, jedynie dla widzenia się z wielu znajomymi, najmniejszego nie miałem celu starania się o urząd. Za pierwszym wszakże odwiedzeniem generała Giżyckiego, odbieram

od niego propozycję zostania prezesem sądu kryminalnego, urząd wyborowy gubernialny, wymagający jednak ściślej znajomości prawa i pewnego doświadczenia. Odrzekłem mu szczerze i skromnie, że nie czuję w sobie zdolności do tak ważnego urzędu. Gdy potem odwiedziłem Platera, ten mi znowu proponuje kandydaturę na guberskie marszałkostwo, w miejsce ustępującego księcia Eustachego Sanguszki; dodaje, że młody człowiek, coby uprzejmością charakteru i zręcznością utrzymać potrafił zgodę między wyższemi urzędnikami i zjednał ich przychylność dla obywatelstwa, wielką by sobie u ziomków zasługę położył. Myśl tak podana utkwiła mi w sercu, bom poczciwie pragnął dobra ogólnego i powrotu jedności. Zdziwiło mię jednak, jakim prawem ci dwaj dostojnicy szafują urzędami, które nie od ich kombinacyj, ale od wolnego obywateli wyboru zawisły.

Ze śmiechem więc tylko przyjąłem podany mi projekt Platera. Czy popularność jego była w tej chwili większa jak Giżyckiego, czy jakiem się później dowiedział, Giżycki trochę niezgrabnie na ten urząd prowadził siostrzeńca swego Henryka Ilińskiego, czy, ze względu że będąc uczniem krzemienieckiej szkoły, miałem mnóstwo kolegów w gronie obywatelskiem, na żart może wymówione słowo Platera, coraz większą przybierało postać podobieństwa do prawdy. Jakoż na ulicach kupy zebranych obywateli witać mię już poczynali mianem przyszłego swojego marszałka a gdy to jakoś bardziej rosło, sądziłem się w obowiązku wrócić do Giżyckiego i oświadczyć mu, że luboć żadnego nie miałem zamiaru ubiegania się o urząd, gdy jednak nasuwa się nieprzewidziany traf, zaczęcia od najświetniejszego (na jakim drudzy kończyć zwykli) chcę jeszcze zasięgnąć jego rady i prosić o przyjacielskie poparcie w tym względzie.

Niestety! on był już przez zauszników uprzedzony, że to wszystko jest intrygą Platera, przyjął mnie więc zimno i w źle utajonej złości wyrzekł: „Jako g u b e r n a t o r, niemam potrzeby tłómaczyć się WPanu z mojego zdania, jako o b y w a t e l będę wotował a jako d a w n i e j s z y p r z y j a c i e l powiem ci że zlecisz jak śliwka!“ Gdyby był od tego zaczął, możebym mu uwierzył, ale że nie z serca, lecz z obrazy taki mi los prorokował, ubodło mię to mocno, wychodząc odpowiedziałem:

„Chociażbym miał spaść jak gruszka, co cięższe, winienem oświadczyć, że teraz pójdę na wota“.

Tu dopiero zaczęły się sceny najburzliwszych wyborczych zabiegów, które dlatego opiszę, aby dać wyobrażenie, jakich to jeszcze swobód szlacheckich, używano w prowincjach zabranych około 1820 roku.

Wyborców mieliśmy w ową porę na Wołyniu około 1500.*) Najliczniejsze i najburzliwsze powiaty były: Owrucki, Łucki i Żytomierski. Ja miałem za sobą Krzemieniecki, Dubieński. Łucki, Włodzimierski.

Przez stosunki przyjaciół mogłem rachować na silne podpory. Najtrudniej było przejść w Żytomierskim, którego wyminąć nie mogłem, w tym tylko powiecie posiadając na Wołyniu majątek a właśnie ten posłuszny musiał być Giżyckiemu, bo mu najbliżej pod ręką. Owrucz także przedstawiał trudności nie mało; szlachta bowiem tameczna sejmikowa, strasznie paniczów nie cierpiała, bawiła się pijatyką i używała pewnej reputacyi łotrostwa, na którą dla popularności nawet nie mogło się zarabiać. Należało mi więc w biegłej strategii wyborowej Żytomierz obejść a Owrucz podbić,

*) Gubernia wołyńska podzielona była na 12 powiatów: Żytomierski, Owrucki, Zwiahelski (Nowogrod. woł.) Ostrogski, Dubieński, Krzemieniecki, Łucki, Włodzimierski, Kowelski, Rówieński, Zasławski i Starokonstantynowski.

do czego mi dzielnie dopomagali, co do pierwszego, dwaj zacni obywatele pp. Ledóchowscy Łukasz i Wincenty; co do drugiego krewny wprawdzie, prezes Michał Korzeniowski, którego obywatelskie cnoty w Owruczu może (podług powyższego opisu) godziwie ocenione być mogły!!

W przeciągu dwóch tygodni, nim się tak zwane rugi marszałkowskie (verification des pouvoirs) skończyły, marszałek dubieński p. Łukasz Ledóchowski, nabył dla mnie wieś w tymże powiecie, opatrzył to posiadanie wszelkiemi prawnemi formami i potrafił mnie tam jednomyślnie na marszałka wybrać. Prawo albowiem chciało, aby pierwszy kandydat na guberskiego marszałka, był jeden z 12-tu powiatowych. Ubezpieczony z tej strony, daję się acz niechętnie prowadzić Korzeniowskiemu do ataku na Owrucz! Ów generał,*) bo tak go tytułowano, dał pierwszy dowód czujności militarnej naznaczając godzinę obraną do naszego przedsięwzięcia; poszliśmy więc w sam

*) Istotnie Korzeniowski kazał się zwać generałem, chociaż nigdy w czynnym wojsku nie służył; ale że miał rangę rzeczywistego radcy stanu moskiewskiego, więc mu ten tytuł dawano. Gdy raz miał zajście z jakimś łotrem urzędnikiem, który się mienił kapitanem, wymawia mu: „jaki W. Pan kapitan.“ Ten mu odparł „Tego samego wojska, w którym JW. Pan generałem.“

upał słoneczny o godzinie 2-giej z południa, kiedy jak on twierdził: „powiat już pijany“. Jakoż zastaliśmy wrzawę okropną; sprzeczka szła jednych, chcących utrzymać dalej Sanguszkę z temi, co z intrygowania Giżyckiego podawali Ilińskiego.

Wtedy Korzeniowski przedstawiając mnie, rzekł: „PP. Bracia! a ja wam przedstawiam „na sługę, krewnego mojego, szlachcica Oli-„zara.“ W tem ja, wedle ułożonego planu, tak zagaiłem:

„Mości pp. Bracia, ja nie książę, ani ma-„gnat, w mojej chacie przedpokojów nie ma „a barszcz dla wszystkich. Wiedzcież jakie „mam prawa do waszego zaufania? Oto przo-„dek mój, Jan Aleksander Olizar był tylko „podsędkiem kijowskim a pierwszy zerwał „sejmik i uciekł!... czem dowiódł odwagi i „roztropności!“

Z wielkim aplauzem przyjął to moje przemówienie Owrucz; „wiwat podsędek kijowski! wiwat nasz przyszły guberski“, i zaczęto mię brać na ręce i podrzucać a ja z wdzięcznością całować musiałem nie jedne rumiane i potem oblane policzki, które w innym czasie do in-

nego mniej przyjacielskiego gustu, podawałyby ochotę.*)

Skoro się dowiedział Giżycki o moim sukcesie w Owruczu, przebrała się śmiała jego cierpliwość i zaczął odwiedzać obywateli, prosząc, aby mi przykrości nie czynili, podając mnie na urząd, zapomniawszy, że będąc figurą rządową, wszystkie jego zabiegi coraz więcej dostarczały mnie zwolenników. Śmiesznym trafem mieliśmy podobne pojazdy i zaprzęgi, konie tylko innej maści; latanina tych ekwipażów po bruku żytomierskim wszystkim oczy zawracała. Dziwactwa pani Luni (tak zwał Giżycki swoją żonę) a bardziej jeszcze w końcu choroba szanownego Łukasza Ledóchowskiego,

*) Jeśli sobie pozwalam tak opisać Owrucz, to istotnie nie dla dowcipkowania, ale dla historycznej wzmianki o złej, ogólnej wówczas famie szlachty tego powiatu, gdzie mnóstwo kryminalnych procesów o najazdach, podpaleniach, otruciach zajmowało trybunały. Licznych jednak wyjątków pomijać nie należy i dodaję, że szlachta owrucka męczennikami sprawy ojczystej poszczycić się może, jak Hołowiński, Stępowski, OO. Bazyliani, etc.

Z wielu ust słyszałem jako prawdziwą anegdotę o owem kazaniu pewnego Dominikanina, co przybył tam na wielki jubileusz r. 1826. W gorliwości swojej, dla przejęcia Owruczan większą skruchą, tak do nich przemówił: „Czy wy wiecie, że tu u was „na tej ziemi Kain zabił Abla; tu były miasta Sodoma i Go-„mora, tak bezecne, że je Bóg ogniem z nieba zniszczył! Tu w wa-„szych lasach, Absalon się obwiesił“... a dewotki w płacz a drudzy bijąc się w piersi, wołali: „Panie! odpuść nam i przodkom naszym!“

który ze zgryzoty jaką mu sprawił Giżycki, ciężko był zapadł, wszystko to ustaliło w opinii publicznej mój wybór na marszałka guberskiego a że się domyśliwano, iż gubernator nie potwierdzi mnie w powiecie, dobrano mi na kandydata, najnienawistniejszego mu człowieka, Wincentego Ledóchowskiego, aby go tem zniewolić do potwierdzenia mego wyboru. Nic to nie pomogło; Giżycki wolał starego wroga, jak nowego, którego sądził, że z ręki Platera dostawał.

Potwierdził więc Ledóchowskiego a gdy wysłana od obywateli delegacya zapytała, dlaczego nie potwierdza jednomyślnie obranego kandydata, którego na guberskiego prowadzić mają zamiar, odrzekł im sucho: „Że się przed cesarzem a nie przed nimi ze swoich czynności tłómaczyć winien.“ Na tem się skończyła rola moja na wyborach żytomierskich; dałem obiad dla delegacyi i znakomitszych stronników moich i tejże nocy wyjechałem. Podczas tych hucznych i burzliwych wyborów 1821 r. pożar wszczęty w jakiejś kancelaryi rządowej a to rachunkowej, większą część miasta Żytomierza zniszczył.

Ponieważ kijowskie wybory odbywały się w tych samych trzechleciach, co wołyńskie,

o kilka tylko miesięcy później, wielu obywateli, posiadających majątki w obu guberniach, brali udział w zapasach żytomierskich. Tym sposobem niektórzy Kijowianie, chociaż mi osobiście nie znani, świadkami byli wysiłków Giżyckiego, to jest władzy rządowej, aby mnie do urzędu nie dopuścić a wnioskując stąd zapewne o mojej opozycyjnej działalności, ułożyli sobie i innych obywateli kijowskiej gubernii (do których ze strony majątkowej całkowicie należałem), wmówili: że mnie prawie nieznajomego, na zaoczność i jednomyślnie na swego marszałka guberskiego obrali we Wrześniu tego samego roku. Kijowski zaś gubernator Moskal, niejaki Bucharyn, człowiek prawy, szanujący wolę obywateli, potwierdził ten wybór, nie zważając na legalne nie utwierdzenie wołyńskie, oparte przez Giżyckiego niby na kilkutygodniowej wtedy, niepełnoletności mojej.

ROZDZIAŁ XI.

Gdy po klęsce kampanii żytomierskiej, zmuszony byłem dla spraw procesu rozwodowego udać się do Warszawy, wiadomość o wyborze i potwierdzeniu moim na guberskie marszałkostwo kijowskie, doszła mnie w tem mieście. Pobyt mój tam wielce uprzyjemniony był zaznajomieniem się z ówczesną literacką koteryą, do której przypuszczony byłem w domu J. W. generała Wincentego Krasińskiego, nieco zemną przez Czackich spokrewnionego, nie skalanego jeszcze, ani zdaniem swoim w sądzie sejmowym, ani późniejszemi 1830 roku wypadkami.

Celniejszymi członkami tej koteryi byli: Referendarz, radca stanu Kajetan Koźmian, autor „Ziemiaństwa“ i kilku ód wsławionych, którego dla powagi klasycznej wierszów jego, nazywaliśmy naszym Homerem; najszanowniejszy obywatel i wieszcz, Julian Ursyn Niemcewicz; Ludwik Osiński, tłómacz Cyda i Alzyry,

profesor literatury przy uniwersytecie warszawskim, dyrektor teatru narodowego, człowiek nader dowcipny i wesoły, ale zimny i obojętny a więc nie poeta, chociaż za jednego z pierwszych był wonczas mianowany. Generał Franciszek Morawski, tłómacz Szyllera, Bajrona, Andromachy Rasyna, autor wielu pięknych lirycznych poezyj i wyśmienitych bajek, którego uważałbym za wyraz przejścia z klasycyzmu do romantyzmu, nawet przed Brodzińskim a już się trochę wykluwać poczynającemu w pismach Antoniego Goreckiego na Litwie, wprzód nim potężny Mickiewicz, samowładnie w lat kilka tem berłem zawładnął. Ksawery Godebski, Salezy Dmochowski i kilku innych młodych literatów przypuszczano czasami do tego aeropagu, ale zawsze pod warunkiem niezbędnym każdego monopolu, aby utwory wymienionych liwerantów umysłowych, oceniać i rozsławiać.

Mieliśmy także naszego Pradona czy Bielawskiego, w osobie Jaksy Marcinkowskiego, który na pociechę naszego towarzystwa, ze swojemi rękopismami z Ukrainy do Warszawy przybył. Był on poniekąd pieczeniarzem Krasińskiego, nie z potrzeby, nie z płaskości, bo to był zacny człowiek, ale z nałogu próżno-

wania, przy wygodach wielkiego domu. Na nim też się młode dowcipki zaprawiali a i weterani Parnasu wesołość swoją ochoczą spędzali. Ja też wielki udział brałem w tych z Jaksą szermierkach i pierwsze względy, na które u koteryi literackiej zasłużyłem sobie, były skutkiem napisanych wierszy pod tytułem: Podróż na Parnas, w których przypuszczając, że wjeżdzamy na Olimp z Marcinkowskim, koczem jego, strażnik graniczny państw Appolina stawa i krzyczy z miną nader srogą:

„Zrewiduję was potroszę
„Głupie wiersze wejść nie mogą!“

My zaś kontrabandę mieli i wyliczam poemata Jaksy, któreśmy z sobą mieli.

To prześladowanie Jaksy Marcinkowskiego na schadzkach literackich u generała Krasińskiego, było nie dobrą zabawą, która razu jednego znakomicie uczuć się dała samemu gospodarzowi. Żarty i pogadanki literackie zaczynały się zwyczajnie od śniadania. Na jednem z nich podano kotlety *en papillotes*, zawijane, jak wiadomo w papierze; ale tym papierem były kartki drukowane jakiegoś poematu Jaksy. Sam amfitrjon, przy rozwijaniu

pierwszego kotleta, obruszył się, jakoby na brak literackiego smaku swego kucharza, śmiejącego wierszami Jaksy kotlety zawijać... dalej śmiech i przekąsy a Marcinkowski powstawszy z miejsca, godnie bo spokojnie wyrzekł te słowa: „Panie generale! złe wiersze pisać może być wadą rozumu, ale nieszkodliwą, bo nawet jak widzę, wesołość wywołują, lecz we własnym domu upokarzać zaproszonego gościa, jest wadą serca... tem szkodliwszą, że nas odziera z uznanej staropolskiej cnoty... gościnności!“... poczem wyszedł. Próżne były wybiegania za nim po schodach i ekskuzy Krasińskiego; Jaksa dowiódł, że jest szlachcicem i nie wrócił. Gospodarzowi wielki wstyd a nam wszystkim żal i upokorzenie!

Wyszedł wtedy także poemat składany, prywatnego druku, pod tytułem: Niesnaski Parnasu, w którym Osiński, Morawski, Godebski, poważny nawet Koźmian, udział brali a ja do niego illustracyę rysowałem, wyobrażającą nowy i stary Parnas, rozdzielony błotami pińskiemi, jako aluzya do wieszczów litewskich. Na starym jak zwykle, skały niedostępne, na które w zbroi Achilesa drapie się Koźmian po wawrzyn, który na samym szczycie rośnie. Na nowym, inna zupełnie

przyroda i wegetacya; porządna, gładka, bita droga, po której Marcinkowski jedzie na wole, wszędzie roskoszne wznoszą się zielska, łopuch i dendera na wieńcu dla ukraińskiego wieszcza! Bawiło to wtedy a dziś mię razi, bo luboć Marcinkowski był lichy poeta, na pogardę nie zasługiwał.

Ale za cóż, w obrębie pojęć koteryi warszawskiej, miotano obelgi na tych wielkich poetów Litwy, na Adama, który genjuszem swoim, znowu nas istniejących światu wykazał, bo nikt za granicami Lechji o Koźmianie, Osińskim, Morawskim nie wspominał a poezye Mickiewicza na różne przełożone języki całemu światu poznać go dały! a sławna Georges Sand, czyniąc rozbiór poematu Dziadów, wyżej kładzie ten utwor nad Fausta, Göthego, Manfreda, Bajrona. Smutno dziś wspomnieć o drwinkach *ex catedra* Osińskiego, który parodjując wiersz Mickiewicza: „Ciemno wszędzie, głucho wszędzie“, deklamował: „Ciemno wszędzie, głupio wszędzie, co to będzie“ i t. d., a my prawdziwi głupcy, jemu wtedy poklaskiwali.

Kiedy jeszcze o tem mowa, wspomnę żem w ówczas także napisał poemat bohatersko-

komiczny, Jaxiadę, *) pewnej w ową chwilę wziętości, tak z powodu przyjętego zwyczaju prześladowania Marcinkowskiego, jako z aluzyi do pierwszego burzliwego sejmu królestwa moskiewsko-polskiego, na którym Niemojowski, Godlewski i inni przedstawiciele opozycyi, wielką odgrywali rolę a humor cesarza Aleksandra, coraz bardziej na rozwijającą się wolność, chmurzyć poczynał! Po tym sejmie bowiem, na którym oprócz wymówek Mostowskiemu za sprzedanie**) własnego domu nader drogo, sobie jako ministrowi spraw wewnętrznych, śmiano jeszcze upominać namiestnika Zajączka o słabość a Wielkiego księcia Konstantego o arbitralność! po tym mówię sejmie, nastąpiło pierwsze zgwałcenie konstytucyi, przez samego onej dawcę, odjęciem wszech jawności obradom sejmowym. Ta pierwsza reakcya rządowa, poparta brutalstwem wodza, Wielkiego księcia Konstantego, rozwinęły naprzód patryotyczny związek 1825 r. a niebawem powstanie 1830.

---

*) „Niezrównanego męża dzielne spiewam czyny,
„Co oświecał mieszkańców pustej Ukrainy.“

**) „Komu dom był ciasny? —, mówił Godlewski — panu ministrowi. — Kto w nim dziś wygodnie mieszka? pan Mostowski. Kto dom sprzedał? p. Mostowski. — Kto dom nabył? pan minister spraw wewnętrznych. — A za czyje pieniądze? Za pieniądze kraju.“

ROZDZIAŁ XII.

Pobyt mój w Warszawie, gdziem nic nie zyskał w sprawie, która była jego powodem, zakończyłem, wyprawiając się, jak do ślubu na marszałkostwo, na które mnie powoływano. Od tej wszakże chwili, zaczyna się odrębna epoka mojego życia, tak odmienna od przeszłości a nacechowana innemi zabiegami i uczuciami, że trzeba nią nową kartę zapisywać, ale czem? o Boże mój!

Tu zaś wspomnieć jeszcze muszę o stosunkach literackich i przyjacielskich jakie miałem z dwoma znakomitemi i wielką u nas wziętość mających, ludźmi, generałem Kropińskim i Alojzym Felińskim, poetą, aktorem, tłómaczem Delila i dyrektorem później lyceum wołyńskiego, zacnym obywatelem a moim dobrym sąsiadem z tytułu majętności Wołosowa, którą zamieszkał w Żytomierskiem.

Kropiński, odważny żołnierz, w młodym wieku swoim, służył już podczas wojny o nie-

podległość pod Kościuszką; przy wzięciu Pragi ośmnaście razy ranny, zostawiony był za umarłego na placu bitwy; cudownie jednak przyszedłszy do życia i zdrowia, stał się, jak wszystko co było u nas lepszego i poczciwego, celem opieki domu Puławskiego u Czartoryskich. W tym on domu literacką i obywatelską reputacyę swoją ugruntował i w kraju pozyskał, za pomocą stosunków jakich mu przyjaźń tego szanownego domu, tudzież Czackiego i innych uczonych mężów zjednała.

Poznałem go już w dość późnym wieku, mieszkającego na wsi z żoną, Anielą z Błędowskich, anielskich przymiotów i wdzięku, trudniących się gospodarstwem, ogrodem i wychowaniem trojga dzieci*), których niestety! przeżyć mieli. Wieś dziedziczna Kropińskiego, Worończyn, w powiecie włodzimierskim położona, była z rzędu owych polskich osad, wśród błot, lasów i piasków zapomnianych; praca i gust właściciela utworzyły z niej najpowabniejszy ogród i wzorową, co do gospodarstwa wioskę. Przeżywszy dzieci, które nadzwyczaj

*) Córka jedna Zofia poszła za księcia Kaliksta Czetwertyńskiego i wkrótce umarła; zostawiła syna Włodzimierza i ten w lat kilkanaście ożeniony z Maryą hr. Uruską, jest dziś w posiadaniu owego Worończyna.

kochał, nadzieję ujrzenia swobodnej ojczyzny, dla której tyle krwi wylał, sławę nawet autorską, której może zanadto hołdował, ociemniał przy końcu żywota.

Unikną zapomnienia niektóre ulotne jego wiersze i tragedya Ludgarda, ale romans Julja i Adolf, którym z pewnym urokiem autorstwa uraczał słuchaczy, zwłaszcza płci niewieściej, poszedł całkiem w niepamięć. Ludwik Kropiński nie miał cech właściwego sobie charakteru lub talentu, ale był czysty, szlifowany kryształ, w którym się dla oczu naszych ciągle odbijały, najmilsze dla serca i uczucia przedmioty. W żołnierce jego widzieliśmy Kościuszkę, w obywatelstwie Niemcewicza, Czackiego, Czartoryskiego; w pisarstwie ówczesną sławę Przyjaciół nauk warszawskich; zgoła wszystko, co było szlachetnem a wielka to już zaleta człowieka, kiedy on do d o b r e g o a d o b r e do niego przystaje. O ile był uprzejmy w stosunkach towarzyskich, o tyle strata dzieci, wzroku, uczynić go miały cierpkim w końcu życia. Pokój mu w grobie, w grobie, który sam we własnym ogrodzie jeszcze za życia pięknym gustem przygotował. Przygotowany do śmierci przez księdza prałata Ożarowskiego, przykładnie żywot zakończył.

Z zagorzałych zaś gallo-klasyków warszawskich, Kropiński jeden nie targał się na poczynającą wzrastać sławę Mickiewicza; owszem pomnę, jak się zachwycał nad Kurhankiem, Świtezianką i t. d., bo w rodzaju piosnek ludowych, uważał siebie za mistrza. W jednej jednak okoliczności, dał mi powód napisania do niego rymowanego listu, w którym upominając się o obiecywaną a dotąd jeszcze w tece zostającą r y m o t w ó r c z ą s z t u k ę, dodałem:

„Ty, nie tykaj Mickiewicza!
Rumak dzielny, jeździec taki!
Niech powietrzne zwiedza szlaki;
Niech ten Farys polskiej ziemi
Aż tej krainy dosięga,
Gdzie żal, rozpacz, łzy... i z niemi
Olbrzymów gaśnie potęga!
Lecz tych warto sięgnąć biczem,
Co nie będąc Mickiewiczem
Bez pomysłu, bez zapału,
Na kształt nocnych ptaków kraczą,
Chcąc sztucznego nabyć szału;
Siedzą w pustkach i dziwaczą!...“

Kropiński był dowcipny i sędzią dobrej rady; pamiętam, że gdy mnie pierwszy raz jakaś dzieło-mania napadła, zakomunikowałem mu obszerną dyssertacyę o wytrąceniu litery *w* z pisowni, trzy czwarte słów naszego języka

zapełniającą. Odpisał mi, że się na wszystko zgadza, tylko prosi, aby zostawić jakąś różnicę między zburzoną Troją a wzburzonym sokiem wiśniowym i tym żartem wykurował mnie z niepotrzebnej gramatykalnej choroby!

Puławy i Poryck siedziba Czackiego, były przeważnie polem dowcipkowej jego sławy a jak się to często dzieje sukcesa salonowe nie wydoskonalają potęgi umysłu, ani uczucia; Montaigne dawno powiedział: „l' affinément de l' esprit n'est pas son assaisonnement.“ *)

Innego zupełnie był składu ciała i umysłu drugi mój wieszcz-przyjaciel Alojzy Feliński, niski, żwawy, krępy, choć nie tłusty. Feliński nie miał rysów powabnych, ale miał dużo bystrości w oku a coś wielce poczciwego i naiwnego w uśmiechu. Jako poeta, będzie i on w cechu rzemieślniczym zaliczony; nie kuł wprawdzie wierszy, jak Dmóchowski, ale je odlewał w formie i mocno szlifował; językowi się zasłużył bez wątpienia w naj-

*) Opieczętowaną paczkę testamentu i rękopismów Kropińskiego, przekazanych przez niego do mojego rozporządzenia, przesłałem do Rogalina, hr. Edwardowi Raczyńskiemu, ale doszła podobno w przeddzień bolesnej dla kraju straty!

gładszych, jakie mamy przekładach i tragedją Barbara, która jako dramat jest zbiorowem naśladowaniem klasycznego Rasyna. Publiczne i domowe jego życie było napiętnowane wysokiemi cnotami obywatelskiemi. Szczęśliwy w pożyciu z osobą rozsądną i łagodną, jako ojciec dotknięty był wielu przygodami. Stracił syna który utonął a córka poślubiona Edmundowi Michałowskiemu, rażona była do końca życia peryodyczną umysłową chorobą; — te smutki wraz z kłopotami majątkowemi stawiały przeszkody do rozwinięcia w Felińskim obszerniejszego literackiego zawodu. Siedząc na wsi, stosunki jakie mógł mieć dawniej w stolicy z literatami lub magnatami swego czasu coraz bardziej słabły; zachował wszakże ciągłą korespondencyę z Wyszkowskim, z poetami Wiszniewskim i Tymienieckim etc., których wszystkich przeżył. Hrabia Jan Tarnowski z Dzikowa, dawny jego współuczeń, wielką i stałą zaszczycał go przyjaźnią a w tej części kraju, którą Feliński zamieszkał, Czacki, Kropiński, kasztelan Rzewuski, Ojciec mój, zgoła znakomici i drobni, wszyscy go szczególnie szacowali i kochali.

Z powodu majątku swego dziedzicznego Ossowa na Polesiu, był naprzód sąsiadem mo-

jego stryja Kalasantego Olizara a później był nim mojego ojca, przeniósłszy się do Wołosowa w Żytomierskiem, stąd i do mnie, pod jego prawie okiem rosnącego, bardzo się przywiązał. Wielką miał ochotę i poczciwość w namawianiu młodzieży do pracy literackiej i nie jednego, co z jego zachęty gryzmolić zaczął, później prawdziwe zdolności rozwinął:

I ja pod jego wpływem, odważyłem się wydrukować pierwszą próbę pisarską, tłómaczenie znanego wierszyka Arnauld'a: „De la tige detachie“ „Pauvre feuille dessachie i t. d.“ którą Feliński ogładził i posłał do zbiorowego pisma wonczas w Warszawie wychodzącego, pod tytułem Ćwiczenia Naukowe:

„Od gałązki oddzielony,
Biedny listku wysuszony,
Gdzie lecisz? Nie wiem, gdzie lecę!
Niewstrzymanej burzy siła,
Nagle dąb ten wywróciła,
W którego byłem opiece;
Wiatry przez niestałe wiania
Miotają mną od świtania,
To z zarośli na równinę,
To z pagórka na dolinę —
Lecę, gdzie chcą losy moje,
Nie żalę się ani boję...

Nieświadom celu podróży,
Lecę gdzie świat dąży wszystek
I ten wonny kwiatek róży
I wawrzynu świetny listek!!“

Książę Adam Czartoryski usuwał się wtedy z trudnej a chwalebnej swojej w rządzie moskiewskim karjery, zachowując jeszcze kuratoryą uniwersytetu wileńskiego. Przeczuł on, że po śmierci Śniadeckiego i Czackiego, zakłady naukowe w kraju naszym, szczególnie polecone być powinne straży i opiece obywatelskiej; łacno bowiem przewidzieć było, iż rząd za pojawieniem się drugiego jakiegoś Komburleja, zechce je zniszczyć a fundusze na korzyść swoją obrócić. Urządził więc książę Czartoryski ustanowienie tak zwanych honorowych kuratorów do każdej szkoły większej i mniejszej, z grona obywateli wybieranych. Owi urzędnicy zależeć zawsze mieli od rządu Wydziału uniwersyteckiego a dla większego zharmonizowania tak zwanej karty szkolnej czyli akademickiej z obywatelską, nadał dwom głównym szkołom za rektorów po raz pierwszy obywateli nie z uczonego wybranych grona. W Wilnie był mianowany tameczny marszałek szlachty, Twardowski, na Wołyniu rzucił Czartoryski oko na Felińskiego, do krzemienieckiego lyceum, którego został dyrektorem.

Ostatni też to był połysk świetności tej nieodżałowanej pod wielu względami szkoły, pomimo ciskanych na nią później przez samychże niebacznych rodaków potwarzy! Świetne pióra Henryka Rzewuskiego i Michała Grabowskiego tym się błędem splamiły. Podczas gdy oni się pastwili dyssekcyą zagrożonego Krzemieńca, rząd moskiewski już wszystkie Czackiego i Czartoryskiego obywatelskie urządzenia na swoje obracał cele. Organizacya na pozór zachowana jeszcze była, ale w czysto moskiewskim duchu!

Wracając do Felińskiego, zawód jego jako dyrektora lyceum wołyńskiego, acz z wielką do dobrego dążnością, był nader krótki, bo go nam śmierć nagła wyrwała. Stygnące zaufanie, ożywiało się widocznie. Zjazdy rodziców do miejsca, gdzie się ich dzieci wychowywały, wznowiły się jak za czasów Czackiego i ostatni połysk swietności szkoły krzemienieckiej, zabłysł za niego i z nim zgasł na zawsze!

Urzędowanie Lewickiego z nominacyi jeszcze uniwersytetu wileńskiego, były dla tej szkoły, jak ów przed zgonem chwilowy spoczynek dla zamierającego. Z nastaniem Bokszczanina, białorusina, rozkładem moskiew-

szczyzny, dotruwać to ciało zaczęło! a wybuch warszawski 1830 roku był dla rządu hasłem zwinięcia zakładu; luboć nikt z uczniów ani profesorów nie mógł mieć i nie miał udziału w tym politycznym ruchu, bo generał Dwernicki minął Krzemieniec a podczas jego po nad granicą austryacką smutnej przechadzki, szkoły już były rozpuszczone.

Ognisko działalności przeniesiono z Wilna do Kijowa; kuratorya główna zeszła od Czartoryskiego, ministra do Bibikowa, generał gubernatora. Dyrektorya szkół obywatelska przeszła na dyrektorów, majorów moskiewskich, albo odstawnych czynowników! Po zabraniu samowolnem wszystkich nawet pod warunkami ofiarowanych funduszów, z niesłychaną bezczelnością ciskano nam w oczy, że Charków i Kijów, to samo co Wilno i Krzemieniec dla użytku tychże samych obywateli.

Wielu z naszych, żyjąc tylko wspomnieniem żałując przeszłości, opuścili, jak to mówią, ręce, usuwając się z rodzajem pogardy od jakiego bądź wpływu na kierunek acz uboczny projektów rządowych, w nowej organizacyi szkół w obce barwy przybranych. Ilużto z głupoty, ilu z nikczemności zaczęło się z nowym

porządkiem oswajać; do ogólnej obojętności wpływało może i to poniekąd, że duch katolicki w szkole krzemienieckiej był oziębiony jeszcze ostatniemi podmuchy filozofii i literatury francuskiej, pomimo całej prawości i religii Czackiego i Felińskiego.

CZĘŚĆ II.

ROZDZIAŁ I.

W roku 1821 po powrocie z Warszawy, objąłem urząd guberskiego, szlacheckiego marszałka w Kijowie; ale wprzód nim opiszę wydarzenia, których byłem świadkiem, rolę jaką z położenia mego społecznego odgrywałem, stosunki ze znakomitszymi lub drobnymi ludźmi obu narodów, skreślę w przebiegu ostatki obyczajowości szlacheckiej miejscowej, której może byłem ostatnim przedstawicielem.

Wjechałem na stolicę urzędu mojego... pijaniusienki, gdyż obyczaje saskich ostatnich czasów nie wywietrzały całkowicie były w naszych województwach wschodnio-południowych. Upijano się jeszcze, ale przy okazyach a że i Moskale mają ten sam popęd gościnności niepowstrzymanej rozsądkiem lub rachunkiem, więc nas z tej zdrożności nie oswobodzili! Za tych jeszcze czasów bywały zjazdy na coro-

czne imieniny za należne uznawane, lub inne przypadkowe okazye do liczniejszych zgromadzeń, kończących się zawsze pijatyką, do czego zaliczyć także potrzeba zbierania się na kuligi. Brak życia publicznego a co gorsza zdrowego pojęcia rzeczywistego położenia, do którego kierować należało wychowanie i obyczaje, były przyczyną ogólnego próżniactwa, zbyt często w godową szatę towarzyskości lub gościnności przybranego.

Złą stronę tego stanu rzeczy każdy dziś widzi i czuje; można zeń wyjąć dobrą, zachowawczą ideę, która w opatrznym biegu przyszłych losów naszych, właściwe zastosowanie swoje może znajdzie.

Byt udzielny, wyrwany ludowi, co tak twardo w niedawnej jeszcze swobodzie zasnął, przechowywać się musiał w owych targowych marzeniach, oczekujących ocknienia z zewnętrznych chyba wstrząśnień wypaść mających. Zdawało się nam mocno sennym wtedy, żeśmy razem spokojni i bezpieczni!! i za najważniejszą sprawę życia było zachowanie zgody sąsiedzkiej, stosunków obywatelskich, wpływu na sejmikach. Te sejmiki wprawdzie powiatowe lub guberskie, jak senna zmora przedłużały

ułudę, bo się w swojej odbywały mowie a gdzieniegdzie jeszcze jakiś chodzący kontusz się ukazywał. Z tego uczucia wynikała potrzeba pretextu do częstszych i liczniejszych zbierań a przy nich powód do ochoty towarzyskiej, którą porównałbym do osadu przylegającego do dna butelki starego wina już wypróżnionego. Gdybyśmy ją byli zapełnili nowym, młodym ale czystym trunkiem, utworzyłby się domowy napój na ochłodę niedoli naszej, ale towarzyskość przechodząca w rozprószenie ducha, czasu i fortuny, stała się wadą główną i opłakaną, wyczekująca wypadków a nie przysposabiająca rozwoju onych!

Dawniej religia trzymała w karbach obyczaje, ściśniała wewnętrzne rodzin stosunki; nierząd domu był wyjątkiem, jak w Rzeczypospolitej ład i radność za sprawą Batorych, Żółkiewskich, Czarnieckich lub Chodkiewiczów. Ale gdy z upadkiem losów naszych wkradł się element saskiego opilstwa a za Stanisława rozwiązłość, francuskim zaprawione dowcipem, wtedy przygasły instynkta prawdziwej samoistności i staliśmy się łupem, którego każdy z sąsiadów, jak mógł na własną przeciągał korzyść. Wspólnicy pierwszej wszechjawnej europejskiej zbrodni, obcy z krwi i

ducha, nie dozwolili żadnemu z pomiędzy siebie zlać nas w jedno słowiańskie runo, lecz z rozerwanej onego przędzy, utkali tylko dla nas całun!

Ale gdzie mnie myśl unosi? Nie było widać w woli Opatrzności, abyśmy dobrowolną śmiercią, życie nowe przelali w bratobójczą potęgę; owszem, udana naprzód łagodność a później systematyczne męczeństwa, zadawane bez granic przez rząd moskiewski, mają być może tym hartem duchowym, przez który Pan światów przysposabia naród do przyszłego odrodzenia. Kiedy ono zaświta? i dla jakiego pokolenia? Jemu to tylko wiadomo! ale nam starym czy młodym wolno doń językiem psalmów prośby nasze codziennie powtarzać: „Ty „powstawszy, zmiłujesz się nad Syonem, boć „jest czas zmiłowania nad nim, już przyszedł „czas!! Wejrzał Pan na modlitwę poniżonych „i nie wzgardził prośbą ich! Pan z nieba spojrzał na ziemię, aby wysłuchał wzdychania „okowanych i rozwiązał syny pomordowanych.“

Ale wracam do mojego urzędowania. Było to pamiętam na św. Józef, kiedy w domu państwa Podwysockich w Pietruszkach o jedną stacyę pocztową od Kijowa, zebrało się kilka zacnych rodzin, Szymanowskich i Bolciszewskich dla obchodzenia imienin J. W. Józefa Szymanowskiego z Mołożyna, obranego wraz ze mną na powiatowego marszałka kijowskiego. Tam zajechać było politycznie i powabnie, bo się wielką sprawiało uczynność dwom klasom wielce w powiecie wpływowym. W tem gronie spotykało się także tych dwóch rodów najuprzejmiejsze i czcigodne niewiasty, w których liczbie błyszczała pięknością Ludwika z Bolciszewskich księżna Trubecka; do niezaprzeczonych wdzięków, dodała później wypróbowane smutkami łagodne i cnotliwe życie.

Dobrze więc było oddać hołd należny szanownym obywatelom, ale można było i należało się przytem nie upić. Coż robić? inaczej się stało; przeciw zwyczajom jednak bynajmniej nie wykroczyłem, bo tak wtedy pojmowano ofiarowaną i przyjętą gościnność. Z tego zaś tylko nie mogę sobie zdać sprawę, dla czegom nie wytrzeźwiony do Kijowa przyjechał, chyba że gospodarz i goście jeszcze bardziej pijani odemnie byli, kiedy mi w takim stanie wyjechać dali. Jakkolwiek bądź, przywieźli mnie do Kijowa i wynieśli z pojazdu do mieszkania a sekret owego zdarzenia nie źle był zachowany przez kamerdynera i marszałka dworu.

Gubernatorem cywilnym w Kijowie był w tę porę niejaki Bucharyn, później senator w Moskwie, a generał broni Mikołaj Dunin Rajewski, z polskiej szlachty w Smoleńskiem osiadłej, czwartym korpusem piechoty armii dowodził i stałą miał w Kijowie konsystencyę. Ci więc dwaj byli reprezentanci władzy rządowej, z któremi wypadało mi postarać się w najlepsze wejść stosunki, ażeby od razu na przyzwoitej stanąwszy stopie z wyższymi, módz być pożytecznym niższym dobrym a nie bardzo obawiać się niższych złych. Jakoż, nie źle mi się udało tych dwóch ludzi zaskarbić sobie a wspomnienie gotowości z jaką oni podnieśli mnie w opinii swojej i tłumu mniej życzliwych, miłą na zawsze w sercu mojem zostawi pamiątkę!

Prowincya nasza dość była zaludniona szlachtą nie wielkich majątków, ale dostatnią. Najbliższymi sąsiadami majętności mojej byli Zielonkowie, Gałeccy, Czajkowscy, Pągowscy, Proskurowie, Michałowscy a w Stawkach JW. szambelan Adam Wąsowicz, poważny już wtedy staruszek, gdzieśmy bywało zjeżdżali się na imieniny i w wilję Bożego Narodzenia. Węgrzyn był jeszcze u nas winem biesiadowem, a że go pić nie mogłem a tak zwane francuskie wina były u poczciwego szambelana z fabryki żydów berdyczowskich, kapitulowałem więc na maderę, której dla porównania ilości użytego przez drugich węgrzyna, siedm butelek na osobę, wypijałem sam na siebie trzy. Wspominam z naciskiem o tym zbytku dla tego, że dożyłem szczęśliwie epoki, w której ta zdrożność obyczajowa znikła u nas zupełnie.

Rzeczony szanowny sąsiad mój, oprócz wspólnej nam wszystkim cnoty gościnności, posiadał też i wadę, którą niemal przymiotem nazwać można było, niewinnego a bardzo zabawnego nie raz łgarstwa, którego Radziwiłł, Panie Kochanku, był prototypem a którego Henryk Rzewuski w jednem z dzieł swoich nazwał Bardostwem.

Najobfitszego wszakże plonu do takowych narracyj przedmiot: „Syna mojego pana Stanisława pułkownika, co był przy Napoleonie", ulubiony frazes staruszka, ciągle powtarzany; różne epizody kampanii 1812 roku; rozmowy tegoż syna Stanisława pułkownika z cesarzem Francuzów o stosunkach czysto powiatu radomyskiego dotyczące! Sam za ulubiony teatr do różnych przydarzeń swoich, obierał zwykle Gdańsk, jako jedyne portowe krajowe miasto

i Liworno, gdzie nigdy nie był, tak i syna pułkownika wyprawiał w opowieściach swoich do San Domingo, do Rzymu, gdzie również pułkownik Wąsowicz, pono nie zawitał.

Długo by opisywać nie wyczerpane p o e z y e rozmów staruszka, jako między innemi ów szczupak złapany w Stawkach na rzece Teterowie, wpuszczony nazad do rzeki w obróży z napisem: „ktoby go znowu złowił, niech mnie na obiad zaprosi"; złapał go Adam hr. Dunin Wąsowicz... datum... W dziewięć lat później, odbiera list od archireja z Archangelska z zaprosinami na obiad.

Opowiadał o owej staruszce elegantce warszawskiej, co kupiła u jakiegoś filuta w Gdańsku krople na odmłodzenie a w skwapliwości otrzymania prędszego odrodzenia, tak dozy przesadziła, że ją nazajutrz małem dziecięciem w pościeli znaleziono? Mam honor W. panu Dobrodziejowi powiedzieć, co to za ambaras był w mieści, znalezienia dla niej mamkę, piastunkę etc.

On to miał sześć koni, które zaprzężone w karecie na drodze do stada kuropatw stanęły, tak że on wydobytem z tłómaka prześcieradłem, mógł je nakryć. Polował także na

zająca g r a c z a, którego najlepszemi chartami uszczuć nigdy nie mógł, aż po schwytaniu go dopiero w zasadzce pokazało się, że to były dwa zające grzbietami z sobą zrosłe, tak że kiedy ten co biegł zmęczony był lub doganiany, przewracał się na grzbiet drugiego wypoczętego i z nową rączością umykał od niebezpieczeństwa.

Można było wszakże poznać kiedy szambelan wielkie jakieś łgarstwo z warsztatu miał wypuścić, wtedy bowiem frazes swój zaczynał od układnej dworskiej formuły: „Mam honor Wielmożnemu panu Dobrodziejowi powiedzieć i t. d. Niebrakowało mu też naturalnego dowcipu, jakiego nieraz w sławnych łgarstwach Radziwiłła dostrzegamy. I tak w jednej wiosce swojej miał za dzierżawcę słynnego wierszokletę Jaksę Marcinkowskiego, którego jako poczciwego człowieka rad widywał, ale wierszów jego nie cenił i nie lubił. Wyliczając korzyści i wygody jakie miał z wypuszczenia dzierżawy takiemu poecie jak Jaksa, dodawał: „Mam honor Wielmożnemu panu Dobrodziejowi powiedzieć, że w kontrakcie dodałem mu nawet dwóch chłopców do nauki pisania wierszów." Można li było dowcipniej rzemiosłowość biednego wieszcza wytknąć?

Podczas urzędowania mojego nie zaszło nic bardzo ważnego w wewnętrznem urządzeniu kraju; łatwo mi więc było uniknąć zajścia z rządem i swoim cząstkowe oddawać usługi przez wpływ osobistych stosunków z władzami. Że zaś w tę porę jeszcze język i prawo cywilne były nam zachowane, że do urzędników z wyboru mogłem po polsku pismiennie i ustnie przemawiać, nie brakło mi na wymowie i byłem, jak to mówią nie złym marszałkiem, mając na poparcie zalet moich obywatelskich piwnicę doskonale opatrzoną i wybornego kucharza, który terminował u sławnego w kraju kuchmistrza po ś. p. księciu Kazimierzu Lubomirskim, Tegaza.

Dwa tylko były wypadki, w których chciałem niejakieś piętno urzędowaniu mojemu nadać, ale mi się w jednym razie słabo a w drugim zupełnie nie powiodło.

Poprzednik *) mój na urzędzie, szanowny starzec Piotr Potocki, starosta szczerzecki, był założycielem kijowskiego katolickiego kościoła

*) Ten znakomity obywatel, straciwszy łaskę cesarza Aleksandra, chociaż wybrany na trzecie lub czwarte trienium urzędowania, nie został potwierdzonym. Kandydat jego Franciszek Morzkowski, sprawował przez rok urząd guberskiego marszałka, poczem zastąpił go powiatowy marszałek Walenty Rościszewski,

pod mianem św. Aleksandra, na placu przez cesarza danym i wyznaczonym, na wałach starego Kijowa, poniżej cerkwi św. Barbary. Że to miał oraz być pomnik historyczny panowania cesarza Aleksandra Potocki sądził, że skoro składkę jaką uchwaliły dwie trzecie części obywatelstwa guberni, to już miało zostać prawem i dla trzeciej. Dla tego z niezbyt może wielką uprzejmością zażądał uzyskania dobrowolnie przyjętego podatku na kościół-pomnik, ale katolicki, od obywateli znakomitych tej guberni, wyznania greckiego. Hetmanowa Branicka, tudzież różni jej krewni po Potemkinie, jako Galicyny, Engelhardy, Samoiłowy, Łopuchiny etc. znaczne włości posiadający w kijowskiem, oburzyli się bardzo na ton starosty Szczerzeckiego i za wpływem tej pierwszej magnatki wyszedł wtedy ukaz, że co do obywatelskich składek, gdy te nawet przez rząd dozwolone, podpis tylko każdego jest dlań obowiązującym.

Założono więc fundamenta obszernego gmachu, ale gdy na dalszą robotę zabrakło

a dopiero po rozpisaniu nowych wyborów, ja legalnie na aktualnego marszałka guberskiego obrany zostałem. Stąd szlachta swój wybór ceniąc, liczyła mnie zawsze następcą Potockiego, co mi też pewnej dodawało powagi, z której przy moim młodym wieku bardzo starałem się korzystać.

funduszów i po wyższym ukazie prośbą tylko, ale już nie uchwałą od zatwardziałych wyrobić coś można było, puściłem się więc na żebraninę. Doprowadziwszy ściany już do sklepień a w kasie składkowej mając tylko 10 do 12-stu tysięcy rubli assygnat, z porady ówczesnego, ostatniego Przeora OO. Dominikanów Hołowni, postanowiłem pieniądze te użyć na wybudowanie domu mieszkalnego dla księży, przy nowo wznoszącym się kościele. Aby zaś zachęcić do darów tak jak do ufności, że te pieniądze porządnie się wydatkują, każdorocznie drukowany rachunek przychodów i rozchodów w kilkuset egzemplarzach przez marszałków rozsyłałem w powiaty, zawsze z małą przemówką, że z grosza publicznego jawny należy zdawać rachunek i że urzędnik co by własne mienie w porządku zachować nie umiał, z cudzego zawsze zdać liczbę potrafi. Wielu ten porządek chwaliło, ale ani składki nie przybywało, ani za moich następców obyczaj ten się nie zachował dalej, gdym wyszedł z urzędowania.

Druga okoliczność przykrzejsze sprawiła mi rozczarowanie, bo musiałem wyjść na owego *falsus vates*, co zwykle na próżno do dobrego nakłania. Niejaki obywatel, dziedzic małego

majątku w Bohusławskim powiecie, dopuścił się był tylu okrucieństw nad włościanami, że go najgnuśniejszy wtedy co do tego przedmiotu rząd, musiał wreszcie oddać pod sąd kryminalny a majątek pod administracyę. Nie tylko że go bronić nie chciałem, a niestety były za nim instancye, ale pragnąłem korzystać w porę z usposobienia, jakie cesarz Aleksander miał dla niemiecko-bałtyckich gubernii i prosić go również o uwolnienie u nas z poddaństwa chłopów, zamieniając ich powinności na czynsze. Jeżeli tego nie chcieli wszyscy zrozumieć, że lepiej jest i bezpieczniej dać, niż później dać sobie wziąść, to przynajmniej dla uniknienia podobnych nadużyć jakiemi B.... splamił imię obywatelskie, należałoby wyświecić godziwie użycie władzy właściciela ziemskiego.

Na to trzeba było z grona swojego obrać obywateli gospodarzy, co zważywszy zwyczaje, położenie handlowe, glebę i inne zyski lub straty z miejscowości wynikające, ułożyliby normę w kilku formach zastosowanych, prawego użycia czasu i pracy włościanina, za dany mu grunt i opiekę, albowiem dodawałem, rząd sam to zrobi, ale zrobi na innej zasadzie, w czem niestety byłem prorokiem, jak to dziś

we dwadzieścia lat później w urządzeniu inwentarzy widzimy, a odjąwszy nam jedyną zasługę chrześciańskiej sprawiedliwości, odejmie nam własność, skarbiąc prócz tego dla siebie zasługę a dla nas nienawiść!

Nikt z kolegów marszałków zdania mego nie podzielił; dwóch zaś tylko zrozumiało i tych imiona tu wypisuję: z radomyskiego powiatu Onufry Gałecki, który tak nieszczęśliwie później w powstaniu 1830 r. zginął i z czehryńskiego powiatu Ignacy Trypolski, potem prezes izby cywilnej, a w końcu urzędnik cywilno-wojskowy przy generale Witt, podczas kampanii tureckiej.

Najciekawszy epizod prywatnej historyi mojego urzędowania, było zajście z wicegubernatorem prowincyi nazwiskiem Katerynicz, które tu opiszę dla przechowania pamięci jednego z milionowych sposobów, jakich wyżsi i niżsi urzędnicy moskiewscy, w naszych prowincyach używają, dla okradania kogo mają, powtóre, że z tego źródła wyszły dla mnie dalsze prześladowania rządowe, a nakoniec dla tego, że to zajście i skutki onego, tłómaczą mi miłosierne względem mnie widoki Opatrzności, która uciskając mnie na pozór wielkiemi przeciwnościami, chciała od prawdziwego wybawić nieszczęścia, jakiemu ulegli wszyscy, mogący z położenia swojego czynniejszy mieć udział w politycznym ruchu 1825 r. o czem dalej będzie mowa.

Co lat kilka odbywały się publiczne licytacye na poczty konne w guberniach wielkorosyjskich, albowiem nie ci, co konie utrzymują, płacą za ten przywilej rządowi, jak to się w całej Europie dzieje, ale przeciwnie rząd a raczej miejscowa prowincyonalna kasa z dochodów, po największej części obywatelskich, pod mianem z i e m s k i c h p o w i n n o ś c i opłaca tych, którzy na zysk lub stratę biorą na siebie tę spekulacyę. Naznaczają więc t a r g i, a kto na mniejszą od wystawionej rocznej ceny się zgodzi, ten zwykle przywilej dzierżenia konnej poczty otrzymuje. Zwyczajnie targi zaczynały się od cząstkowej stacyi, a z przedstawionych rozmaitych cen, układała się ogólna na całą gubernię i wtedy licytant zwykle bogaty, ustąpiwszy z ogółu pewny procent na rzecz publiczną ziemskich powinności, otrzymywał przedsiębiorstwo i kontrakt na umówioną liczbę lat.

Marszałek guberski, jako stróż interesu obywatelskiego, miał z tego względu udział w tych targach, równie jak gubernator, pro-

kurator i reszta członków izby skarbowej pod wodzą jej naczelnika wicegubernatora.

Przy targach, jakie się za mojego odbywały urzędowania, ogólnym dzierżawcą poczt był od dłuższego czasu Kissielewsky, wójt miasta Kijowa, bogaty przytem kupiec; utrzymywał poczty w najlepszym porządku, ale gdy w miarę polepszania się jego interesów, powiększały się dlań coraz bardziej zdzierstwa wicegubernatora, przychodzi do mnie Kissielewsky, oświadczając że gotów jest zniżyć o trzykroć sto tysięcy podatek pocztowy, byle go oswobodzić od zdzierstw kaziennej Pałaty i innych urzędników, którzy przy każdym odnawianym kontrakcie do dwóchkroć sto tysięcy rubli kosztują. Jakim to sposobem? pytam. O to najprościej; kilku lichwiarzy z wicegubernatorem na czele, wprost się ze mną targują o odstępne odemnie za to, że oni swojemi pieniądzmi, ale pod cudzemi imionami do licytacyi niby stawając, nie będą mi zbytecznie poniżać ceny.

Podstawiają wtedy kogo ze swoich, który oświadcza, że dla wielu prawdopodobnych przyczyn, poczt na całą gubernię utrzymać nie można bez podniesienia ceny istniejącego kontraktu; po kilkudniowej takiej komedyi rozpoczęcia targów, od których innych chętnych licytantów prośbą lub groźbą usuwają, doprowadzają cenę cokolwiek niżej od egzystującej. Ja, który zapłaciwszy haracz milczę dotąd i dopiero oznajmując, że jeszcze jedną kopijkę odstępuję, dostaję przyznanie mi na dal poczty, za którą do kieszeni prywatnych, tak wielki opłaciłem procent.

Wysłuchawszy go, jadę do gubernatora Bucharyna, pierwszego od dawnego czasu uczciwego władcę, wszystko mu opowiadam i z nim układamy plan naszej ze złodziejami strategii.

Posyłam cyrkularz do pp. marszałków, prosząc aby się zjechali i przywieźli świadectwa sądowe na prywatne swoje majątki, do których dokładam takowy na mój własny, około 4.000 dusz w tę porę liczący. Za ich przybyciem oświadczam urzędowem pismem, że obywatele sami naznaczają cenę, od której zacznie się licytacya na nowy kontrakt pocztowy a w razie, gdyby się żaden licytant nie stawił, pp. marszałkowie i ja składamy kaucye z naszych majątków i bierzemy na siebie przedsiębiorstwo poczt, z wolnością wydzierżawienia ich od siebie za równie bezpieczną kaucyą. Zmięszali się tem przeciwnicy, ale że już na tę spekulacyę mieli przygotowane pieniądze, spróbować chcieli,

czy raptownem zniżeniem nie odstraszą nas a raczej Kissielewskiego od traktowania z nami. Ten zaś widząc guberskiego marszałka szczerze działającego i popieranego przez gubernatora, zawierzył nam i oświadczył od razu znaczne zniżenie. Lichwiarze odskoczyli od targów, a my z powagą urzędu kazaliśmy spisać protokół o umowie z Kissielewskim.

Sprawa zdawała się już skończona, gdy wtedy dopiero Zaniedprski Italianice, jak sami Rosjanie Mało-Rosjan nazywają, wicegubernator Katerynicz zastawił swoje łapki, aby w nie gubernatora, mnie i zdrajcę Kissielewskiego złowić. Rachując na porywczość szaloną Bucharyna, na niecierpliwość Polaka zupełnie z formami kancelaryjnemi nie obytego, każe rzeczony protokół, czyli jak oni nazywają żurnał w tak prostej sprawie najrozwleklej pisać; trzy egzemplarze tego konceptu Bucharyn zdziera, jako nie stosowne i każe pisać inaczej. Nim czwarty wygotowano, była już późna godzina. Na to, miodowym głosem mówi Katerynicz: „Po co się państwo darmo frasujecie, to rzecz domowa, zrobi się stosownie do życzeń waszych protokół, który do podpisu wam przyszlę, to sekret izby, a teraz przywołać trzeba Kissielewskiego, aby w przytomności zebranego urzędu oświadczyć mu, że przy nim zostają poczty a kontrakt mu się jutro napisze“.

Uwierzyliśmy słowom głównego urzędnika i wyszliśmy bez podpisania protokołu, co było przeciw prawu, zapominając obaj, że nazajutrz była niedziela a więc juryzdykcye zamknięte; jakoż ani w ten dzień, ani nazajutrz, protokół nie został do podpisu przysłany. W poniedziałek gubernator odbiera petycję od jednego ze strażników Katerynicza z tem, że „ponieważ protokół oddający poczty Kissielewskiemu nie został podpisany, on prosi o otwarcie na nowo ostatecznej licytacyi, oświadczając, że ofiaruje pięć tysięcy r. a. zniżenia każdo-rocznej ceny od tej, jaka była przyznana Kissielewskiemu.

Gubernator natychmiast zawiadamia mnie prywatnie o tym podstępie; decydujemy więc, że on jako gospodarz kazienny licytacyę naznaczy; kiedy przeciwnie ja, jako obrońca interesów ogółu, przeciw takowej zaprotestuję na podstawie, że albośmy pierwsi urzędnicy prowincyi nie mieli prawa, publicznie, chociaż ustnie kogoś zapewniać o tem czegośmy podpisanym protokołem nie stwierdzili, to powinniśmy za to odpowiadać; albo jeżeli dobrą wiarę i honor rządu więcej cenimy nad pięć

tysięcy r. as. ofiarowanych przez nowego licytanta, żadnego względu na jego żądanie mieć nie powinniśmy."

Bucharyn na to zdanie przystaje, do czego przyłącza się starszy radca izby skarbowej niejaki Kamieński, a wicegubernator, młodszy radca i prokurator protestują jako n i e l e g a l n e m u. Co do egzekucyi, równość głosów przeważa jednak zdanie gubernatora; poczty oddane Kissielewskiemu natychmiast, ale ponieważ sprawa musiała iść na rozstrzygnienie ostateczne ministra spraw wewnętrznych, natenczas grafa Koczubeja, więc do czasu tej rezolucyi, pieniądze kaucyjne lichwiarzy zatrzymano bez l i c h w y a co gorsza bez p r o c e n t u.

W kilka miesięcy dopiero przyszła odpowiedź ministra, potwierdzająca wprawdzie rozporządzenie gubernatora, wytykająca jednak n i e p r a w n o ś ć naszego działania. Orderu do którego mimo mojej wiedzy gubernator za dzielną czynność moją na placu bojowym mnie przedstawił, naturalnie nie przysłano i dotąd dobrze, bom wyszedł z urzędowania bez owych g r z e c h ó w ż y w o t a, jak wieszcz nasz w Wallenrodzie nazywa owe zewnętrzne oznaki dygnitarstwa rządu nieprzyjacielskiego! Ale

odwrotna strona tej całej sprawy bardzo na mnie spadła nieprzyjemnie, albowiem na zapytanie wicegubernatora przez Ministerstwo finansów, kto wróci kaźni ofiarowane trzyletnie ustępstwo 5.000 r. as., ukaz senatu kazał te 15.000 r. ściągnąć z gubernatora i ze mnie, a że Bucharyn był nie majętny, g o d n o ś ć s z l a c h e c k a, ma się rozumieć kazała mi cały ciężar przyjąć na siebie. Starszy radca izby skarbowej biedny Kamieński, ojciec licznej rodziny, za to że odważył się być naszego zdania, za oskarżeniem Katerynicza, przeniesiony został w tym samym stopniu służby, lecz na gorszą posadę do Mohylewa białoruskiego, a w kilka miesięcy później i szlachetny Bucharyn do innej gubernii na rządcę został przeniesiony.

Na zastępcę jego do Kijowa przysłano wtedy jakiegoś Iwana Gawryłowicza Kowalewa, byłego oddziałowego policmajstra w Petersburgu. Dobry to był Iwan, ale niesłychanie głupi. Przywiózł z sobą sekretarza Zandra rozumnego i nie złośliwego człowieka, lecz umiejącego sobie i pryncypałowi swemu większe niż rządowe wynagrodzenie z prywatnych kieszeni zapewnić. Nie były to jednak tak bezczelne i niemiłosierne zdzierstwa, jakie się

w późniejszych czasach po 1830 roku w nieszczęsnym naszym kraju niemal z politycznego systematu zaprowadziły.

Dalsze urzędowanie z tymi dwoma ludźmi spokojnie prowadziłem; tkwiła atoli w pamięci świeżo wyrządzona mi przez senat krzywda, owa pieniężna kara wtedy właśnie, kiedym sumiennie do pewnej zasługi miał prawo. Widziałem w tem upokorzenie urzędu, a stąd niemożność przyzwoitego dalej piastowania onego. Skuszony tą myślą, wyjechałem do Petersburga, chcąc także w losie Kamieńskiego pomyślną wyrobić odmianę. Źlem się wyrachował, bo jak mówił książę Kozłowski, Moskal pełen dowcipu, bawiący w Warszawie przy Wielkim księciu Konstantym: „Dans notre pays si vous avez un droit, demandez toujours une grâce", a ja w dobroduszności mojej po sprawiedliwość do Petersburga się wybrałem! Ale w tem pewna nie przewidziana okoliczność najbardziej wpłynęła na tragiczny koniec tejże wyprawy, a była następna.

ROZDZIAŁ II.

Dzierżawę szynków rządowych miasta Kijowa trzymał pułkownik Józef Poniatowski, zacny i majętny obywatel; ale gdy mu zbrojne z Zadniepru bandy przemycać trunki nawykły, skąd i zbrodnie wynikały, wyprosił u władzy wojskowej śledztwo w tym przedmiocie. Pod pozorem tego wypadku przysłano wtedy do Kijowa ze sztabu głównej armii pod wodzą feldmarszałka Sackena, jakiegoś generała Hertela. Powszechnie jednak mniemano, że ów Hertel bardziej był przysłany dla politycznych szpiegowań i prześladowania wpadającego już w niełaskę generała broni Rajewskiego, aniżeli dla sprawy kontrabandzistów; a że Hertel był niezmiernie hardy i mnie wizyty nie zrobiwszy oczekiwał jej odemnie, kazałem mu powiedzieć, że ja gospodarz a on gość, a chociaż jego ranga wprawdzie wyższa od mojej, bo był pełnym generałem, wszelako gdybym w mundurze urzędu mojego przyjechał, tobym przedstawił zbiorowo obywateli naszej prowincyi,

a między niemi niektórych wyższej jeszcze rangi od jego, dla tego pierwszy do niego przyjechać nie mogę. Możebym tak wyszukanego skrupułu etykiety nie miał, gdyby ten znakomity łotr nie starał się upokarzać człowieka, któregom wielce szanował i z którego familią zaprzyjaźniony byłem. Nie myślałem wcale o następstwach wyniknąć mogących z tej okoliczności i jawnie lekceważenie okazywałem wrogowi Rajewskiego. Obrażony Niemiec sekretne robi doniesienie, iż dowiedział się jakoby ja, guberski marszałek, podczas niedawno odbytych wyborów, na których powtórnie na ten urząd zostałem wybrany, miałem głosić podżegające patryotyczne mowy, grożące naruszeniem spokojności publicznej.

Wyprzedzony takim donosem, nic o nim nie wiedząc, przybywam do stolicy. Listy zalecalne od hr. Branickiej i innych otworzyły mi wstęp do znakomitszych domów, ale potrzeba było przedstawić się cesarzowi i wysokiej jego familii. Jadę więc do zastępcy wielkiego szambelana dworu Łassuńskiego, który mnie do listy przedstawiać się mających osób wpisuje.

W dzień naznaczony przywoływam fryzyera, bo wtedy jeszcze bez pudru do dworu

nie przypuszczano i rozpoczynam toaletę, gdy przybywa kurjer pałacowy i prosi abym natychmiast udał się do księcia Piotra Wołkońskiego, starszego adjutanta cesarskiego.

Sądząc naturalnie, że stamtąd wprost udam się na pokoje, stroju nie zmieniam, ale jakież było zdziwienie moje, gdy książę acz z wielką grzecznością po francusku do mnie przemawiając oświadcza, iż dla tego chciał mnie uprzednio widzieć, aby spełnić smutne zlecenie przez najjaśniejszego pana mu dane, „że cesarz nie życzy sobie bym mu był przedstawiony, ani żadnym członkom jego rodziny“. Obstupui! i pytam: skąd taka mnie spotyka niełaska? Na to książę Wołkoński: „Nie moja rzecz o tem wiedzieć, a tylko powiedzieć panu co mi było polecone. Najjaśniejszy pan, dodał, iż na ten raz na tem poprzestaje, ale gdyby to dalej trwało, najgorszych następstw pan się możesz spodziewać“.

Zniecierpliwiony rzucam bałwana dyplomatę a w strasznym oburzeniu piszę do cesarza list podobnej treści:

„Kara, którąś na mnie Wasza Cesarska Mość wymierzył, dla winnego może za mała, dla niewinnego nader wielka. Ja proszę Waszą Cesarską Mość o łaskę, jakiej największemu

w swoim państwie zbrodniarzowi odmówić byś nie chciał, to jest, o objawienie moich przewinień i o sąd na nie lub o wrócenie mi jawnie utraconej, nie wiem za co, łaski monarszej, co w osobie mojej dotyka niejako stan obywatelski całej prowincyi, której mam zaszczyt być jeszcze przedstawicielem!“

List ten był może jeszcze obszerniejszy, ale odwiedzający mnie w tej chwili urzędnik kancelaryi polskiej za ministerstwa Ignacego Sobolewskiego, młody człowiek Ignacy Turkuł, dziś do wysokiej doszły karyery, dobry kompan, bystrego umysłu, z formami dworu bardziej obyty, z pospieszną uprzejmością okrzesał redakcyę owego listu, który oddaliśmy do pierwszego pocztowego biura, adresując wedle formy:

„Do rąk własnych Najjaśniejszego Pana.“

W kilka dni generał policmajster Gorgoli przybywa do mnie upraszając, abym natychmiast udał się do generała gubernatora petersburgskiego hr. Miłoradowicza, który mnie w swoim gabinecie oczekiwać będzie. Udaję się w tej chwili na to wezwanie i rozmowę moją na tej audjencyi, jako charakteryzującą panowanie, rząd i osobistość do słowa opisuję.

Miłoradowicz był kiedyś kijowskim gubernatorem, stąd imię nasze i osoba moja były mu dosyć znane. Był to człowiek pięknej co do męstwa osobistego reputacyi wojskowej; nazywano go le Murat du Nord. Zalotny, zawsze zakochany w uroczych przedmiotach, w oną porę ubrał był swój gabinet w obrazy, sztychy, marmury lub bronzy, wyobrażać mające postać słynnej piękności Olgi Potockiej, najmłodszej Szczęśnianki z Greczynki urodzonej, dzisiaj wdowy Naryszkinowej. W takiej atmosferze miłośnej, na trzeciem piętrze, mieszkał ów prawdziwy r y c e r z, a tą razą naczelnik jawnej tajnej policyi miasta.

Gdy mnie zameldowano, wyszedł naprzeciw mnie z miną srodze napuszoną i rzecze:

— Vous êtes le Comte Olizar de Kieff?

— Oui mon Général.

— Vous avez écrit ces jours-ci a Sa Majesté!

— Oui — Eh bien l' Empereur mon maître, vous fait dire par moi, qu' il ne desire pas vous avoir dans sa Capitale, et que vous devez quitter la ville dans les 24 heures, si non... — chciałem mu przerwać, gdy Miłoradowicz głos podnosząc, rzecze dalej — et n' oubliez pas Monsieur, que c'est par m o i que

Sa Majesté vous faisant pars de sa volonté, use a votre egard d'une bontè, dont je me flatte que vous n'abuserez pas; autrement les Gendarmes se chargeraíent du reste.

— Je suis vetrêmement sensible a ce genre de procedé de S. M. Imperiale, mais vous me permettrez, mon Général, de vous représenter humblement, qu' ignorant absolument mon débit et étant venu ici pour les intèrets dela Noblesse de ma province et non en simple voyageur, il me serait prèsque impossible de pouvoir à l'instant méme.

On znów przerywając, ale z łagodniejszem już spojrzeniem: — Vingt quatre heures, mon cher, on bien les Gendarmes...

Wtedy z uczuciem odparłem: Niechcę w osobie pańskiej widzieć naczelnika policyi, prostego wykonawcę wyższych rozkazów. Ja się udaję do generała jak do mężnego wodza, co krew swoją szlachetną umiał zawsze ze sławą za swój kraj przelewać! Na słowo oficerskie generała zaklinam! powiedz mi co jest przyczyną tak srogiej niełaski, tego prześladowania, gdyż mnie książę Wołkoński, który pierwszy miał zlecenie oświadczyć mi gniew Najjaśniejszego Pana, w tem oświecić mnie nie raczył.

Na to Miłoradowicz: — I do mnie to nie należy, ale ponieważ z takiem zaufaniem do mnie się odzywasz, a ja zawsze pamiętam żem wami rządził, więc otwarcie ci powiem: Vous avez tenu des discours... l' Empereur n' ainse pas cela... et moi même je n'aime pas cela aussi!.. — i znów głowa do góry.

Dobrze mię objaśnił, pomyślałem w duchu, pytam go więc: Coż dalej robić?

— Słuchać; dziś wieczorem z miasta wyjedź, a przyjaciół uproś, aby ci rzeczy twoje odesłali do Carskiego Sioła, lub gdzie się zatrzymasz, gdyż tam możesz bawić póki ci się podoba, nikt za to nic nie powie.

Ukłoniłem się, a wychodząc dosłyszałem jeszcze jak domawiał: — Mon cher, j'eu suis bien faché!

Nie było co robić... tegoż dnia opuściłem stolicę, czekając w Gatczynie o dwie stacye przez dni kilka wysyłek, różnych obstalowań z Petersburga, oraz napróżno, zmiany jakowej po dopełnieniu tak ściśle woli monarszej. Puściłem się dalej na Białoruś, opóźniając z umysłu powrót mój, po tak niepomyślnej wyprawie.

W Witebsku, popsuł mi się w dobrą porę powóz, którego reperacya kilka dni zająć miała,

korzystałem z tej okoliczności, aby się z miejscowymi poznać mieszkańcami i tu się przekonałem, jak my dawny kraj własny mało znamy! Wystawiałem sobie, że Witebsk to czysta Moskwa, zwłaszcza po wydaleniu Jezuitów. Witebszczanie zaś wydziwić się nie mogli, że z arcy-moskiewskiego miasta Kijowa, obywatelskim urzędnikiem jest Polak.

Guberskim marszałkiem szlachty był wtedy p. Ciechanowiecki; do niego się udałem jako do kolegi, aby zechciał mnie z innemi domami poznajomić. Miłe mi zostało wrażenie gościnnej uprzejmości, a zwłaszcza polskości towarzystwa witebskiego; tam poznałem się z domem hr. Jana Platera — był to jeden z Podkanclerzyców, ożeniony z Rzewuską— i z familiami Chwalibogów, Bohomolców, Karnickich, zgoła czułem się w Polsce bardziej może jak w Kijowie, gdzie właściciele ziemscy nie licznie wtedy zamieszkiwali.

Ledwiem wrócił do naszej stolicy, wpada do mnie faktotum Kowalewa, przyjaźny mi sekretarz Żandr i zdziwionemu, że już o mojej przygodzie i wydarzeniach w stolicy wiedzą, opowiada następnie, „że skoro panu z Peters„burga wyjechać kazano, graf Arakczejew wy„słał do nas kuryera z zapytaniem, czy isto-

„tnie guberski marszałek miał podczas osta„tnich wyborów podbudzające mowy, i żeby „takowe w oryginale przysłać. Myśmy na to „odpowiedzieli, dodaje, że chociaż prawo za„brania gubernatorowi być obecnym w sali „wyborowej w czasie obrad obywatelskich, „myśmy o obowiązkach wyższej policyi nie „zapomnieli, a że ta nam doniosła, iż graf Oli„zar istotnie kilka razy przemawiał do obywa„teli w języku polskim, wtedy tolerowanym „jeszcze, w jednym z których dziękował im za „ponowiony ich wybór, z takiem dla niego zau„faniem; *) w drugiem zalecał, aby umieli cenić „łaskawie zachowany przywilej przez monarchę, „wolnych co do opinii wyborów, nie unosząc „się żadnym stronnictwem, zalecał składki na „kijowski katolicki kościół, będący razem po„mnikiem łaski cesarskiej, oraz różne miejsco„we administracyjne ulepszenia, ale że tych „przemówień oryginałów posłać nie możemy, „gdyż je Olizar nie pisał, lecz improwizował.“

Stąd konkluzya Zandra była, że trzeba tylko czasu, cierpliwości i milczenia a satysfakcya autentyczna z wyrządzonej krzywdy nadejdzie niezawodnie. Moja zaś wewnętrzna

*) Miałem albowiem na drugich wyborach o jedną negative mniej, to jest 6 na czterechset kilkadziesiąt głosujących.

konkluzya była, że mnie wprzódy ukarali i upokorzyli, nim się wywiedzieć chcieli czy było za co.

Milczałem wszakże... blisko rok, prosząc zawsze o przedłużenie urlopu pod pretekstem zdrowia, a w końcu bez urlopu wyjechałem do Krymu.

ROZDZIAŁ III.

Epizod podróży mojej, nabycie własności w Krymie i kilkuletniego tam przebywania, związany z ważniejszemi wypadkami prywatnego mojego życia i krajowych okoliczności, cofnąć mi się każe w tym opisie do pierwszych lat mojego w Kijowie pobytu, który zowię poetyczno-romansową moją epoką.

Po rozwiązaniu małżeńskiego węzła, szukałem i przyjąłem urząd tak zaszczytnie mi powierzony, chcąc w obywatelskiej posłudze szukać otuchy w domowych życia mego zawodach. Gdym do Kijowa przybył, mieszkał tam z familią swoją wyżej wspomniany Mikołaj Dunin Rajewski, generał broni w służbie rosyjskiej, komenderujący czwartym korpusem piechoty. Szlachetny ten człowiek był wnukiem Potemkina przez matkę, która była Samoiłówna, a rodziła się z siostry sławnego wodza, przez co też Rajewski był w bliskiem pokrewieństwie z hetmanową Branicką, siostrzenicą księcia Tauryckiego.

Wedle wszelkiego podobieństwa, była w nim krew polska, bo pieczętował się Łabędziem, ale ród ten od wojen jeszcze Zygmunta III. i Władysława, osiadłszy w Smoleńskiem, przemienił z wiarą narodowość, przeniósłszy całą siłę naszej miłości kraju, do nowej ojczyzny swojej; żona Rajewskiego, Zofia Alexiejówna, kobieta pełna rozumu i fantazyi, ujęła go sobie w młodym wieku, niezwyczajną pięknością, z ubogich albowiem i nieznaczących pochodziła rodziców, później dopiero, dzieci już w demokratycznym duchu, szczycili się, że dziadem ich był sławny swego czasu, klasyczny rosyjski poeta Łomonosof.

Rajewscy liczną mieli rodzinę, dwóch synów i cztery córki; synowie obaj młodzi ludzie w ową porę kiedy ich poznałem, idąc wzorem ojca, świetną wojskową zrobili karjerę w kraju swoim. O córkach mego zacnego przyjaciela więcej mi przychodzi mówić, jedna z nich albowiem niewypowiedziany wpływ na dalszy los życia mojego wywarła. Starsza Katarzyna niezaprzeczony miała powab uroczej uprzejmości, co ją nawet do rzędu pięknych kobiet zaliczać kazało; poszła też wkrótce za mąż za ulubionego przez nią Michała Orłowa, brata Alexego, co tak wielką rolę za cesarza

Mikołaja później odegrał. Druga Helena podobna do tego kwiatu kaktusa, cudowną przez lat kilka zajaśniała pięknością, ale niedocieczoną tknięta chorobą, mimo zabiegów najbieglejszych lekarzy, zwiędła raptownie i długo potem ciągnęła bolesny żywot w nieprzestannych cierpieniach. Trzecia Marja była w onę porę niepociągającym jeszcze wyrostkiem, płci bardzo smagławej, ostatnia Zosia dość ładnem i obiecującem dzieckiem.

W tej to rodzinie znajdywałem wszystko, co do godności położenia mego towarzyskiego potrzebnem, a do wewnętrznego pokarmu myślącego człowieka pożądanem być mogło. Zacność i szlachetność starego wojaka w ojcu (o nim albowiem w notach Napoleona znaleziono ręką bohatera skreślone zdanie: „du bois, dout ou fait les Marechamps), rozum, uprzejmość wygórowana i wykształcony układ w matce i córkach; dobra zażyłość w takim domu, dodawała, jakem powiedział, powagi wiekowi i urzędowi mojemu nakładając poniekąd obowiązek wdzięczności, kiedy więc drudzy starali się używać samej towarzyskiej przyjemności, jakiej im ten świetno-gościnny dom dostarczał w nudnym skądinąd mieście, ja ujęty smętnawą postawą kopciuszka tej ro-

dziny, nim się coraz bardziej zajmować zacząłem.

Nie zdawała się zrazu grozić żadnym niebezpieczeństwem ta niewinna przychylność, ale gdy z niekształtnego dziecka, urodziwa zaczęła wykształcać się dziewica, gdy owa smagława płeć tłómaczyć i uprawniać się zdawała kruczemi rzęsnemi sploty włosów, dużemi zatępionemi a pełnemi ognia oczami, w czarną brew i długie rzęsy oprawnemi, gdy chudość i kościstość męczonej naukami dziewczyny, zamieniła się przy wyniosłym wzroście, na giętką, powiewną i nadzwyczaj szczupłą kibić, Marja Rajewska stała się ozdobą zgromadzeń i balów, ukształconym rozumem i pięknym spiewu talentem, była przedmiotem powszechnego uwielbienia i zachwytu. Pokrzywdzonym poniekąd się wtedy czułem, iż będąc pierwszym w odgadnieniu tak podziwiającego przeistoczenia, nie wysłużyłem sobie u niej uczucia nawet wdzięczności. Nie wiek, bo byłem wtenczas w samym kwiecie życia, nie ubóstwo lub niewiadome pochodzenie, byłem albowiem jeszcze bogaty i zajmowałem posadę *Principis Nobilitatis* ale narodowość i religja stawiły opór do wszelkiej dla mnie serca jej skłonności. Szlachetna, wielka jej dusza, skoro

siłę swoją poczuła, odgadła razem przeznaczenie do wielkich ofiar i poświęceń ugruntowanych na miłości rodziny, kraju i błędnej ale szczerze ukochanej krajowej religii swojej.

Niczem nie ubliżając nieszczęśliwemu księciu Sergjuszowi Wołkońskiemu, któremu rękę oddała i bez udanej skromności wyznam, że wybór między nim a mną (zwłaszcza póki polityczne kraju wypadki nie zrobiły zeń godnej współczucia ofiary) byłby nie wątpliwie padł na mnie u kobiety szukającej tylko szczęścia w miłości, ale Marya z wyższego stanowiska powołanie niewiasty pojmowała. Ona wiedziała że w stosunku politycznym obu narodów, Rosjanka, która nią pozostać pragnęła, nie mogła sumiennie los swój z losem prawego Polaka połączyć, bo jedno z nich wyrzecby się musiało wszystkiego co zacność, szlachetność a zatem prawdziwe szczęście życia ludzkiego stanowi.

Tak ojciec przeczuwając odmowę, gdy oświadczenie moje nastąpi, martwił się w duchu, że dobrą dla córki partję utraci. Marya zaś, chcąc troskliwa, niespokojność o nią ojca usunąć, przyjęła pierwsze zaloty księcia Wołkońskiego, kiedy ja pasując się długo sam wewnętrznie z myślą, czy mi wolno pojąć mał-

żonkę innej wiary i wrogiego narodu, po otrzymanej w tym względzie patryotycznej niejako dyspensy prywatnej, od generała Kniaziewicza, Niemcewicza, Kropińskiego, a w końcu i ks. Adama Czartoryskiego, piszę list do Rajewskiego prosząc o pozwolenie starania się o serce i córki jego Maryi.

Na to otrzymałem odpowiedź tej treści:

„Si dans l'honneur de votre proposition, il pouvait m' arrivez quelque chose de bien ernellement passible, c'est d'avoir a répondre cher comte a votre lettre que je pressentais, n'ayant à vous donnez qu'une rèponse nègative.

Vous savez si je vous aime et si j'ai jamais manquè l'occasion de vout témoigner mon estime particuliere. Avoir, le droit de vous aimer comme un fils, aurait combli mes voeux, d'autant plus qu'ayant appris à vous connaitre dans vos malheurs domestiques, je ne doute pas un instant, que vous auriez sû rendre ma fille heureuse.

Mais, est ce fatalité, est ce l'arrêt d'une destinée plus haute et plus puissante, que notre faible entendement humain, la différence de nos religions, de notre manière de comprendre nos devoirs respectifs, vous le dirais

je enfin nos deux *nationalitès*, tout semble mettre une barrière insurmontable entre nous.

Vous dire après cela que nous espérons ne pas cesser de vous voir dans notre maison, comme le *meilleur de nos amis*, c'est vous prouver: cher comte que je crois votre âme plus forte que votre coeur, et que je veux vous faire juge vous même de la grandeur de ma perte et de la sincérité de mes regrets".

Nicolas Rajewsky.

Jak grotem zabójczym, przeszyty zostałem tym listem, ale przykuty węzłem przyjaźni do rodziny, z którą się wżyłem a z którą później osobiste nieszczęścia i śmierci niektórych jej członków, rozdzieliły na zawsze, przy zachowaniu wszakże najtkliwszych uczuć, została wieczna pamięć i wzajemna życzliwość.

Tu jednak wyznać muszę, że jeśli cokolwiek szlachetnego, wyższego, poetycznego może w duszy mojej się wyrobiło, winienem to miłości, którą mię natchnęła Marja z Rajewskich, księżna Wołkońska, dzisiaj sybirska wygnanka w Nerczyńsku, krepostna Siergiejowa, dzieląca srogi los męża. Ona była dla mnie ową Beatrice, której poświęcony był cały dantyzm, do jakiego duch mój poetyczny wznieść się zdołał. Przez nią, a raczej przez

miłość dla niej, ująłem sobie współczucie pierwszego rosyjskiego wieszcza, a przyjaźń naszego laureata, Adama. Sonet jego krymski pod tytułem A j u d a h mnie i mojemu miłosnemu wygnaniu był poświęcony. Nakoniec jej, mimo jej wiedzy, winienem szczęśliwe i obronne wyjście z politycznych sideł w jakie później wpadłem, acz niewinnie.

ROZDZIAŁ IV.

W ostatnich latach panowania cesarza Aleksandra zawiązały się były dwa tajne polityczno-patryotyczne związki, jeden w Rossyi, drugi w Polsce. Z początku długo nawet oba te związki nic o sobie nie wiedziały, innych celów sięgając i wcale innemi środkami. Lecz około 1822 r. kiedy konstytucyjność kongresowego królestwa polskiego niemiłosiernie szarpaną i plugawioną została przez Wielkiego księcia Konstantego naczelnego wodza a jakby na śmiech posła sejmowego z Pragi? oraz przez komisarza cesarskiego Nowosilcowa a gdy w Rosyi m i s t y c y z m i obojętność cesarza zdały wszystek rząd wewnętrzny na arbitralność oprawcy Arakczejewa z godnym jego siepaczem Kleinmichelem, naczelnikiem północnych nowogrodzkich wojskowych kolonii, oba związki patryotyczne zaczęły się już porozumiewać, za pośrednictwem niektórych cywilnych i wojskowych członków. Przy wielkiem jeszcze z obu stron niedowierzaniu, przyszła

im wszakże myśl wzajemnego wybadania, czyliby połączywszy cele, nie mogli wzajemnej użyć siły i pomocy do pewniejszego i śmielszego działania.

Spiskowi rosyjscy dzielili się na dwa komitety: jeden północny, w stolicy pod wodzą Rylejewa, Krasnokuckiego i księcia Trubeckiego; drugi zachodni w Tulczynie pod wodzą Pestela, księcia Sergjusza Wołkońskiego i Murawiewów apostołów.

W związku polskim był jeden tylko centralny rząd w Warszawie.

Kijowski zjazd zimowy, pod mianem kontraktów, sprowadzał corocznie do tego miasta obywateli tak z Królestwa jak z najodleglejszych prowincyj cesarstwa. Łatwiej więc było tam związkowym polskim porozumieć się z zachodnim rosyjskim komitetem, którego członkowie niektórzy w bliskości się znajdowali, a drudzy zawsze na kontrakty do Kijowa zjeżdżali.

Książę Antoni Jabłonowski i pułkownik Krzyżanowski, byli pierwsi delegowani do zejścia się z Pestelem, Murawiewem oraz Rumin-Bestuszowem, wielkim tegoż przyjacielem. Jakoż po wzajemnem udzieleniu sobie pełnomocnictw do traktowania, po odrzuceniu przez

delegatów polskich, moskiewskiej propozycyi zgładzenia Wielkiego księcia Konstantego, w chwili, kiedy oni zajmą się wymordowaniem całej rodziny carskiej, po ułożeniu przedwstępnych ogólnych zasad przyszłego rozgraniczenia i stosunków dwóch państw (do czego jednak komitet zachodni warował sobie ostateczne porozumienie z komitetem północnym), stanęło na tem: że delegaci polscy obowiązali się wrazie dopełnienia rewolucyi moskiewskiej, zatrzymać wielkiego księcia w Warszawie, odejmując mu wszelkie środki do odgrywania roli pretendenta.

Działo się to w kontrakty 1823 r. Ja na szczęście moje wcale nic o tem nie wiedziałem, ponieważ namiętne w ową porę uczucia moje dla Rosjanki, wstrzymywały delegatów związkowych do zwierzenia mi tajemnicy, luboć dom mój jako urzędnika często nawiedzali.

Może brak sympatyi Jabłonowskiego do mnie, nakazywał mu tę roztropność, ale gdy jednak należało w razie rozpoczęcia czynności, mieć w obwodzie naczelnika szlachty, któryby miał u współziomków kredyt, zdecydowano powierzyć wszystko najzacniejszemu obywatelowi a koledze mojemu w urzędowaniu p. Atanazemu Grodeckiemu, deputatowi sądu

głównego kijowskiego z warunkiem, ażeby on wtedy mi wszystko odkrył i zwierzchne wręczył naczelnictwo, gdyby się przekonał, że miłość którąm pałał nie zagłuszyła uczuć patryotycznych i że tem zwierzeniem w porę właściwą, bezpieczeństwo związkowych nie będzie zagrożone.

Znajomi też moi rosyjscy spiskowi nie mieli ochoty zwierzenia się na mnie z tego samego powodu, albowiem dom Rajewskich acz patryotyczny, nigdyby jednak podzielać nie mógł tych dążności; drudzy, bo mnie nie znali, albo jak Pestel i Wołkoński, bo w drogę afektu mojego wchodzili. Najznakomitszy z nich wszystkich, co do uczuć i umysłu, Sergjusz Murawiew-Apostoł tak mnie serdecznie kochał, że się więcej obolałym stanem serca mojego troszczył, niż przyszłą polityczną karyerą moją zajmował. Przewidywał prawie dla mnie stan rozpaczy, aby w tym razie dopiero dzielnym środkiem usługi dla kraju, uleczyć chorobę duszy! Tak więc z rozporządzenia Opatrzności, której miłosierdzie prawie nigdy w czasie zrozumieć nie umiemy, od zgubnej już wtedy konfidencyi oswobodzony zostałem przez lekceważenie mojego rozmarzonego trucizną miłości serca!

Jeden tylko Grodecki, widząc mnie w rozpaczliwem uposobieniu, wybierającego się na lat kilka w podróż na Wschód przez Krym, Kaukaz, Persyą aż do Indyj, przyszedł do mnie w przeddzień wyjazdu mojego z Kijowa i głosem rzewnej przyjaźni, rzekł do mnie: „Jedź, ja cię sam radbym jaknajprędzej widzieć wydalonego, ale nie tak daleko, jak sobie zamierzasz i nie na tak długo!“ „Dla czego? pytam, jeżeli oddalenie i czas mają mnie wyleczyć, to w dzisiejszym stanie duszy mojej, wielkiej potrzebuję dozy obu tych środków!“

On na to: „Oddaleniem pokrzep się do pracy, która cię tu w kraju jedynie wyleczyć może.“ Tu mi odkrywa zamiar związkowych naszych, połączenie się ich ze spiskowymi moskiewskiemi, zlecenia, jakie mu wrazie potrzeby względem mojej dali osoby. Jakże szlachetna i ludzka była ta czynność Grodeckiego! Nikt mię w życiu skuteczniej nie pokrzepił i nie wzmocnił! Ścisnąłem jego rękę, ale przewidywać nie mogłem, że to ostatnie pożegnanie z człowiekiem, którego więzienie, cierpienie i śmierć do tej liczby ofiar zapisały, których stratą kraju nazwać potrzeba! Co za nieugięty charakter przy prostocie i słodyczy w obcowaniu! co za wytrwałość w pracy, su-

mienność w wykonywaniu obowiązku, przy słabem zdrowiu, które wszakże naturalnej niecierpliwości nigdy nie wywołało. A gdy nas w parę lat później, wilgotne mury podziemnych sklepień twierdzy petersburskiej w jednym więzieniu zbliżyły, spojrzeć na tego przyjaciela, uściskać go jeszcze przed wiecznym rozdziałem na ziemi, surowe losy już mi nie dozwoliły! Niechaj tych słów kilka świadczą przynajmniej, jaki hołd czci i poszanowania należy nie tylko odemnie i tylu żyjących jeszcze towarzyszów mąk naszych, ale od każdego z rodaków, pamięci tej pięknej duszy, pamięci w Bogu spoczywającego Atanazego Grodeckiego! i póki iskra miłości kraju w sercach polskich tleje, należeć mu się od najodleglejszych pokoleń naszej Ukrainy będzie!!

Uwiadomiony przez mego przyjaciela Sergjusza Murawiewa o nastąpić mającym ślubie Maryi Rajewskiej z księciem Wołkońskim, nie doczekawszy się powetowania krzywdy w Petersburgu mi wyrządzonej, ani uwolnienia od służby, do którego się podałem, puściłem się w r. 1823 do Krymu.

Jechałem na Odessę, a że mi jeszcze z pobytów w Białocerkwi u hr. Branickiej, dobrze był znany zięć jej, tameczny generał guberna-

tor, hrabia wtedy a dzisiejszy książę Michał Worońcoff, zatrzymałem się w tem mieście, aby wraz z hrabią i jego żoną popłynąć do Krymu admiralskim jachtem (kapitan Rumiancow).

Pierwsza to była dłuższa żegluga, którą odbyłem; bylibyśmy albowiem siedm dni na morzu, wielce kołatani przeciwnemi i burzliwemi wiatry. Dnia ósmego, gdyśmy już tylko byli o wiorstę od południowego brzegu Krymu, w okolicach Laspi, zachwyciła nas cisza, z której kapitan kazał co najprędzej korzystać, aby passażerów przynajmniej dwoma okrętowemi łodziami na brzeg wysadzić, zostawiając wszystkie bagaże i służbę na okręcie; ten zaś za pierwszym podmuchem wietrzyka, jak najspieszniej od skalistych brzegów oddalić się musiał, gdyż spodziewana a niezawodna po ciszy burza, niechybnie by go rozbiła! Nastąpiło więc wylądowanie w godzin parę a my już na brzegu patrzaliśmy na śmiały manewr Rumiancowa, walczącego z piętrzącego się falami, które go jednak nie do brzegu, ale na pełne unosiły morze.

Kiedy wspomnieniem w tę porę się cofam, dziwnie mi zbliżać w myśli obecne wypadki, kiedy dziś (w r. 1855) sprzymierzone

siły angielsko-francusko-tureckie, przy wszelkich wysiłkach sztuki i męstwa flot swoich, od kilku miesięcy kuszą się napróżno o zdobycie twierdzy Sebastopola! Ile krwi wylanej! ile rzetelnej i kłamliwej sławy ze stron obu! ileż nieprawdy w ogłaszaniu celów i zamiarów! Smutek ogarnia na myśl, że się ludzkość wcale nie poprawia a co większa pokusa, zdawałoby się czasem, że musi nastąpić jeszcze nowe boskie odkupienie dla zgładzenia tylu narodowych niesprawiedliwości!...

Ale gdy się wspomni, że Bóg przyjdzie, okaże się jeszcze, ale na sąd ostateczny, nie na powtórą ofiarę odkupu, wtedy pocieszać się wypada tem, że w pośród tylu ofiar, zwłaszcza w prostem żołdactwie, wielka musi być liczba dusz szczerej wiary i poświęcenia! i że w tych powszechnych klęskach ludzkości, wyrabia się w miłosierdziu Bożem wielka ilość usprawiedliwionych na sąd przyszły!

Ale wracam do wylądowania naszego w Laspi, majętności generała rosyjskiego korpusu dróg i mostów, francuza Potier, jednego z sześciu oficerów szkoły politechnicznej paryskiej, których Napoleon przesłał był cesarzowi Aleksandrowi, dla zaprowadzenia podobnego instytutu w Rosyi.

Było nas, hrabstwa Worońcowych, gości i urzędników, osób trzydzieści; hrabina z towarzyszką podróży panną Blaremberg i panną służącą, wziąwszy co mogły z pak i kufrów damskich, odbyła wjazd na wielce stromą górę na bidzie dwu kolesnej, ze skrzypiącemi niesmarowanemi osiami, orbą w języku tatarskim zwanej, a dwoma wołami ciągnionej, a my wszyscy, hrabia na czele, piechotą, każdy swój mantelzaczek dźwigając.

Dwa liche włościanskie domki były punktem oparcia się naszego, trzeba było al bowiem przeczekać 24 godzin, aby wysłany z tego miejsca tatar, dał znać najbliższej władzy, gdzie jenerał gubernator kraju tego wylądował, ażeby przysłano ze czterdzieści koni z siodłami dla nas i pod nasz ładunek. W tych domkach jednak mieszkała także francuska familja pana Compères, dzierżawcy jenerała Potier. Gościnność tych państwa, dla tak natłoczonego, acz bardzo zaszczytnego towarzystwa była nie do wypowiedzenia, przenieśli się natychmiast do jakiegoś spichrza, zostawując nas w posiadaniu domków swoich. Na wieczerzę podano nam kartoflową na mleku kaszę; hrabina, przy której siedziałem, mówi do mnie z cicha po polsku: „Ta pani musi mieć pol-

ską kucharkę"; jakie było nasze zdziwienie a razem przyjemność, gdy pani Compères, najczystszą polską mową odpowie hrabinie: „Ja sama Pani, polką jestem".

Trzeba, jak to mówią, dużo soli spożyć dla poznania człowieka, a nam trochę kaszy dało poznać rodaczkę.

Spędzono nazajutrz potrzebną ilość wiejskiej stadniny dla pieszej kawaleryi naszej, i kto jak mógł dochwyciwszy kulbaki, puściliśmy się za przewodnikiem w dalszą drogę górami, po nad morzem, przez Jałtę do Urzufu, posiadłości hrabiego Worońcowa, gdzie był wtedy jedyny na całym południowym brzegu krymskim, mieszkalny dom po księciu Richelieu, który hrabia z całą majętnością nabył u adjutanta swego przedmiestnika, Polaka Stempkowskiego, któremu Richelieu opuszczając Odessę i wracajac na ministra do Francyi, tę własność darował.

Wiele szczegółów tej podróży nie zachowałem już w pamięci, prócz tego, żeśmy w bardzo licznem i miłem byli towarzystwie. Wtedy to bliżej poznałem się z Aleksandrem Potockim, pierworodnym Szczęsnowiczem z Greczynki, panem Humania, z którym po rewolucyi 1830 roku, poświęceniu się jego, stratach

i emigracyi, najściślejsze i najprzyjaźniejsze zachowałem stosunki. Przez czas pobytu naszego w Urzufie przyjąłem do mojej stancyi i ugaszczałem na sianku, bo innego łóżka nie było, sekretarza Worońcowa, do ekspedycyi zagranicznych, kurlandczyka barona von Brunow, który w kilka lat potem taką zrobił karyerę; był jednym z najczynniejszych dyplomatów w konferencyach londyńskich; przy utworzeniu królestwa belgijskiego, a potem został stałym moskiewskim ambasadorem w Londynie. Wiele później wysokich figur moskiewskich, jako hr. Fryderyk Pahlen, syn sławnego jenerał gubernatora za cesarza Pawła i młody Sienawin, później towarzysz ministra spraw wewnętrznych, byli uczestnikami tej podróży i zachowali mi zawsze uprzejme względy.

Admirał Greigh, *) naczelnik ówczesny czarnomorskiej floty rosyjskiej, był w wielkiej przyjaźni z Worońcowem, a odbywając coroczne manewra eskadry w zatoce Krymskiej, rad był bardzo tego roku przed tym dostojnym mężem odbywać onej popisy. Stąd byliśmy nie raz zaproszeni na te morskie harce, które dla oka nadzwyczaj były powabne, bo marynarka rosyjska, równie jak wojsko lądowe,

*) Greigh, Anglik w służbie rosyjskiej.

bardzo wykwintnie w mustrze wyćwiczoną była. Większych i mniejszych okrętów liniowych szesnaście, składające eskadrę, pełnemi żaglami w różnych kierunkach pływając, swobodnie za danym sygnałem, w jeden rząd tak się szykowały, że my z pokładu admiralskiego okrętu, jeden tylko okręt i jeden maszt widzieli. Dziwnie mi jest spisywać dziś 1855 r. w Dreźnie te wspomnienia, kiedy walka Zachodu z Północą tych samych okrętów i u tych samych brzegów tak zażarcie się toczy.

O całym pobycie moim w Krymie, nabyciu tam przypadkowo własności u przylądka i góry Ajudah, o zajęciach plantatora, pustelnictwie, boleściach i rozrywkach, powiedzieć muszę, że to był ostatni czynny szał romantyzmu młodości mojej. Lepiejby może było dla hartu charakteru mojego, ażebym się był trzymał pierwszego planu i podróż na Wschód odbył, ale jadąc raz konno do znajomego mi Borozdyna, mieszkającego w Kuczuk Łambat i żyjącego tam w tureckich obyczajach, ujrzałem w grudniu, kilka krzaków bujnego głogu powtórnie kwitnącego w miejscu Artek zwanym, spytałem mimowolnie towarzyszącego mi Tatara, do kogoby ten dziki kawałek ziemi u brzegu morza, mógł należeć i czy był do

nabycia? Odrzekł mi że się nazajutrz należycie o tem dowie. Jakoż dnia następnego, tłómacz mój Ali, z miną zadowoloną donosi, że upatrzony przezemnie nie użytek, były to albowiem dzikie skały, dzikiemi drzewy i zaroślami cudownie upiększone około morga przestrzeni, nabył dla mnie na dziedzictwo u właściciela Tatara ze wsi Partenis za... dwa ruble srebrem! Zrazu oburzyłem się, zdziwiony, nie dawszy mu wcale zlecenia do tego kupna. Ale później, nie mogłem się oprzeć pokusie nabycia gruntowej własności za tak lichą cenę, za którą nabył bym ją i na księżycu, mimo niepewności oglądania jej kiedy.

Tak zostałem właścicielem w dawnej Taurydzie i coraz więcej rozprzestrzeniając się, a bardzo potem drogo nabywając przyległe grunta, gdzie lepsza gleba pozwalała drobnym mieszkańcom kilka korcy pszenicy wysiewać, zostałem panem około 200 dziesięcin ziemi, Gdym później założył budynki dla osiedlać się mającej kolonji, założył winnice, plantacyę drzew oliwnych i otoczył posiadłość suchym cyklopowym murem, doszedł mój nakład do 80 tysięcy rubli.

Wszystko to było tworzone w nadziei, że kiedyś nieczuła Marja, dla której wieszcz

rosyjski Puszkin napisał swój prześliczny poemacik pod tytułem: Fontanna w Bakczysaraj, zwiedzając kiedyś miejsce, które lubiła, spojrzy okiem litości, może późnego żalu, na odludka, pustelnika Ajudahu.

Nazwałem też moją posiadłość, starożytnem niby mianem greckiem: Kardjatrikon, od dwóch wyrazów kardia serce i jatrikor, lekarstwo, a rad byłem, aby zapomniano o tatarskim mianie tego uroczyska Artek, co znaczyło prozaicznie przepiórka, chociaż to miano oparte było na zjawisku historyi przyrodzonej, objawiającem się tu co roku; w późnej jesieni ogromne stada przepiórek, oblanych żyźną strawą niw ukraińskich, przebierając się na zimę do Anatolii dla wychudzenia i lżejszego przez morze polotu, zbierały się na ten wysunięty cypel stałego lądu i przez parę tygodni, jakby winogradowej używały kuracyi; tak wielka w tę porę gromadziła się ilość tych ptasząt, że Tatarzy ciskając urządzonemi do tego kijami, w locie je zabijali.

Przez lat parę pobytu mojego w tej pustyni, gdzie oprócz sąsiada mego Borozdina, chwilowego czasem przybycia hrabstwa Worońcowów, i rzadkiego towarzystwa które w guberskiem mieście Simpheropolu znaleść mogłem,

ilekroć za prowizyami do życia konno tam dojeżdżałem, nikogo przez dnie i tygodnie nie widywałem. Wiele to wpłynęło na uspokojenie serca; żyłem w sobie i bolesnych wspomnieniach, które rozwinęły uposobienie poetyczne, któremu się oddawałem. Wtedy napisałem wspomnienia, których część drukiem ogłoszona była płodem mojego pustelnictwa. Czy w opinii czytelników uznany byłem za poetę, o tem wątpię, ale że nim byłem w sposobie ówczesnego mojego życia, to niewątpliwe. Mickiewicz bowiem tak mię powitał w sonecie swoim: Ajudah.

„Tak i ty również, o poeto młody! etc.

Gdy Marja R... już wyszła za Wołkońskiego, druga serya wynurzeń moich zaczynała się od wspomnienia: Rozpacz!

„Twoje, o Dante! słowa nieśmiertelne
Któremiś bramy usrożył piekielne,
I w mem sercu wyryte – Już i moje życie
Nieczułej, na igraszkę rzucone kobiecie
Na drugą wiecznej bramy przewlokło się stronę!
Już mi przez ciemną, nie przejrzeć zasłonę!...

Nie mnie już ślubną, ty świecisz pochodnią...
Już zemsta prawem, już nadzieja zbrodnią.

. . . .

Kto umiał kochać, choć nie był kochany,
Praw nienawiści tylko!... innych nie uznawa

Lecz ja tej żądać chcę prawa nagrody
Za wzięcie szczęścia, za wzięcie swobody,
Byś czasem pomyślała, że ja drożej cenię
Nad miłość wszystkich... Twe nienawidzenie!

Litość nieba tajemna tych ratuje skrycie,
Których świat liczy nieszczęścia lub kary;
Lecz te gdy dojdą naznaczonej miary,
Wolno już jest za cudze, swe zamienić życie!
Tak matka żyje szczęściem córki swojej;
Tak ojciec, w syna jeszcze walczy zbroi;
Tak kochanek prawdziwy, kochanek wzgardzony,
Żyć jeszcze może... szczęściem ulubionej!...

Ta choroba serca, nie samym wpływem rozsądku, ale uczuciem religijnem obowiązku może się dać pokonać. Czas więc wyjść z tego labiryntu romansowego, w którym się upojone serce tak długo bez celu błąkało. Gdybyż to przynajmniej mogło być przestrogą, ale niestety! nie będzie!

ROZDZIAŁ V.

Nim się do politycznych wrócę wypadków, któremi się rozdział tamten zaczął, opowiem kilka żartobliwych wydarzeń z pobytu mego w Taurydzie.

Miałem przy sobie dwóch gorliwych ale bardzo głupich ludzi w usłudze. Jeden był to mój kamerdyner przyboczny, Polak, szlachcic, wielce niezgrabny i zarozumiały, który miał się za uczonego, bo był chłopcem pokojowym przy synie Czackiego, Józefie, a że zarazem usługiwał guwernerowi tegoż, emigrantowi francuskiemi, Abbé Trombert, wyuczył się stąd kilka wyrazów francuskich i niemieckich; a że do swojego rodzimego języka mógł dodać ruski włościan naszych i moskiewski rządowy, acz w szczupłych proporcyach, miał się na dobre, za jakiegoś Mezzofantego; dodać potrzeba, że jak Demostenes zająkiwał się. Wiele mi szkody narobił w ciągu służby swojej mój Łapanowski, ale mnie bawił nieraz opowiadaniami; mówił naprzykład w dobrej

wierze, jak go czasem starosta Czacki do uczonych w Warszawie posyłał z ustnem wyłuszczeniem interesu, kiedy pisać nie chciał, albo jak będąc jeszcze studentem w szkołach tylko co Suwarowa nie zabił! etc.; tłómaczył także sny z przekonaniem głębokiem, że klucz tych tajemnic przyrody rzeczywiście posiadał a gdy nie miałem komu czytać polskich rymów moich, na pustyni wśród Tatarów, bawiło mnie pytać go czasem, czy zachowuję krój narodowego stylu w moich poezyach. „Ty, co posiadasz języki a nie pomięszałeś ich jednak zbyt częstem używaniem zagranicznych, powiedz mi mój Łapanowski, czy słyszałeś kiedy polskie wyrażenie łzy gorące, odpowiadające francuskiej lokucyi: chaudes larmes...“

On na to po namyśleniu się, poważnie rzecze:

„Nie, tego nie słyszałem, ale pięknie się mówi i pan to śmiało w wierszach swoich użyć możesz: Łzy jak groch.“

Mówiąc o tłómaczeniu snów, przypominam sobie także okoliczność, w której Łapanowski odegrał rolę, choć się w lat kilka później działo. W roku 1827 pojechałem był do wód kaukazkich, w towarzystwie starego generała

Rajewskiego i familii mu jeszcze zostającej. W Narzan, u słynnego źródła wód gazowokwaśnych, w rodzaju pyrmontskich, ale nierównie silniejszych, mieszkałem razem z nimi, w jednym z tych dowożonych na lato, o kilku pokojach, drewnianych domków, które generałowa Merlini przez spekulacyę pacyentom dostarczała. Przybyło także kilka chorych z Petersburga, a między innemi generał Skoblew, z prostego kantonisty czyli żołnierskiego syna, do najwyższych stopni policyjno-wojskowych wzniesiony. Był on niegdyś adjutantem Rajewskiego i nie bardzo poczciwie się z nim rozstał. Rozmawialiśmy nie raz o nim z Rajewskim, który miał podejrzenie, że Skoblew, jako policyant z rzemiosła, przybył na Kaukaz nie dla zdrowia, ale w celu szpiegowania jego czynności. Czy Łapanowski podsłyszał kiedy taką rozmowę, czy innym jakim trafem, gdy raz na obiedzie Skoblew sen swój opowiadał, że tykał ogromne kawały lodu, ja się odezwałem, że mam z sobą kamerdynera, mającego szczególny dar tłómaczenia snów. Skoblew i drudzy biesiadnicy proszą o przywołanie go zaraz, co się też i stało. Po wysłuchaniu opowiadania Skoblewa, Łapanowski przybierając minę Józefa, bez zająknienia się, powiada w głos: „Ten sen znaczy, że pan

generał spotkasz czy spotkałeś jakiegoś dawnego dobroczyńcę, którego myślisz zdradzić!“ Wszyscy osłupieli, ja zwłaszcza, który stosunek ten znałem i wieszcza naraiłem. Ale większe jeszcze było nasze podziwienie, gdy Skoblew uderzając w stół pięścią, wykrzyknął zadowolony: „Ach, kanalia odgadał!“ co znaczyło że zgadł! Spojrzeliśmy ukradkiem na siebie a Łapanowski wyszedł z tryumfem.

Drugi mój oficyalista francuz Bailly, dawny żołnierz, więzień w Rosyi z armii Napoleona 1812 r., z rzemiosła kowal, ale rzutki i sprężysty, był dozorcą wszystkich robót w powiększającej się coraz kolonii i on to odegrał rolę w następującem wydarzeniu. W jesieni w roku śmierci cesarza Aleksandra, zwiedzał ten pan po raz ostatni ten prawdziwy e d e n cesarstwa swojego, brzeg południowy Krymu. Wszystko kazało wnioskować, że cesarz znużony długiem panowaniem, przerażony wiadomościami, jakie już go dochodziły o coraz silniejszem srożeniu się ducha rewolucyjnego w wojsku i kraju, myślał szczerze o abdykacyi i opatrywał jakoby miejsce, gdzieby mu przyjemnie i spokojnie było zamieszkać, wrazie jak sam to wyraził przy zwiedzaniu botanicznego ogrodu w N i k i t a: „Quand je prendrai ma dimission, c'est ici, parmi vous, messieurs, que je viendrai vivre, en bon c o l o n et voisin.“

Wszystko więc, co o jego gwałtownej śmierci w Taganrogu mówiono, jest istotnie b a j k ą, na tem jedynie opartą prawdopodobieństwie, że w rządach absolutnych mord lub trucizna ułatwia zwykle tak zwane pałacowe rewolucye. Aleksander umarł z gorączki tyfoidalnej, bardzo zapalnego charakteru, w tym roku panującej a to w skutek przeziębienia, wyjechawszy po obiedzie konno, mimo przestrogi towarzyszącego mu miejscowego generała Tatara, księcia Kaja Bej, w lekkim mundurze, z rozpalonego wąwozu w Bakczyseraj, na bardzo chłodną górę, dla zwiedzenia Karaitskiego miasta Kale.

Nim jednak po śmierć tam pojechał, zapowiedział hr. Woroncowi swój przyjazd do niego i nocleg w Ursufie. Wypadało mu tedy wieczorem przejeżdżać wzdłuż ogrodowego muru mojego. Hrabia daje mi znać o tem i prosi, ażebym kazał mur lampami oświecić i na czele kolonii złożonej z robotników moich, Niemców i Tatarów u bramy wjazdowej, wyszedł z chlebem i solą naprzeciw Najjaśniejszego Pana... Wytłómaczyłem hrabiemu po-

wody mego osobistego **usunięcia** się, myśląc, że zagniewany dotąd władca, nie miłego dozna wrażenia, w ujrzeniu nie grata persona.

Rządcy zaś memu, sierżantowi francuskiemu de la grande armée, dałem zlecenie, ażeby, skoro na wysokościach gór ujrzy cesarza z orszakiem swoim konno jadącego, natychmiast lampy na murze i na dwóch chróścianych ale tynkowanych obeliskach przy bramie wjazdowej, kazał pozapalać. „Sufficit, odpowiedział Bailly, qui ne connaissait que sa consigne.“ Ja zaś incognito wyjechałem, faire le badeau, a po naszemu, gawronić się do Sympheropola.

Cóż się dzieje? cesarz zmienia marszrutę, i miasto na nocleg, przyjeżdża na obiad do Worońcowa około 4-tej z południa w dzień najjaśniejszy!... Bailly dosłownie wypełnia rozkazy, zapala wszystkie lampy jakby na wyścig ze słońcem o 3-ciej z południa. Niespodziana taka ogniowo-dymna w biały dzień illuminacya, zadziwiła i wielce rozśmieszyła panującego. Zatrzymał się przy mojej bramie, pytał czyja to posiadłość, a gdy moje usłyszał imię, zapytał jeszcze, czy jestem u siebie i pojechał dalej. W Urzufie pierwsze słowa jakie wyrzekł do Worońcowa, który mu powody mojego wydalenia przedstawiał, były:

„Personne, ne m'a fêté dans votre pays, comme Olizar! dites lui donc que tout est oublié entre nous et que l'année prochaine, je viendrai le trouver dans sa compagne au milieu de ses ouvriers.“ *)

Koronowany śmiertelnik nie wiedział, że gdy mi tę łaskawą czynił obietnicę, miał tylko parę tygodni życia przed sobą i że przypadkowa iluminacya Baillego, była niestety smutną przepowiednią katafalkowego przepychu!

Nie mogę pominąć w tej relacyi niektórych cech odrębnych, któremi Krym się odznaczał, mianowicie już za rządów Worońcowa.

Po odebraniu Turkom kraju tego a wypędzeniu z półwyspu ostatniego tatarskiego chana Gereja (za Potemkina), pozostali ubożsi mieszkańcy, bo większa część prawie zamożniejszej ludności emigrowała, zostawali pastwą zdobywców; wiele przeto własności — przeszło prawem kaduka w posiadanie towarzyszów zwycięzcy. — Tak admirał Mordwinoff, ów sławny później w Radzie państwa liberalny mowca, ogromne Tatarom w dolinie **Bajdar**

---

*) List Worońcowa, który się od tych słów zaczynał: „Sa Majesté etant frappée par la brillante reception que vous lui avez preparée, m'a ordonné etc.“ został mi zabrany wraz z innemi papierami podczas uwięzienia mego w Petersburgu i już nie zwrócony.

zagrabił majątki i przez ciąg długiego życia swojego, procesował się z niemi z większą lub mniejszą korzyścią w miarę tego, w jakim było jego położenie w stosunku ze dworem.

Druga uciążliwość dla biednych pozostałych Tatarów, było urządzenie batalionu morskiej nadbrzeżnej straży, z samych Greków złożonej a kompletującej się z owych Greków wychodźców z Turcyi, których to jeszcze Orłoff Tschesmenski zbuntował. Główni ci nieprzyjaciele Muzułmanów, nienawistni mieszkańcom, wielu bardzo nadużyć miejscowych się dopuszczali. Kolonizacya wojskowa Arnautskiego greckiego batalionu, zrobiona była kosztem dawnych posiadaczy częścią zbiegłych, częścią zgnębionych. Z ich usunięciem, brzeg południowy półwyspu, klimatem i położeniem swoim wabiący, zaczął osiedlać się nowemi mieszkańcami; a za rządów księcia de Richelieu okazywać się już zaczęła większa protekcya temu krajowi dawana. Ale za hr. Worońcowa, który sam miliony łożył w nabycie i upiększenie tej powabnej okolicy, rozwinął się już popęd mężniejszej rosyjskiej arystokracyi do zakładania winnic i wznoszenia d a c z y (villa), któremi kilka piękniejszych miejscowości między Jałtą a Ałusztą, ozdobione były.

Najpierwszemi jednak osadnikami byli miejscowi urzędnicy, gubernatory, wicegubernatory i inni, tak Borozdin, Perowsky, Broniewsky, sam Richelieu, posiadali w Krymie majątki, kiedy mało kto wiedział w Rosyi, że mają gubernję, która klimatem pewnego zakątka ziemi, ze średniemi Włochami w zawód iść mogła.

W roku, w którym do Krymu przybyłem żyła tam jeszcze sławna pani de Krüdener, prorokini, kaznodziejka mistyczna, usiłująca jak mówiono cesarza Aleksandra w sidła swojego idealizmu uwikłać. Ale gdy się jej to nie powiodło, z dobranem gronem dziwaków, płci obojga, umyśliła osiąść w Krymie. Na czele tej zgrai, znajdowała się księżna Anna Galicyn, z domu Wsewołodska i przyjaciółka jej, córka pani de Krüdener, Baronowa Bergheim, z mężem swoim, przybrawszy jeszcze starego profesora emeryta, Niemca Zimmermana (z harbejtlem a raczej zopfem) do zbierania po t u r m i a c h czyli więzieniach, rozmaitych podrzutków. Cała ta drużyna z Petersburga, Wołgą, Donem i Azowskim morzem, na łodziach dostała się do Krymu. Pani Krüdener osiadła zrazu w Karassubazar, lichej tatarskiej mieścinie, gdzie też i umarła, niefortunnie zajęta, jak

mówiono, nawracaniem Tatarów, kazaniami, których nikt nie rozumiał. Ja już tylko poznałem księżną i państwa Bergheim, osiadłych w Kuroïs na południowym brzegu, oraz dziwaka Zimmermana, zastanawiającego się poważnie ze szczerotą uczonego, nad dzikością przyrody dzieci tatarskich uciekających na jego widok, zapominając całkowicie o swoim harzopfie i trójkątnym ogromnym kapeluszu.

W domu księżnej była jakaś cecha tajemniczego dziwactwa we wszystkiem; sama naprzód zawsze odziana była po męsku; pobyt Zimmermana był zagadkowy, błąkały się tam jakieś sieroty... a przed niedawnymi czasy, bawiła przy niej i tam umarła, stara nieznana jakaś francuzka, cała w skórę zaszyta, która jakoby miała być ową sławną panią Lamotte (de l'afaire du collier) co po jej śmierci, przy zdjęciu skórzanej powłoki, po piętnach na ramionach poznano, o ile to prawdą było nie wiem. To z pewnością wiemy, że gdy jakąbądź religją, chociażby pod świętem godłem krzyża, rozum lub poetyczna fantazya a nie prosty katechizm utworzyć usiłuje, tam zawsze ukrywa się jakaś zdrożność tajemna, która gorliwiej diabłu, niźli Panu Bogu służy.

W Sympheropolu guberskiem mieście o 50 wiorst odemnie, było towarzystwo przyjemnie złożone z kilku familij cudzoziemców, z domu miejscowego gubernatora, na ten czas Naryszkina. Niewiem czy należał do owych Naryszkinów co z Romanowemi spokrewnieni, ale był kiedyś adjutantem przy Worońcowie i stąd tę posadę dostał, lecz co go bardziej od tej godności w oczach wszystkich podnosiło, to żona jego Natalja, z domu Rostopczyn, córka słynnego generał gubernatora Moskwy w 1812 roku, osoba wielkiego rozumu, serca i choć nie widnej piękności, wielce powabnej powierzchowności. Wiele chwil błogich, miłej rozmowie tej damy zawdzięczałem, długi czas zachowałem z nią stosunek listowny, a później gdy wiele przeszła nieszczęść i owdowiawszy zamieszkała w Petersburgu dla karjery swoich synów, zeszliśmy się w lat kilkadziesiąt, przyjaźń zachowała całą świeżość młodości.

W jej domu poznałem się w Krymie, z wielkim później przyjacielem moim, szanownym staruszkiem, Francuzem panem de Serres, uczonym chemikiem, współpracownikiem sławnych Lavoisier et Fourevoir, który dziwną koleją losu zawiedziony z familją do Krymu w projektach spekulacyjnych, obałamucony

obietnicami Borozdina, który go z Paryża wywiózł, doznawszy wiele zawodów, osiadł tam na własnym kawałku ziemi i umarł w późnym wieku w nie bardzo roskosznym bycie.

Moskale jak my bezrządni i nie wyrachowani dołączają jeszcze często do swoich czynności, rodzimą mongolską nieuczciwość, nie mówię o wyjątkach, których wszędzie jest wiele, a w Rosji więcej może jak u innych. Sprowadzić cudzoziemca, wzruszyć go ze swojej posady we własnym kraju, świetne robić obietnice, bez nadziei nawet ich spełnienia, to Moskala nie wstrzyma, skoro wyobraźnia jego i ufność w urzędowe znaczenie do tego zapali, a gdy później ostygnie i sprzykrzy mu się grubo kosztująca satysfakcya miłości własnej, zrywa wszystko nie troszcząc się o losy zawiedzionego cudzoziemca.

Z miejscowych owoczesnych wspomnień, zanotuję jedno, które było potem w związku z przygodą, która mnie nie długo czekała. Podczas ostatniego pobytu w Krymie cesarza Aleksandra, przybył do Sympheropola dla klimatu i ratunku zdrowia, pułkownik Godein, adjutant W. księcia Mikołaja, spotykałem go nieraz u Naryszkina.

Po przyjściu niespodzianej wiadomości o zgonie cesarza w Taganrogu, prosił mnie gubernator, ażebym dni kilka z miasta nie wyjeżdżał, ponieważ co chwila oczekiwał rozporządzeń hrabiego Worońcowa względem przyprowadzenia do przysięgi dla następcy tronu, oraz wiadomości kto tym będzie następcą, bo zrzeczenie się W. księcia Konstantego i układ familijny było dotąd rzeczą prywatną, przez niektórych tylko wyższych dygnitarzy znaną.

Na drugi dzień po smutnej wiadomości, będąc przy obiedzie u Naryszkina, na którym był i Godein, aby coś powiedzieć stosownego do ogólnego usposobienia wszystkich, odezwałem się na moją biedę: „Hier cette nouvelle n'etait qu'affligeante, aujourd' hui elle devient êncore allarmante“. Znaleziono tę uwagę dość słuszną, ale niestety, Godein był z tych ludzi, co drobiazgowy dziennik czynności swoich spisują, nie omieszkał zanotować też obiad u Naryszkina, a na dessert dodał: „mot remarquable du C-te Olizar“. Jakim sposobem ta karta dziennika Godeina doszła do wiadomości komisyi śledczej petersburgskiej, nie pojmuję, ale w kilka miesięcy później, gdy mię, jak więźnia stanu w tej komisyi stawiono, między innemi zarzutami żem musiał o spisku Towa-

rzystwa tajnego coś wiedzieć, zacytowano mi frazes wymieniony, przy obiedzie u gubernatora krymskiego wyrzeczony. Pomyślałem wtedy, jak sprawiedliwie rzekł ten, co radził na jednym kołku w przedpokoju, zawieszać płaszcz, czapkę i rozum, kiedy się do obcych (wrogów) na biesiadę idzie.

Przyszedł nakoniec rozkaz od Worońcowa z Taganrogu, aby nas do przysięgi cesarzowi Konstantemu przywieść, a w kilka dni później za podorożną na jego imię drukowaną, wyjechałem z Krymu, wprost do siebie. Ten dokument historyczny, pewnie rzadki komisya śledcza znalazłszy w moich papierach już mi go nie wróciła.

ROZDZIAŁ VI.

Dążyłem prosto do siebie a przybywszy do Korosteszowa, natychmiast zaprosiłem na obiad domowego doktora mojego Kleina, Bawarczyka, pełnego światła i zacności człowieka i księdza proboszcza ś. p. Tafitowskiego; siedząc u stołu, usłyszeliśmy pocztowy dzwonek a z małych sanek wysiadł płaszczem i szalem okryty oficer, uzbrojony w pałasz i w pistolety. Gdy go służba bez zameldowania wpuszczać nie chciała, ja po głosie poznałem, że to był Rumin Bestuszew, ów młody nieodstępny przyjaciel Sergjusza Murawiewa.

Proszę go więc, aby bez żadnej ceremonji siadł zaraz do stołu i ogrzał się zupą gorącą, którą właśnie podawano, co też uczynił skwapliwie, prosząc z większą skwapliwością jeszcze o danie mu natychmiast koni na dalszą podróż, prywatną drogą do Lubaru, dokąd spieszyć musi tak w celu własnego, jak i przyjaciela swojego Sergjusza, bezpieczeństwa.

Zapewniwszy się, że niema powodu wystrzegania się towarzyszów moich, opowiedział

w prędce wypadki 1. grudnia petersburgskie, wybuch rewolucyi spiskowej, śmierć Miłoradowicza, nieudanie się całego zamachu, zdradą pułkownika Jakubowicza, aresztowanie Pestela, nikczemny przestrach księcia Trubeckiego, którego w domu szwagra jego, posła austryackiego, hr. Lebzelterna do więzienia schwytano, słowem zwycięztwo Mikołaja, który się carem ogłosił; wykrycie listy wszystkich spiskowych a w końcu przysłanie feldjegra do Wasilkowa w celu aresztowania Murawiewia, gdy on, Bestuszew, będący trafem za urlopem w Wasilkowie, nietracąc czasu, zdążył wymknąć się z kwatery przyjaciela, nim Gabel, pułkownik czerniechowskiego pułku jego samego, jako powiernika Murawiewa mógł zaaresztować. Później dodał, że zajeżdżał do Radomyśla uwiadomić pułkownika Aleksopolskiego pułku, Powatę Szwejkowskiego, iż wszystko stracone, a pojedynczą wycieczką ratować się próżno. Ostatnia zostawała tylko nadzieja w powstaniu na prowincyi, które to naprawić może, co się w stolicy nie udało.

W tym celu więc spieszył do Sergjusza Murawiewa, pułkownika huzarów, w nadziei podniesienia otwarcie buntu w pułku czerniechowskim, gdzie wiernym sobie bataljonem

komenderuje; że inne pułki których naczelnicy należą do spisku, przyłączą się do pierwszego ruchu; że artylerya w Żytomierzu będzie przez Szwejkowskiego o wszystkich wypadkach uwiadomiona i że tym jednym sposobem potrafi może jeszcze uratować kraj i jego prawych obrońców, zapominając niestety o biedny, szlachetny zagorzalcze, że domowa wojna jest pierwszem największem krajowem nieszczęściem.

Straszliwe a bolesne dla mnie były te zwierzenia Bestużewa, łacno albowiem przewidzieć można było smutny koniec wszystkich tych illuzyj, skoro zamach petersburski tak spełzł nikczemnie. Nie rad go byłem dla niego i dla siebie dłużej zatrzymywać, a nie mając jeszcze urządzonej stajni, kazałem nająć w miasteczku trójkę furmańską z budką żydowską do Berdyczowa i w godzinę po jego przybyciu, wyprawiłem go w dalszą niefortunną podróż!

Gdy to się dzieje, pułkownik Gabel, Polak rodem, opatrzył się, że mu Bestużew, którego nienawidził, z Wasilkowa umknął i wziąwszy pocztę, sam pędził za nim do Radomyśla, gdzie straciwszy ślad jego, spytawszy tylko, że prywatną drogą dalej na Korosteszów pojechać musiał, sam jedzie do Żytomierza i

prosi korpuśnego dowódzcę generała Rotha, aby od siebie wysłał żandarmskiego oficera do mnie, dla aresztowania tam Bestużewa, gdyż on sam musi co spieszniej powracać do do pułku, który został bez komendy.

Jakoż tej samej nocy, budzi mnie mój kamerdyner około 1-szej z północy, uwiadamiając, że jakiś niebieski oficer (żandarmi rosyjscy mają mundur jasny tej barwy) z kilku takiemiż żołnierzami, którzy u wszystkich wejść do domu stanęli, żąda w tej chwili mówić ze mną w imieniu cesarza. Schwyciwszy więc szlafrok na siebię, każę go prosić i następna wszczyna się między nami rozmowa:

Oficer: U was jest Bestużew — ja w imię cesarza, mam rozkaz schwycić go żywego lub umarłego.

Ja: Nie możesz pan tego dopełnić, bo go tu nie ma! był tu wprawdzie, jadł obiad i wyjechał.

Oficer: Ale pan wybaczysz, że ja muszę najściślejszą w całym domu zrobić rewizyę.

Ja: Czyń pan swój obowiązek, jeżeli mi nie wierzysz, ale panu honorem ręczę, że to istna prawda; zresztą nie dziwi mnie wcale, że nowy cesarz a więc i sługi jego, nie mogą od razu uczciwemu słowu zawierzyć; czas do-

piero pokaże, kto sprzyja a kto przeciwny rządom cesarza Konstantego!

Zaledwiem to czarodziejskie słowo wymówił, oficer odskoczył odemnie i krzyknął: — Jaki car Konstanty? naszym carem jest Mikołaj 1-szy i ja w imieniu jego przyjeżdżam do pana ukrytego gościa jego aresztować.

Mając podorożną jeszcze na stoliku, pokazuję mu ją i rzeknę: — Widzisz pan za jaką podorożną wczoraj dopiero do siebie przyjechałem z Krymu, tam przysięgałem cesarzowi Konstantemn i o niczem innem niewiem.

— Jak to? — odparł żandarm. — Pan nie wiesz o wypadkach 14. Decembra w stolicy? i tu dopiero widząc moje zadziwienie i udaną ciekawość, zaczął mi opowiadać wypadki, o których przed kilku godzinami uwiadomiony byłem przez Bestużewa. Opłakiwaliśmy znów razem śmierć Miłoradowicza, godnego istotnie milszej śmierci jak od kuli rodaków! Podziwialiśmy męstwo cesarza, wpływ jaki wywarł na wzburzone tłumy i na spiskowych samym jedynie wzrokiem, kiedy zbliżający się tylokrotnie Jakubowicz w zbrodniczym zamiarze, z mordercy został niemal posługaczem.

Przy tej gawędzie z żandarmem czas upływał i oddalał nieszczęsnego Riumina od

niebezpieczeństwa co go u mnie spotkać mogło, gdy w końcu pułkownik prosi mnie o konie, by lecieć za swoją zwierzyną. Na to odpowiadam, że czas długi nie zamieszkując domu, własnych koni jeszcze nie mam, ale każę dla niego w miasteczku konie nająć. Dobrze zrozumiano wydany rozkaz i ledwie w półtory godziny przyprowadzono budkę z trzema chromemi żydowskiemi końmi.

Uspokojony w duszy, że już zbiega nie dosięgną, i szczęśliwym zwrotem tej awantury niespodzianej, umyśliłem wszakże nazajutrz wyjechać z miejsca, gdzie byłem na przesmyku uciekających i goniących, a postanowiłem wprost do Kijowa się udać, aby tam zostawać na oczach wyższej władzy, wyrozumialszej zawsze jednak od policyjnych drabów wiejskiego ustronia.

Trudno mi było wybrać się wcześnie po tej niespokojnej nocy; wyjechałem dopiero po obiedzie, w celu przenocowania wygodnego w ostatniej wiosce mojej pod Radomyślem w Mininach, którą trzymał w dzierżawie dobry mój sąsiad i przyjaciel, podkomorzy Prot Czajkowski, ożeniony z Wąsowiczówną. Dzisiaj z uczuciem pobożnej wdzięczności rozpamiętywam, że mój Anioł Stróż widocznie się

mną opiekował w tej podróży. Nie wiem z jakiego instynktu czego nigdy nie robię, zamknąłem się na klucz w pokoju, który mi dano, gdy około 7-mej zrana nazajutrz, w pogodny ale mroźny dzień, słyszę dobijającego się do drzwi moich, tego samego Bestuszewa, którego sądziłem o tyle mil oddalonego, krzyczącego przezedrzwi: „Ouvrez de grâce! vîte des chevaux et quelque chose de chaud â avalir, car je meurs de froid — et puis une pelisse au nom de Dieu, car je succomberai avant de rejoindre nos soldats pour le grand et dernier coup!“

Po pierwszym przejściu do siebie odpowiadam: „Je n'ouvrirai pas, pour pouvoir au besoin préter serment que je ne vous ai pas vû; mais quelle imprudence de repasser par le même chemin! vous ne savez donc pas, que vous êtes poursuivi avec ordre de vous prendre mort ou vif? hier, j'ai eu une visite desuiciliaire au sujet de votre passage, et si vous ne partez á l'instant même, vous ne vous sauverez plus, car on suivra votre piste et vous m'entraînez dans le même abime!“

On na to: „Ainsi donc vite du thè, des chevaux et une fourrure.“

Daję mu więc radę wymagania tego wszystkiego z gatunkiem gwałtu, le pissolet à la main.“

Pani domu wszakże zrozumiała o co rzecz idzie i zwiększając ten alarm domowy, pospiesza z gorącą kawą. Lokaj mój dostawszy nieborak w twarz, oddać musi wyborny nowy swój kożuch, a sotnik, czyli wójt wiejski, przywitany kijem po plecach, przyprowadza natychmiast sàneczki z parą końmi, które nakoniec uwiozły w lasy tego uzbrojonego szaleńca! Tą roztropnością mogę się tu pochwalić, bo mi ją natchnęła nie moja własna przezorność, ale jakaś niewidzialna opiekuńcza siła!

Potrafił Bestużew dostać się do zbuntowanego batalionu czernigowskiego pułku, na którego czele był już Sergjusz Murawiew, przybyły z Lubaru i z nim powstał, uwiadomiony o wypadkach petersburskich. Przyłączył się do niego drugi batalion tegoż samego pułku, ale nie chcąc odstąpić pułkownika swojego mocno rannego, nie przybył do murawiewskiego. Pierwszy ruch Sergjusza był na Wasilków, którego owładnąwszy bez żadnej utarczki, panował w nim jeszcze przez 24 godzin, kazawszy popom ogłaszać w dwóch cerkwiach przysięgę na konstytucyą i na rząd,

jaki ta konstytucya ustanowi; przyjął kilka kuryerów, nabawił wielkim strachem Kijów i Białocerkiew, bo niewiadomo było w jaką się stronę obróci.

Tymczasem generał Roth, odmieniwszy dwóch pułkowników i jednego brygadnego których podejrzywał, przybrawszy sobie Niemca generała Gejsmara, ściągał wojska na okolenie dwutysiącznego niespełna korpusiku Murawiewa. Ten zaś, spodziewając się, że misya Bestużewa do pułkownika artyleryi w Żytomierzu Wrońskiego spełniona, zalewając gorzałką żołnierzy swoich dla podtrzymania w nich ducha, wydał do nich następującą odezwę:

„Że wszystkie wojska, które przeciw nim wyszlą, połączą się z nimi; że mają iść wprost na armaty, bo te na wiatr strzelać będą, dopóki się na nieprzyjaciela nie odwrócą; jednak w razie, gdyby przez nieprzewidzianą zdradę, wojska do spisku należące, przeciw nim się obróciły i na ostro strzelały do swoich, on niechcąc mieć na sumieniu przelewu krwi bratniej, uwalnia ich od posłuszeństwa i pozwala im się rozejść lub broń złożyć, chcąc sam tylko jeden za wszystko i za wszystkich odpowiadać!“

Niestety! usłuchali dosłownie tej odezwy swojego naczelnika, gdy przy pierwszem spotkaniu we wsi Trylisach, artylerya, którą już jakiś Niemiec dowodził, z razu górować a przypuściwszy bliżej, kartaczami na dobre do murawiewskich szyków strzeliła i wszystko poszło w rozsypkę. Sam Sergjusz mocno z kartacza ranny, padł na ziemię; brat jego najmłodszy Hipolit, przy nim stojący zabity, a Bestużew nie ranny, dał się wziąść w niewolę!

W tem wydarzeniu Gejsmar haniebnie splamił szablę swoją, może z przekonania i obowiązku na tę braterską wojnę dobytą, bo po skończonej batalii, leżącego już rannego Murawiewa, sam jeszcze w twarz rąbnął!

Tak więc walka o swobodę Rosyi trwała półgodziny, po której nastąpić miało 29-cio letnie panowanie Mikołaja, przypominającego o ile wiek nasz pozwalał, rozkosze kraju tego za Iwana Groźnego.

ROZDZIAŁ VII.

Wracam teraz do dalszych moich zachodów, aby zasłonić się o ile można było od następstw, jakie ściągnąć mógł na mnie powtórny przejazd Bestużewa, wtedy kiedym już o jego przestępstwach stanu był urzędownie uwiadomiony.

W pół godziny po wyprawieniu niespodzianego gościa, pojechałem sam o milę do Radomyśla powiatowego miasteczka, gdy w drodze przychodzi mi myśl zbawienna, zwierzyć się w moich niespokojnościach, mieszkającemu tam smutnie słynnemu generałowi Złotnickiemu, który jako bywalec w takich politycznych zawiłościach, dobrej mógł mi udzielić rady.

Tu miejsce wspomnieć coś o niektórych dramatycznych figurach ostatnich czasów naszych, które jeszcze osobiście znałem, gdy następcy moi z tradycyi już tylko zawsze

stronnej, bo miejscowej, lub z historycznych opowiadań, dowiedzieć się o nich potrafią.

Dwóch działaczy nieszczęsnej targowieckiej konfederacyi znałem osobiście i rozmawiałem z nimi o rzeczach kraju w chwilach wcale różnych, co do nadziei lub obawy jakie stan polityczny mógł przyszłości naszej rokować. Ostatniego wielkiego hetmana koronnego Ksawerego Branickiego z Białocerkwi i ostatniego komendanta polskiego, twierdzy Kamieńca podolskiego, Antoniego Złotnickiego w Radomyślu.

Obaj jednakowym trybem starali się młodym zwłaszcza pokoleniom utrzymywać, że że kraj swój kochali i że gdyby ich słuchano, byliby go uratowali! co o tyle w ich sumieniu było prawdą, o ile cierpieli na wzgardzie i goryczy jaką zaprawiony był pomyślny ich byt, gdy obok nich ludzie przeciwnej opinii jedni fortunę i zdrowie, drudzy wolność lub życie postradali w poświęceniu!

Tak więc Branicki, lubo się z Moskiewką ożenił i zjedzoną już prawie fortunę tym związkiem podparł, bogactwy i rządem żony swojej Engelhardtównej, siostrzenicy Potemkina, niczego tak nie pragnął, jak żeby syn jego

Władysław z Polką się ożenił, a córki za Polaków powychodziły.

Gdy cesarz Aleksander w 1816 roku po przybraniu tytułu króla polskiego zajechał do Białocerkwi, Branicki w dawnym polskim generalskim mundurze i przy wstędze Orła białego, będąc kawalerem moskiewskiego orderu św. Andrzeja, wyszedł naprzeciw niego z chlebem i solą, a wystąpił z powitaniem: „Szczęśliwy starzec, nie umrę już nie zobaczywszy króla mojej ojczyzny!“ Złotnicki, który się tak drogo opłacić kazał za nędzną twierdzę, któraby tydzień ścisłego ataku wytrzymać nie mogła, używał bardzo często kredytu swojego u rządu w pomoc sąsiadom lub przyjaciołom i rad był także wmówić, że go na stronę Targowicy wciągnęła jedynie zgroza dobrowolnego zrzeczenia się przywileju szlachty, obierania królów swoich; opowiadał nieraz projekt swój, jakim trybem ten obiór za życia panującego jeszcze króla miał być prowadzony, aby uniknąć intryg i nieładu podczas samej elekcyi a zwłaszcza bezkrólewia.

To właśnie przed nim jeszcze powiedział, pięknym, bo rzewnym wierszem, były sekretarz targowickiej konfederacyi Dyzma Bończa Tomaszewski, nie opływający w miliony jak

tamci, ale też nie tak ścigany zgrozą współziomków!

„Szczęśliwa Ukraino! pókiś naszą była!...
Dzisiaj cię łza niewoli i nędza zrosiła!
Lecz twój cień snu mojego nie zapragnie budzić,
Insza jest kraj swój zdradzić... insza dać się złudzić!...“

Słowem ci nasi wielmożni i jaśnie wielmożni nie mogą być porównanymi z takiemiż innych krajów zaprzańcami, co polityczną namiętnością porwani, wyrzekli się wszelkich wspomnień a nawet religii i języka dawnej swojej ojczyzny! w drugich zaś pokoleniach jednem tylko nazwiskiem, pochodzenie swoje zdradzając, tem większą do dawnych krajowców czuli nienawiść, im szczerzej się im sprzeniewierzyli.

Naszych staropolska gościnność i dawna maniera połączone z jakąś szczerą rubasznością, były to cechy, których się nie pozbyli, obcując więcej już z wrogami, jak ze swoimi.

U Branickiego było to widoczniejszem, jako u wielkiego pana, chociaż i Złotnicki bardziej się swojem szlachectwem jak generał-lejtenanctwem rad popisywał.

Zakończę ten ustęp kilkoma charakterystycznemi anegdotami o hetmanie Branickim, sceny, których sam byłem świadkiem lub od naocznych świadków słyszałem.

Kiedym po powrocie z zagranicy, pierwszy raz do Białocerkwi przyjechał, byłem bardzo młody a hetman liczył lat około 80; wyszedł naprzeciw mnie starzec i sążnistym komplementem, mówiąc o bardzo łaskawym na niego ojcu moim zalecał się podobnejże łasce mojej... któremu i J. W. Pana Dobrodzieja w rozmowie nie szczędził. Po tym wstępie, gdyśmy we dwóch siedzieli, pyta mię staruszek: czy prawda, żem się za granicą z Włoszką ożenił? Z francuzką mości hrabio, ale pochodzenia włoskiego.

— A piękna? W skromności mojej odrzekłem. — Dosyć. — A młoda? — Mego wieku. To bogata? — Niestety! — To przynajmniej bardzo znakomitego domu? — Genealogii nie rozbierałem. Ta ostatnia odpowiedź tak widać staruszka ubodła, że zapomniawszy o przedchwilowej grzeczności, a zważając tylko na młokosostwo, kiwnął ręką i rzekł: Toś kiep!“

Ja skoczyłem ze stołka! a on mnie za rękę biorąc: „W moim wieku to słowo nie jest obrazą, to ojcowska przychylność. Nie gniewaj się proszę. Ja byłem też młody i w późnym wieku już ożeniłem się.“

Sam niewiedziałem co się ze mną dzieje i byłbym może zaraz starał się cichaczem wynieść, gdyby nie wejście hetmanowej z córkami, z których najstarsza Stanisławowa Potocka dziwnie mi się piękną, a dwie młodsze Zofia i Elżbieta bardzo powabne wydały.

Cały tok tego domu był patryarchalny; pieszczotliwość staruszki, skądinąd poważnej a nawet groźnej dla starca swego, do którego zawsze łamanym językiem moskiewsko-polskim przemawiając, nazywała go Braniu! polskość w układzie, gościnność i mowa nader uprzejma i cywilizowana tych młodych niewiast, wszystko to dało mi prędko zapomnieć onego niespodzianego kpa a znajdywać później wielką roskosz w przebywaniu w tem towarzystwie.

Może uszanowanie z jakiem hetmana Branickiego pod starość cała jego wysoce dystyngowana rodzina otaczała, przyczyniła się do tego, że i ja tenże respekt dla niego czułem, ale to pewna, że oprócz mowy samej hetmanowej, pasya jej do rozmaitego gatunku kasz i karmienie otyłej, w jej pokoju zawsze siedzącej ruskiej dziewki służącej, nic moskiewskiego nie było. Cała usługa wyższa i niższa domu, wszystka po polsku mówiła. Marszałek dworu imci pan Oleksiński w kontuszu. Kuchmistrz imci pan Kozłowski, sam przynoszący bywało osobne na talerzu przysmaki dla hrabiny lub jej córek, najuprzejmiejszą polszczyzną do tych łakoci zachęcał. A co do komisarza, długo nie widziałem innego jak w wylotach.

O tem mówiąc, przychodzi mi na myśl wydarzenie, które dziwnie maluje polskość i rubaszną pańskość Branickiego. Jeden z jego komisarzy, niejaki Borkowski, dobrze zasłużywszy się domowi przez poczciwą, długoletnią służbę, osiadł już był na własnym kawałku ziemi, w tymże samym powiecie kupionej; z kolei został obrany marszałkiem szlachty swojego powiatu; pod pewnym względem został więc naczelnikiem dawnego swego pryncypała a chcąc mu się pod tą nową barwą ukazać, oraz uszanowanie złożyć, wybrał się karetą, pysznym cugiem sześciokonnym siwojabłkowitym, kozak na przód, liberya w galonach i zajeżdża przed dwór białocerkiewski.

Branicki zwykł w pogodny dzień siadać na ganku domu swojego, wyczekując zawsze z wielkiem pożądaniem gości, zwłaszcza polskich. Widok owej karety i pysznych koni wielce go rozradował. Powstał więc staruszek na spotkanie jakiegoś jaśnie wielmożnego pana

z otwartemi rękami wita: Kogoż to mam honor?... ale gdy poznał dawnego swojego komisarza, dokończył komplementem ściskając go wszakże: I na cóż ci się to durniu zdało?

Piotr Potocki, starosta szczerzecki, były poseł Rzeczypospolitej w Stambule, a mój poprzednik jako marszałek kijowski opowiadał mi, że przyjechawszy raz do Branickiego, ten mu się skarżył, że nie trafia się dotąd dobra dla jego najmłodszej córki partya. „Starał się o nią wprawdzie Leon Potocki, ale wyznam waćpanu, że mając już dwóch zięciów Potockich, nie radbym żeby mówiono, że ród mój temuż domowi oddałem w dzierżawę... a pragnąłbym i trzeciego mieć Polaka, *) bo po mojej śmierci, żona moja pewnie ją za Moskala wyda!“

Starosta szczerzecki na to: „Są i między nimi ludzie“ a Branicki przerywając: „Nie wierz waćpan temu!“ W tem dają znać, że przyjechał ruski generał broni Kapcewicz; był to właśnie z tych gwieździstych generałów, co mógł przez swój czyn, czy rangę pomieścić

*) Starsza Katarzyna, wdowa po Sanguszce poszła była za Stanisława Potockiego, a druga Zofia za Artura, syna Jana z Lubomirskiej. Trzecia Elżbieta poszła za hrabiego, dziś księcia Michała Worońcowa.

się w liczbie aspirantów do ręki, a zwłaszcza posagu hrabianki. Hetmanowa uczuła w sobie bicie rodzimej krwi swojej i przesadzała się w grzecznościach dla gościa tego. Po obiedzie nastąpiła przechadzka w ogrodzie do faworytalnej ulicy Pelikanową zwanej, która nadzwyczajne oddawała echo. Pani Branicka prowadzona przez Kapcewicza szła pierwsza a za nimi mąż jej ze starostą i reszta kompanii.

Gospodyni obracając się do swojego towarzysza prosi o wymówienie słowa, któreby echo powtórzyło.

Kapcewicz po krótkim namyśle, krzyknął głosem komendy: „Du-rak!“

Branicki wtedy z cicha do Potockiego: „A mówiłem waćpanu.“

Na udowodnienie, że mimo wszystkich politycznych poniekąd zbrodni tych naszych Korjolanów, element n a r o d o w y był silnie w ich żywocie zakorzeniony. Zakończę ten ustęp historyą, co mi o tymże Branickim opowiadał generał Kropiński.

Było to wkrótce po utworzeniu kongresosowego królestwa polskiego. Książę Adam Czartoryski polecił był przyjacielowi swojemu Kropińskiemu zjechać do Białocerkwi i wyba-

dać, czyliby wdowa wtedy po Sanguszce, starsza córka Branickich skłonić się dała do powtórnego małżeństwa. Wybrał się jednak trochę zapóźno, bo Sanguszkowa była właśnie Stanisławowi Potockiemu już zaręczona. Zmartwił się wielce Branicki, gdy się dowiedział, że mógł mieć Czartoryskiego za zięcia, przyjął wszakże i ugaszczał Kropińskiego z nadzwyczajną uprzejmością.

Jednego dnia przy śniadaniu, trzymając gazetę warszawską w ręku, rzecze do generała:

— Wytłómacz mi waćpan tę dzisiejszą Polskę, bo ja widzę już jej nie rozumiem. Jak to? czytam w tym numerze: Sejm otwiera się 16-go i tuż dalej: księżna generałowa wyjedzie 14-go na pobyt swój letni do Puław. Czyż to być może i co to ma znaczyć?...

Nie mógł jeszcze stary pojąć, mimo swej moskiewskiej karyery, że w Polsce sejm się odbywać może bez obecności na nim jakiej księżnej generałowej, księżnej marszałkowej lub księżnej kasztelanowej? to dosyć charakterystyczne było pojęcie.

ROZDZIAŁ VIII.

Gdym przybył do Złotnickiego, ten rozczulony moim zwierzeniem i zaufaniem a szczególniej, żem go zaklął na polską szlachetność i rodzimą gościnność, która pojmuje, że z domu własnego nie można wydać było na pastwę siepaczy, chroniącego się politycznego zbiega, doradza mi abym natychmiast udał się do sprawnika, czyli policyjnego w powiecie naczelnika, mającego w tej chwili silny paroksyzm febry (o czem z pewnością wiedział), który wszystkich pomocników swoich w różne strony porozsyłał i doniósł mu z zapałem o tym wojskowym gwałcie jakiegoś oficerka, już przez wojenną władzę ściganego, żebym naglił o wysłanie pogoni zbrojnej, któraby go jeszcze dognać mogła, gdyż on z tej mojej wioski o cztery tylko wiorsty od miasta, nie dawniej jak pół godziny odjechał etc., a wrazie ociągania się biednego chorego, abym mu

oświadczył, że pana generała-lejtnanta Złotnickiego wziąłem za świadka tej mojej czynności, abym w następstwach jakie stąd wyniknąć mogą, żadnej na siebie ściągnął odpowiedzialności.

Tak się też wszystko stało. Sprawnik kłapiąc zębami, narzekał że w tej chwili nie miał się kim wyręczyć, a ja pojechałem wprost do Kijowa.

Tam bawiąc przez kilka tygodni, byłem świadkiem rozwiązania całego tego tragicznego dramatu i pojmania głównych ofiar!

Pierwszy z rodaków naszych, co w skutek tych wypadków pochwycony został przez feldjegra do stolicy, był książę Antoni Jabłonowski, który ani tylu zasług nie miał, ani tyle wzgardy nie zasłużył, jaka od współczesnych na niego spadła. Następnie dowiedzieliśmy się o uwięzieniu z Wołynia hr. Marcina Tarnowskiego pułkownika, Piotra Moszyńskiego, byłego marszałka wołyńskiego etc., a od 10-go stycznia każdy z nas co mógł jakiekolwiek mieć stosunki, z którym bądź z tych zbuntowanych wojskowych, oczekiwał lada chwila podobnego dla siebie losu. Z Kijowa już byli wywieźli z naszych Grodeckiego, z Rosjan Dawidowa, Poggia, Kapnistę etc. Każdego więc

dnia, gdy znajomy spotkał znajomego, pierwsze słowo było: „Jeszcześ tutaj?“

Moje aresztowanie nastąpiło 15. stycznia, przy dość komicznych okolicznościach; tegoż dnia, pour faire, jak mówią Francuzi, bonne mine à mauvais jeu, zaprosiłem był na świeżo przybyłe ostrygi i pasztety strasburskie, kilku z przyjezdnych moskiewskiego towarzystwa gwieździstych łakomców; między nimi był i senator Borozdyn, o którym była mowa wyżej. Śniadanie było na 1-szą, a mnie o 12-tej godzinie aresztowano. Kijowski policmajster, pułkownik Durow, gwardzijski bon vivant, ustawił już był przy drzwiach mojego mieszkania szyldwachy, z rozkazem nie wpuszczania nikogo; sam zaś z jakimś drugim policyjnym fagasem, zajmywali się opieczętowaniem moich papierów. Przez okno z piątra patrzaliśmy nie bez uśmiechu, jak wszyscy przyjeżdżający zaproszeni, z fantazyą właściwą poważnie zajeżdżali w dziedziniec, a jak po dostrzeżeniu szyldwachów... z zasłonioną twarzą co prędzej zmykali, jakby ukryć pragnęli, że się na zapowietrzony dom natknęli! Jeden tylko Borozdyn, winienem mu oddać tę sprawiedliwość, rozsunął okazaniem gwiazd swoich bagnety straży i wszedłszy do mnie, może

ciekawością zdjęty, wyrzekł: „l'en lecas ou jamais, de ne pas rénier ses amis", na co Durow z respektem patrzać musiał, a ja upewniając go o mojej niewinności a stąd i bezpieczeństwie, uwiadomiłem go pierwszy, że jego szwagier Dawidow, już mnie do Petersburga wyprzedził.

Gdy już wszystko popieczętowali i zabrali co w ręku mojego Anioła Stróża być miało, odezwałem się do Durowa naglącego o wyjazd, że chociaż nie oni na moje przysmaki zaproszeni, ale ponieważ śniadanie gotowe, ani ja w drodze, ni oni na miejscu nic lepszego jeść nie będziemy, rozsądniej przeto użyć gotowej biesiady i po niej dopiero rozstać się. Trafiło to do serca i gardła Durowa, a zapewne pierwszy to wypadek w epizodach politycznych, że aresztująca policya z więźniem swoim wiwaty wspólnie spełniała, a nawet w przedpokoju ostatnią butelkę szampana, jakby strzemienne z nim wychyliła!

Pod dobrą więc datą siedliśmy wraz z feldjegrem do sanek pocztowych i przy pomocy Bożej i utrzymaniu się śniegu, oprócz na dwóch ostatnich przed stolicą stacyach, bez żadnego na zdrowiu szwanku, stanęliśmy w Petersburgu nad rankiem trzeciej doby.

Tu się zaczyna kalwarya polityczna, jeśli tego świętego słowa użyć można do mizernych spraw naszych! bo upokorzenia natłok! Naprzód, ponieważ był dany rozkaz przywożenia politycznych jeńców wprost do zimowego pałacu carskiego, do kwatery komendanta miasta i dworca, a godzina w jakiej stanęliśmy była za wczesna, musiałem więc w odprzężonej budzie leżeć już jak baran, którego do rzeźni jeszcze nie prowadzą, bo na niego nie kolej!

Po dwóch godzinach tego oczekiwania, feldjeger co o mojem przywiezieniu zaraportował, przyprowadził dwóch żołnierzy, między bagnetami których w zbłoconej odzieży w jakiej przybyłem, przejść musiałem cały wewnętrzny dziedziniec, aby małemi schodkami wejść do tak zwanej przedsieni kancelaryi komendanta. Tam pozwolono mi usiąść na ławce, a mimo żem się znalazł w towarzystwie, jak mi się zdawało jakichś nocnych hultajów, których może za burdy lub pijaństwo tę noc w kozie trzymano, widziałem, że byłem więcej celem ich wzgardy i pośmiewiska, niżeli politowania, a porządniejsi przychodzący ludzi do tejże kancelaryi, mimowolnie wzrok swój oderwać

nie mogli od tej zabłoconej, między dwoma szyldwachami siedzącej figury.

Po godzinie takiego pręgierza, drzwi się otwierają z poza których wychyla się łyso-siwa ale nie szlachetna głowa. Był to komendant Baszucki — lakonicznie pyta: hdie on? i obojętnie sporzawszy, rzekł: Wazmit jewo! poczem drzwi się zamknęły.

Znowu tym samym trybem feldjeger z szyldwachami przeprowadzają mnie przez dziedziniec i wręczają oficerowi trzymającemu wartę na odwachu dworcowym; ten wiedzie mnie do pułkownika, który rozporządził tymczasowo przeznaczyć dla mnie ciupkę, nakazawszy kogo innego z niej wyprowadzić; kiedym już do niej dochodził, jakie było moje zdziwienie spotykając Dawidowa i Poggia, których wyprowadzono, aby mnie ich dać kwaterę! Z uśmiechem wszakże, bom jeszcze wtedy miał wiele ducha, mijając ich rzekłem: „Je suis bien faché de vous deranger MMrs.“, a oni do mnie: „Pourvu que vous ne nous suiviez pas!“

Wiedli ich wtedy do fortecy Petropawłowskiej!

Skoro już byłem na odwachu, zdało mi się, żem u siebie; wniesiono mój tłómoczek, przyniesiono fajansowy przyrząd do umywania i pozwolono przyzwoiciej się ubrać. Pułkownik przysłał filiżankę herbaty, a jakiś młody oficerek z Siemionowskiego pułku, niejaki Ostafiew *) przyszedł do mnie i rzecze z wielką uprzejmością: „Nie wiem jaki pana dalszy los spotka, ale jeżeli jak drudzy, pójdziesz do fortecy, to dziś lub jutro rano będziesz zapewne badany w gabinecie cesarskim, albo przez cesarza samego, albo przez generała adjutanta Lewaszowa. Wtedy radzę przy wyjściu prosić tego generała od służby, aby pozwolił panu przy zawiezieniu do fortecy, wziąść z rzeczy swoich póki tu są u nas choć kilka koszul z sobą, bo ze wszystkich cierpień, jakich w więzieniu doznać możesz, przejście na kazienną więźniów bieliznę, będzie ci najnieznośniejszem.

Podziękowałem mu za tę poczciwą przestrogę i błogosławiłem jeszcze, gdym go po 20-to leciech przypadkiem napotkał.

Koło 2-giej godziny dano mi obiad cesarski oficerów pułku wartę odbywającego, ale mięsne potrawy już pokrajane i łyżkę tylko do

*) We 20-cia lat później spotkałem go generałem adjutantem na obiedzie gubern. kijowskiego Fundukleja, dawanym dla sławnego Balzaka.

użytku; obawiano się bowiem, aby nożem lub widelcem, zdesperowany jaki więzień na życie swoje nie godził i ujął przez to nowej ozdoby do szubienicy.

Wieczorem, kazano mi się we frak ubrać i wprowadzono do pokojów cara.

ROZDZIAŁ IX.

W bogatym, ogromnym gabinecie w książki, mapy, globusy ubranym, w którym było kilka długich stołów ciemno-zielonem suknem przykrytych, na których znowu leżały książki i papiery, stał równie mały stoliczek koło komina, miłym ogniem świecącego, przy nim kiłka krzeseł złoconych, jedwabiem pokrytych, a na jednem z nich siedział generał adjutant od służby, którym tego dnia był hr. Lewaszow. Opodal od kominka, na tejże samej ścianie wisiała ciemno-zielona jedwabna potyera, która osłaniać musiała drzwi ukryte osobnego cesarskiego pokoju.

Skorom wszedł, generał kazał mi się zatrzymać, a sam uchylił się za kotarę, jakby pytać, czyli mnie sam cesarz badać raczy, czy jemu to poleci.

Wrócił niebawem i z miną jakby mnie pierwszy raz widział, gdym go przed laty kilku

po wszystkich w stolicy towarzystwach spotykał i nieraz z nim rozmawiałem, sam usiadłszy a mnie stojącego zostawując, zaczął mi niektóre pytania zadawać.

Ja wtedy rzekłem: „Mości hrabio! wprzód nim na co bądź odpowiem, winienem mu przełożyć, że dotąd nie masz pan prawa brać mię za zupełnie nieznajomego człowieka i pokąd się pan nie przekonasz, żem nie wart jego znajomości, mógłbyś mnie jeszcze po dawnemu traktować a nie tak, jak z jakim ulicznym przestępcą postępować.

Lewaszow miał w sobie wiele szlachetności, spostrzegł się więc i zaprosił siedzieć.

Pierwszą jego kwestyą potem było, czy znam księcia Jabłonowskiego?

— Którego? — odparłem — bo ich jest wielu. Zacytowawszy księcia Karola z Ostroga, księcia Maksymiljana z Krzewina, o których wiedziałem, że nie mogli być skompromitowani, dodaję:

„Ne me parlez vous pas de le jeune prince Jabłonowski, qui par ordre de l' Empereur defant, a été envoyè en Suisse, pour eu ramener les mânes du général Kościuszko et les deposer dans le caveau des Rois de Pologne a Cracovie? Ce serait le prince Antoine Jabłonowski d' Annapol!

Na to zimno odpowiedział Lewaszow: „l'ignorais ce fait — mais c'est de lui qu' il s'agit. Quelles ont été vos relations avec lui?“

— Czapkowej, jak to mówią znajomości. — Był raz lub dwa razy u mnie, a ja u niego; bliższych stosunków między nami nie było, gdyż mnie tego rozum zastraszał i upokarzał.

— Czy w domu w. pana — pyta dalej Lewaszow — rzeczony książę Jabłonowski miał narady z Murawiewem i Pestelem?

— Z Murawiewem może kiedy ważniejszą rozmowę wiedli przy stolem, gdziem ich parę razy zaprosił. Z Pestelem zaś pewny jestem, że nie u mnie się z nim znosił, gdyż Pestela w domu moim nigdy nie widziałem.

Po kilku jeszcze zapytaniach o Moszyńskim Piotrze, o Krzyżanowskim, na które zupełną niewiadomością się zasłaniałem, Lewaszow poszedł po za portyerę do cesarza, któremu widać powiedział, że się nie wiele odemnie dowie, a za powrotem oświadczył: że mnie dziś jeszcze zawiozą do fortecy Petropawłowskiej.

Za cóż to? śmiałem zapytać.

— Na to, żeby panu łatwiej było odeprzeć zeznania świadków, zupełnie inaczej o pańskiej niewinności twierdzących.

Wtedy przypomniałem sobie radę Ostafiewa i prosiłem o wolność wzięcia z sobą trochę bielizny. Odprowadzający mnie na odwach oficer, udzielił to ustne pozwolenie.

Nie myślę wchodzić w długie opisy więzienia mego, bo to dotkliwe, a mało czego nauczy, bo iluż to los podobny spotkał? To powiem tylko, co odznaczało różność charakterów, tak moich kolegów więzienia, jako i dozorców naszych, zacząwszy od komendanta fortecy, generała artyleryi Sukina, bez nogi, aż do zmieniających wartę żołnierzy.

Klatka moja pod numerem XII-tym była w kazamatach zwanych Nikolska kurtyna; z dwóch moich pobocznych sąsiadów, jeden był Bułatow, który nie miłosiernie wrzeszczał dostawszy zapalenia mózgu, drugi niejaki Andrejew, cudnym tenorowym głosem śpiewający żartobliwe piosnki. Bułatowa wywieźli w parę dni do szpitalu, gdzie też i umarł; a ja przysłuchując się lepiej spiewom Andrejewa, to cichszym odleglejszym drugim głosem, dostrzegłem że te kantaty włoskie lub francuskie, były istotnie r o z m o w y, które może umyślnie

tolerowano, dla pewniejszego podsłuchania więźniów!

Naprzeciwko mojej ciupy, była ciupa Rumina Bestużewa, oddzielona ciemnym korytarzem, o czem się przekonałem z trafu pęknięcia ogrzewalnej piecowej rury, co przez wszystkie drewniane przegrody czyli klatki nasze przechodziła. Duszący dym, jaki się rozszedł po ciupach sprawił, żeśmy wszyscy instynktowo do drzwi naszych zapukali, aby nam powietrza trochę wpuszczono... i wtedy, gdy je otworzono, to po raz ostatni ujrzałem naprzeciw siebie Rumina, który wykrzyknął: „Comment? et vous aussi ici!“ Ta okoliczność wykazując sąsiedztwo, wskazała zarazem, że nie podrzędnej zaliczony byłem kategoryi!

Plac-majorem Petropawłowskiej twierdzy był Poduszkin, zły człowiek, podły i złodziej. Gdy pomiędzy rzeczami mojemi znalazł ogromną tabakierkę, którą na zapas nabiłem dobrze francuską tabaką jeszcze na odwachu, on pod pretekstem szukania w niej czegoś, wysypał mi ją do dna na podłogę, a przytem zabrał mi fajkę i prowizyę tytoniu, aby odejmując te dwa pokarmy zbytkowych wprawdzie nałogów, uczynić mi więzienie przykrzejszem. Skarzyłem o to pisemnie do komendanta, alem nie otrzymał żadnej rezolucyi.

Że był złodziejem dowodziła strawa, jaką nas karmił, bośmy tylko dostawali na dobę z rana i wieczór szklankę herbaty, podłego familijnego czaju a na obiad tak zwany szczy czyli rosół z kapusty słodkiej i kaszę hreczaną ze stęchłem masłem, kiedy cesarz, jak później dowiedzieliśmy się, naznaczył po 5 rub. assyg. stołowych, na każdego więźnia dziennie. Odjęcie tabaki przekonało mnie, jak silnym jest ten nałóg, bo łatwiej mi było znieść głód, aniżeli nos na te suchoty skazać; przekupić wartę nie miałem czem innem, jak ustąpieniem tej kaszy z obiadu mojego, za co mi żołnierz przynosił kilka szczypt najobrzydliwszej zielonej sołdackiej tabaki w papierku.

Ktoby pomyślał, że ten tak mało znaczący epizod przyczynił się najbardziej do ożywienia obumarłego wtedy ducha mojego religijnego! tak to nieznane i niezbadane są drogi pańskie!

Kiedy już dwadzieścia kilka dni siedziałem w zamknięciu i nikt mnie o nic nie pytał, napadła mnie trwożna jakaś pokusa, że w tej wielkiej liczbie więźniów, musiałem być zapomniany i że rząd chcąc się nas odrazu wszystkich pozbyć, czekał tylko wiosennego wezbrania Newy, która co roku prawie kazamaty forteczne zalewa, aby nas wszystkich razem potopić!

Gdy od tego mongolskiego rządu spodziewać się można było wszystkiego, wyznaję wszakże, że to już była chorobliwa pokusa sprowadzona nudami, niepewnością, boleśnem o dzieciach moich wspomnieniem, które prawie ojca nie znały i możeby już się nie dowiedziały, wiele i za jaką sprawę cierpiał.

W tak rozpaczliwem usposobieniu zalewając się łzami zawołałem: „O Boże! czy jest kto nieszczęśliwszym odemnie?“

W tem otwierają się drzwi więzienia i żołnierz od warty, klękając przedemną woła po raz pierwszy: „Wasze błahorodje! (dotąd zwał mnie tylko Nr. XII.) Wasze błahorodje, spasitie mienia!“ (co znaczy: ratuj mnie!)

Jak i w czem mogę cię uratować?

A on: Oficer dojrzał, że niosąc panu kaszę, szczyptałem w niej z głodu; obiecał mi sto pałek! Jam mu się zaklął, że mi pan dzisiaj swojej kaszy ustąpił. Chciej pan to potwierdzić jak oficer przyjdzie o to pytać? — Chętnie mu to obiecałem a potem padłszy sam na kolana: Boże! westchnąłem, chciałeś mnie w miłosierdziu swojem przekonać, że są

nieszczęśliwsi odemnie, zacząwszy od tego, który jest moim strażnikiem!!

Religijna rewolucya, jaka się potem niemal cudzie w sercu i umyśle moim dopełniła, już odtąd przystała do mojej duszy; coraz więcej zgłębiając tę religią, co żadnego wypadku w życiu człowieczem nie zostawia bez nauki i wzoru, przywiązałem się do niej z przekonania i to zyskałem, że błędy moje i częste upadki nie tłómaczę sobie jak dawniej za d o b r e, ale je szczerze, kornie i z żalem nieograniczonemu miłosierdziu Pana polecam.

ROZDZIAŁ X.

Z n u d z e n i e jest najsroższą męczarnią każdego więźnia; dla tego to system c e l u l a r n y amerykański, godziwie i tylko jako środek leczący, może i powinien użyty być względem zbrodniarzy; ale nie tak się zdało panom naszym rządowym. Nie dawano nam książek, ani żadnych materyałów do jakiego bądź rękodzielniczego zatrudnienia. Mnie ratowały myśli poetyczne i fantastyczna jeszcze w przeszłości miłość. Nie mając zaś papieru, pióra ni ołówka, musiałem improwizować rymy, ciężko i długo wprawdzie, ale było czem pół dnia zapełnić. Znajduję w jednej z tek moich datę i urywek takiej kompozycyi myślnej, czyli leniwej improwizacyi, którą wypisałem później z pamięci a w obawie nowych prześladowań zniszczyłem. *)

Było to dnia 28-go lutego, zaczynało się od tej strofy:

*) Wspomnienie opisujące rozmowę więźniów.

„Już ranne słońce ludziom jaśnieje,
Jużem usłyszał ciężkie stąpania
Ohydnej straży — już słabiej tleje
Lampą, ten połysk mego świtania!...
Wznawiajcie wolni! wasze nadzieje;
Szukajcie szczęścia, sławy, kochania...
Bieg waszych godzin i mnie naznaczy
Dzień nowy — cierpień... zgryzot... rozpaczy...“ etc.

Przysłuchiwałem się rozmowom moich sąsiadów, jakoż Bestużew ciągle kaczkowatym swoim głosem spiewał do obok siebie siedzącego Murawiewa podobno; a po zobaczeniu mnie naprzeciw siebie z wypadku wyżej wspomnianego i do mnie recytatywa swoje zwracał. Zrazu, pełen jeszcze ducha prozelityzmu politycznego, chciał on w rozmowach swoich nawracać po celach chodzącego popa, w celu usposabiania więźniów do skruchy, do spowiedzi, a przez to samo do łatwiejszego przyznania się do winy. Słyszałem jak wyśpiewywał: „Il n' est plus pour le despotisme, il n'est déjà que monarchique!“

Później, gdy męczarnie ciała osłabiły w nim ducha, przeczuwać zaczynał smutny swój koniec, wtedy spiewał do mnie: „le règne sera eruel et bien long! Vous vous echapperez à la mort; vous serez même libre, a moi, on me destine une mort ignomigneuse.“

„C'est triste — car des générations passeront avant que nous soyons vengis — Pauvre Russie! Une fois que vous serez libre, tâchez de decouvrir mes restes et faites les inhumer sous le tertre d' Ascold a Kiev! c'est là que j'ai medité, cevé si souvent le bonheur de ma patrie!“

Bóg mi świadkiem, że nie byłem w możności spełnić tej ostatniej woli współ-kolegi więźnia, ale zapisuję to dla pamięci, aby kiedyś kto może z familii nieboszczyka lub jaki rossyjski patryota w nieprzewidzianym roku wolności kraju tego, wiedział na jakim miejscu wystawić pomnik, któryby cienie tych pierwszych męczenników ich narodu, zwłaszcza Bestużewa i Sergjusza Murawiewa prawdziwie rozradował!

Z kolegami więźniami rosyjskimi uszłymi z tej katastrofy, rzadko się później w towarzystwach spotykałem, a gdy się to zdarzyło, nie było to węzłem poufalszych stosunków. Moskale jakby się wstydzili, że na chwilę mogli być źle u rządu swego widziani. Przeciwnie, koleżeństwo niewoli u Polaków godziło między sobą jak najzaciętszych wprzódy nieprzyjaciół.

Do różnych fantazyj niby miłosiernych rządu, zaliczyć muszę dwie szczególnie, które

dla nas dość uciążliwe się zdały. Pierwsza, rewizya co tygodniowa prawie, generała Martynowa, poczciwego ale strasznie ograniczonego człowieka, ktory nie umiejąc po francusku a nie mogąc się inaczej ze mną rozmówić, jeden tylko umiał frazes dla wybadania czy mi jakiej krzywdy nie robią, a ten był: „N'est ce pas, vous êtes bien ici?“ Drugą było, przysłanie popa dla miękczenia serc zatwardziałych. Przed tą wizytą zaś, obowiązkowe było golenie brody dla przyzwoitości; tę operacyę wszakże do tortur zaliczyć muszę; odbywała się albowiem z pewną przesadą ostrożności: wchodził golarz, podoficer i dwóch żołnierzy, którzy pacyenta siedzącego na stołku za ręce trzymali.

Raz, gdym się ośmielił wielmożnemu podoficerowi wskazać, w jakim sensie zwykłem się golić, aby mnie pod włos tępą brzytwą skrobiąc, nie potrzebnie nie kaleczył, on biorąc to za urazę, że Numer śmie jego godności uwagi czynić, rzekł z gniewem: „Sudir mój, (co odpowiada polskiemu waść) jakiżeś łaskotliwy! U nas gdy kogo pałkami kropią, to nie pytają czy z lewej czy z prawej strony? a stój i bij!“

Odpowiedziałem też mu skromnie „bij.“

Co do księdza, to inna kategorya — dla więźniów tego wyznania, pojmuję, że mógł on być nawet pociechą, bo był to człowiek bardzo przyzwoity; ale wyznam, że kiedy mi się pierwszy raz we drzwiach więzienia ukazało to ogromne popisko, z brodą i rozpuszczonymi włosami, pomyślałem, że już ostatnia moja chwila nadeszła i przeląkłem się bardzo, że bez spowiedzi i sakramentu mojego kościoła, przychodzi mi umierać! Nie długo mię jednak w tej obawie trzymał ksiądz Masłow, członek sobornej kazańskiej cerkwi, a spowiednik cesarskiej rodziny. Rzekł bowiem, nie przestępując jeszcze progu mojego więzienia, że on jest kapłanem Boga miłości, Boga cierpień, że jest posłannikiem pociechy i uspokojenia, że nie wstąpi do mojego progu póki mu nie przyrzeknę, iż mu wyjść każę, skoro mi będzie nieprzyjemnym.

Na taki program nie było co odpowiedzieć, jeno uprzejmie zaprosić do celi; jakoż rozmowa nasza była zda mi się, dla obu stron przyjemna.

On zaczął od tego, że nie przychodzi wyłączać sprawy różnicy wyznań naszych, że każde przekonanie szanować umie, że we wszystkich chrześciańskich wyznaniach jest je-

dno wspólne stanowisko, na którem wszyscy swobodnie spotykać się mogą i powinni a tem jest miłość bratnia!

Ja z mojej strony odpowiedziałem, że mu tem bardziej za odwiedziny dziękuję, że czując się niewinnym, jestem więc spokojny, że dręczy mię tylko zwłoka, jakiej doznaję stąd, że mnie nie powołują do tłómaczenia się z oskarzeń; że to zapewne dzieje się skutkiem wielkiej liczby skompromitowanych a że jednego pragnę tylko za niezasłużone moje cierpienia, to jest uprosić wolność szczęśliwego mego rywala! i wtedy wspomniałem mu o mężu Maryi, Wołkońskim Siergieju.

Uśmiechnął się na to z lekka szanowny starzec i odrzekł: „Wątpię, aby się to udać mogło! Sądy są ludzkie nie boskie; w nich jeden niewinny nie zbawia tysiące winnych, jak tam nie zbawi nawet jednego."

Nawiedzenie księdza Masłowa u mnie nie trwało więcej, jak półgodziny; tak mi się przynajmniej krótko wydało przy wygłodzeniu słuchu z poczciwego jakiego ludzkiego głosu! Winienem tu jeszcze dodać na pochwałę tego zacnego człowieka, że gdy po uwolnieniu mojem, oddawałem wizytę komendantowi generałowi Sukinowi, zastałem u niego księdza

spowiednika więzionych. Ten odchodząc po żwawej, jak się domyślać można było rozmowie, te przy mnie powiedział mu słowa:

„Nasze obowiązki i powołania są różne mości generale, bo kiedy pan masz prawo ciało męczyć i zabijać, to ja mam obowiązek duszę cieszyć i oswobodzić!" Takim był ksiądz Masłow przy zewnętrzej postaci strasznego popa!

Zaledwie odemnie wyszedł, wpada natychmiast do mnie oficer od warty, Głuchow, bardzo poczciwy człowiek, z powinszowaniem, żem te miał odwiedziny, gdyż one poprzedzają zwykle przywołanie więźnia do komisyi śledczej.

Na drugi dzień rzeczywiście w nocy o 12. budzą mnie, każą się we frak ubierać, zawiązują oczy chustką, wyprowadzają mnie tak z więzienia i po wstąpieniu na jakieś schody, dostaliśmy się na dziedziniec, gdzie czekały jednokonne sanki, na które siadłszy z Głuchowem, zajechaliśmy do jakiegoś domu w obrębie fortecy będącego, gdzie się odbywały czynności śledczej komisyi.

Dlaczego w nocnych godzinach odbywały się te posiedzenia, tłómaczono podwójnie: raz, że nocne budzenie i chwytanie wię-

źniów, jak na pierwszem ocknieniu, lepiej służyć miało do wykrycia prawdy ich zeznań; drugie i to rzecz była prosta, że członkowie komisyi po największej części należący do wyższego towarzystwa, po teatrze lub wieczornych zabawach, znajdywali dla siebie tę porę najwłaściwszą do zajmywania się żmudną i nieraz nudną indagacyą.

Jakkolwiek było, opiszę tryb postępowania tych panów ze mną, wrażenia jakie na mnie sprawiły ich postacie i charaktery niektórych członków, porządek w jakim zasiadali.

Z zawiązanemi jak powiedziałem oczyma, przywiedziony do jakiegoś domu w towarzystwie strażnika mego i miejscowego żandarma, wprowadzony zostałem do obszernego przedpokoju i posadzony na stołku za parawanem. Izba ta, o ilem mógł dopatrzeć przez szczeliny parawana, podniósłszy nieco chustkę, napełnioną była tak zwanemi feldjegrami. Gdy na mnie przyszła kolej — dwóch takich panów, trzymając mię pod ręce, wprowadzili do rzęsisto oświeconej sali, której blask rzeczywiście olśnił wzrok mój, kiedy raptownie zdjęto zasłonę z mych oczu!

ROZDZIAŁ XI.

U długiego, ciemno-zielonem suknem przykrytego stołu, siedziało kilkunastu generałów adjutantów, z epoletami i akselbantami, czarną krepą pokrytymi, oraz obok prezesa z lewej strony, jakiś cywilny dygnitarz; po drugiej stronie z boku bliżej drzwi, znowu generał przy osobnym stoliku z dwoma świecami a naprzeciw przy drugim stoliku jakiś flügel adjutant, wszyscy w żałobnych oznakach po zmarłym cesarzu. W oczach więźnia cały ten aparat żałobny miał sroższą czynić fizjonomją tego trybunału nocnego, owe średniowieczne tajne Feh'm-Gerichty przypominającego.

Kiedym się po pierwszem olśnieniu wpatrzył nieco w to zgromadzenie, dostrzegłem, że prezesem tego trybunału był generarał feldzeugmeister Tatiszczew, race pure moskwicin, nie posiadający żadnego obcego języka; przy nim po prawej stronie Wielki książę Michał, brat cesarski, po lewej zaś stronie książę Mikołaj Galicyn, naczelnik poczt w cesarstwie,

członek rady państwa, stary libertyn, przebrany w pietystę wschodniej cerkwi; w obu rzędach panów inkwizytorów zasiadających przy stole, wypatrywałem znajomych z tej liczby, byli to generałowie adjutanty: Kotuzoff-Goleniszczew, gubernator petersburski, Benkendorf, później naczelnik żandarmeryi, Lewaszow, Potapoff i inni. Przy bocznym stoliku siedział graf Czernyszew, hrabia wtedy, później książę, sprawujący z nadzwyczaj służebną gorliwością urząd oskarzyciela rządowego. Naprzeciw siedział pułkownik Adlerberg, dziś generał i minister dworu.

Najpierw zabełkotał coś po rusku do mnie Czernyszew, gdy ja nie odpowiadając mu przemówiłem do Wielkiego księcia, który mnie poznał, te słowa:

„Chociaż język rosyjski posiadam nieco, wprzód nim odpowiem generałowi, upraszam waszą książęcą mość, aby mi wolno było tłómaczyć się po francusku, jako w języku bardziej mi znajomym, zwłaszcza kiedy idzie o sprawę, w której słowo źle umieszczone lub zrozumiane tak wielki wpływ mieć może na mój los następny.

Tu Wielki książę odgrywa rolę proszenia niby o to pozwolenie kolegów, zwłaszcza prezesa komisyi, poczem zezwala na francuską rozmowę. Czy ta moja śmiałość udania się wprost do księcia, czy lekceważenie i nie odpowiedź na pierwsze zapytanie Czernyszewa srodze go obraziło, słowem nie mógł mi tego darować i najzażartszym był mi wrogiem przez ciąg całego procesu. Chcąc atoli okazać, że dla niego język francuski na równi z ruskim, jął tłómaczyć improwizacyjnie punkta oskarzenia, na które miałem dać wyjaśnienia, lecz w jednem miejscu zaciął się i stanął...

Ja z tego korzystając (co nie było bardzo roztropnie) odezwałem się: „Niech pan generał czyta po rosyjsku, ja bardzo dobrze rozumiem, byle mi tylko wolno było po francusku odpowiadać.“

Tu miłość własna jego obrażona, wybuchła gwałtownie i rzecze do mnie w pasyi: „Waćpanu odpowiadać tylko a nie w rozmowę wdawać się tu wolno!“

Ja na to, co jeszcze nieroztropniej: „Ale na cóż mam odpowiadać, kiedy pytający milczy.“ Uśmiech tajemny obiegł po wszystkich twarzach, a zwłaszcza po fizyognomii otwartej W. księcia, a rozwścieklony Czernyszew dalej: „O, ta fantazya waćpana minie prędko, skoro się dowiesz, że my żadnych pism, żadnych

podpisów jego nie potrzebujemy, aby dojść przestępstw jego!“

Wtedy obracając się do Wielkiego księcia, mówię:

„Na cóż się mam tłómaczyć, kiedy pan generał, jeden z sędziów przedwcześnie zapowiada, że bez dowodów zwłaszcza pismiennych potrafi mnie znaleść winnym.“

Na to Wielki książę Michał odezwał się, a za nim chór dobrych, Kotuzoff, Lewaszow, Benkendorf powtórzyli: „Nie, nie myśl waćpan, że duchem tej komisyi jest wymyślanie winnych, owszem wszyscybyśmy radzi widzieć go niesłusznie w tę sprawę zamięszanego!“

Te życzliwe słowa znacznie mi interesa poprawiły i Czernyszew zamilkł, a ja w mych odpowiedziach byłem wstrzemięźliwszy. Kwestye, jakie mi rozmaici członkowie komisyi, podczas tego dwugodzinnego śledztwa zadawali, dostatecznie malowały ich charaktery; o dwóch tylko wspomnę.

Książę policmajster Galicyn, gdy w ciągu tłómaczeń się ze stosunków moich z skompromitowanymi wojskowymi, dodałem: „iż widywałem ich, jak się każde dobre towarzystwo widuje;“ spytał mnie:

„Qui entendez vous Monsieur, par bonne societé?“

Na to odparłem żywo: „L'assemblée d'hommes et de femmes, assis autour d'une tableronde, prenant leur thé et causant agréablement.“

Galicyn miał dużo rozumu i nie obraził się tą odpowiedzią jak Czernyszew, lecz chcąc mnie stropić, dodał: „Et dans cette agréable causerie, qui rencontrièz vous le plus souvent?“

„MMe Katagriwow, votre soeur, odrzekłem, (stara panna garbusik, osiadła w Kijowie na dewocyi), Me la grande Maîtresse Ctesse Branicka de Białocerkiew, sans parler de la maison du général en chef Rajewski.“

Galicyn zamilkł, ale Wielki książę odezwał się: „Nons avons des preuves de votre intimité dans cette dernière maison; pourriez vous nons expliquer les motifs de votre voyage et séjour en Crimée?“

Wiedziałem, że mieli w papierach moich list poufały Sergjusza Murawiewa, donoszący mi o zaręczynach Maryi Rajewskiej z Wołkońskim, odpowiedziałem więc: „Monseigneur, si j'ai encore quelques droits a être crû sur parole, j'ai l'honneur d'assurez V. Altesse Imperiale, que mon exil volontaire en Crimée n'etait

motivé, que par des affaires personneles de coeur et nullement de la compétence de cet Auguste Tribunal."

Na to Wielki książę Michał skłoniwszy się powiada: „Pardon de mon indiscrétion!" Moralnie więc zwyciężyłem już był komisyę, oprócz kilku zawziętych, a wiedziałem, że żadnych dowodów rzeczywistych zeznań złożyć mi nie potrafią, gdyż mój sekret zostawał tylko w duszy Atanazego Grodeckiego, a ta dusza niezłomna!

Tu pora wspomnieć o denuncyacyach nieszczęśliwego księcia Antoniego Jabłonowskiego z Annopola; mówię nieszczęśliwego, bo ten człowiek miał dobre serce i szlachetne dążności; świetne, ale nieugruntowane na zasadach religijnych wychowanie zagraniczne, zrobiło go pastwą zmysłów i namiętności własnych.

Przyzwyczajony do wygód i zbytków życia, uląkł się cierpień fizycznych, jakiemi go straszono! Ufał zrazu może zbytecznie w swój rozum, przeniósł później wielkie upokorzenia, ale w zeznaniach swoich nie mijał się z prawdą dla poprawienia osobistego położenia. Najpierwszym i najwyższym błędem Jabłonowskiego było ślepe zawierzenie w Pestela; jemu on dał wbrew ustawie towarzystwa własnoręczną spisaną z pamięci listę osób należących do związku patryotycznego polskiego. Pestel wymógł to na nim jako dowód, że oba związki wspólnie się porozumiawszy, wspólnie we właściwych sobie obrębach działać będą. Ta lista była u cesarza przez Pestela, jako własnoręczne pismo Jabłonowskiego oddana. Z niej jak z rejestru, więziono i przywożono kogo chciano, a to wszystko szło potem na karb nędznych wyznań Jabłonowskiego. *)

Ale wracam do świetnego trybunału komisyi śledczej. Po dwugodzinnem interrogatorium, tym samym trybem, z zawiązanemi oczyma, odprowadzono mnie do mojej klatki a jam się już cieszył, że przynajmniej proces już się zaczął. Jakoż we dni parę, przynoszą mi pakiet, gdzie było pytań komisyi *fracta pagina* na 16 arkuszach. Co za szczęście! jakie zatrudnienie! po sześcioniedzielnem zmuszonem próżniactwie!...

---

*) W kilkanaście lat później, za jego powrotem z Sybiru, byłem pierwszym ze skompromitowanych przez niego rodaków, który go w Kijowie spotkałem. Wierzyć oczom moim nie chciałem, kiedym go ujrzał w kościele modlącego się. Wyciągnąłem ku niemu rękę, którą on ścisnąć nie śmiał. „Comment, wyrzekł, vous ne me fachez pas, vous n'avez pas peur de moi." Ja mu odrzekłem: „Nie w tem przynajmniej miejscu, mogłeś się książę tego spodziewać?" Naznączywszy sobie czas swobodnego widzenia, słowa jakie od niego słyszałem o przejściach jego, mocno w pamięci zachowałem.

Poczciwy Głuchow przynosi mi pióra, atrament i pod liczbę chce mi dać 16 arkuszy białego papieru.*) Ja proszę o 20, raz, że mi się chciało spisać choć treściwie kopję moich odpowiedzi, powtóre pomyślałem sobie o nowym środku rozrywki w całodobowych nudach, wydzierając palcami różne rysunki z pozostałego papieru. Dowiedziawszy się od mego dozorcy, że on ma córkę posiadającą talent do rysunku, dla ujęcia ojca, wydzierałem dla niej mnóstwo figur lub zwierząt i wydoskonaliłem tym sposobem talent nie zwyczajny, który mi potem w życiu, wiele wielbicieli ale też i nieprzyjaciół przysporzył, jak wszystkie moje przymioty lub wady istotne, bo lada głupstwem ludzi zadziwić można, ale ująć i przekonać, to bywa trudniejsze.

Pomiędzy kwestyami była jedna dość ciekawa: Jaki wpływ moralny czy pieniężny, Anglia mieć mogła na stowarzyszenie patryotyczne polskie? (Wtedy już w roku 1826. nie bardzo wierzono w ścisłą przyjaźń Anglii.) —

*) Skoro dostałem trochę papieru, pomogłem sobie w industryi liczenia kroków, jakie dla ruchu codziennie w iluzyi spaceru po mojej ciupce czyniłem; miałem wzdłuż kroków 7 — a robiłem 2 wiorsty na dzień, to jest z górą 3.000 kroków, które zaginaniem papieru znaczyłem. Przy wodzie newskiej, grubym razowym chlebie i takim ruchu, doskonale zdrowie utrzymałem.

Każda prawie moja odpowiedź zaczynała się od sakramentalnego słowa: Nie wiem. Ale pozwalając sobie gdzieniegdzie własnych uwag, dodałem pod tym punktem: „Si je dois énoncer mon opinion privée, il me semble; que cette nation, ne prête son argent que sur b o n n e h y p o t h è q u e.“

Po kilku dniach upłynionych, budzą mnie o niezwykłej nocnej godzinie. Wchodzi adjutant komendanta twierdzy, oświadczając... że jestem wolny! Że generał Sukin, odebrawszy wieczorem rozkaz od cesarza wypuszczenia mnie z więzienia, nie chce ociągać i jedną chwilę wyjście moje i że prosi mnie do siebie na kolacyę. Przerażony prawie tak niespodzianą nowiną, proszę go, aby mi pozwolił przynajmniej przenocować w miejscu, że nie mając z sobą rzeczy moich, ani żadnego dowodu samoistności, oraz żadnego krewnego ani przyjaciela w Petersburgu, do którego bym stąd i o takiej godzinie mógł zawitać, mógłbym jeszcze być wziętym przez pierwszego policyanta za nocnego włóczęgę i zamiast w tej szlachetnej k o z i e przenocować na sieży (dom aresztu dla pospólstwa). Ale nie było rady. Generał kazał. Że też oni przyjemną nawet rzecz zwiastując, nie umieją tego inaczej

jak gwałtownie i po grubjańsku dopełnić! Wiezie mnie więc adjutant, bez zawiązania oczu tym razem do komendanta, który przyjmując mię w bardzo oświeconym salonie, już nie po rusku, ale najczyściejszą francuszczyzną, pali komplement o radości swojej z mojego uniewinnienia, a na czynione mu uwagi którem adjutantowi przedstawiał, powiedział mi, że on to już przewidział i w swoim domu apartament na tę noc przygotować dla mnie kazał.

Uledz musiałem takiej gościnności, ale uwierzyć może trudno, ile ta nagła zmiana położenia, jasność, wygody wszelkie, oddziałały na umysł mój, wzbudzając żal nad kolegami, których los mi nie wiadomy i jakiś rodzaj wstydu, żem wolny, kiedy tylu jeszcze cierpi! Wszystkie te uczucia sprawiły, że od mojego uwięzienia, pierwszą tę noc dopiero zupełnie bezsenną spędziłem, kiedy przeciwnie, na wiązce siana w grube płótno owiniętej służącej za poduszkę, a na końskiej derce zamiast prześcieradła, opierając nogi na zydlu, bo łóżko było za krótkie, w Nrze 12. wybornie chrapałem!

Nazajutrz komendant przyszedł mnie sam odwiedzić i wręczył dwa pisma; jedno arkuszowe: był to patent mojej niewinności, pod-

pisany przez wszystkich członków komisyi; drugie mniejsze, asygnacyą do komisaryatu sprzętów, gdzie były zatrzymane rzeczy moje i pieniądze. Żołnierz przyniósł oraz za nim, ogromny wór papierów u mnie zabranych, na którym były jeszcze ślady pieczęci rządowych. Komendant przydał mi je wręczając: „Voici vos papiers trouvés, inutiles désormais; vous aurez peut être assez de temés pendant votre séjour en ville, pour les mettre en ordre.“

ROZDZIAŁ XII.

Opatrzony więc w te dokumenta, mogłem się już przebrać do miasta, gdyż policya o mojem uwolnieniu była uprzedzona. Za najpierwszy uważałem obowiązek przedstawić się i podziękować Wielkiemu księciu Michałowi za protekcyą, którą mi wyraźnie okazał, broniąc od zawziętości Czernyszewa. Lecz że dla przedstawienia się temu panu, potrzeba było munduru obywatelskiego, a mundur obywatelski kijowski był szkaradny, *) kazałem sobie naprędce uszyć mundur gubernii taurydzkiej, posiadając wtedy majątek w Krymie. Wspominam tę okoliczność, ażeby oddać charakterystykę dziwaczno-dziecinną księcia i człowieka, który wszakże chwila co, tak ludzko i delikatnie ze mną postąpił a który i potem, chociaż wydało mu się, że miał powód nieukontentowania do mnie, nigdy mi w niczem nie szkodził.

*) W Rosyi, obywatelskie mundury były odmienne w każdej prowincyi. Kijowska miała mundur zielony z jasno niebieskim a wyłogi pomarańczowe. Krymska zaś, nierównie mniej krzyczący bo zielony z czarnym, wypustka pąsowa.

Gdym wszedł i moją wdzięczność wyraził, odparł żywo: „Vous etiez innocent, cela vous etait dû.“

Potem m a n j ą kapralską ogarniony, opatrując mój mundur, kazał mi się na wszystkie strony przedstawiać, mówiąc: „Quel diable d'uniforme avez vous la?“

„Gubernii taurydzkiej“, odrzekłem.

„Le croiriez vous, je ne l'avais jamais vû? on vous prendrait pour un médecin de regiment il est vraiment drôle; tournez vous donc encore!“ i tak się z dziesięć minut tem bawił.

Przeczekawszy ten paroksyzm, proszę go, abym za wynagrodzenie niewinnie poniesionej krzywdy, mógł otrzymać audjencyę u najjaśniejszego pana.

„To jest słuszne, odrzekł, sam o tem z bratem pomówię i każę cię uwiadomić przez dawno ci znajomego adjutanta mego, Bibikowa.“

Skłoniłem się na to pokornie, a on żegnając mnie, wyrzekł jeszcze: „Cieszę się, winszuję.“

Nie zdaje mi się, abym w ciągu tych pamiątek osobistą jakąś niechęć lub stronność ku Moskalom okazywał; owszem, gdzie tylko mogłem, oddawałem im chętnie sprawiedliwość.

Dla jednych wielki miałem szacunek, do niektórych wielki nawet pociąg; ale napotykałem i takich, których fizyologiczny rozbiór prawdziwie ciekawem i nauczającem może być zadaniem? okazując, co może wywrzeć źle zaszczepiona cywilizacya zewnętrzna a obumarła w duchu, ile okazała w formach religia, na normandzko-mongolsko-słowiańskiej dziczce?

Typem takich ludzi byli dwaj bracia, Dmitry i Ilja Bibikowie, wielką odgrywający później rolę w nieszczęśliwych naszych prowincyach za długoletniego panowania Mikołaja.

O pierwszym przyszłoby z kolei cały tom napisać, kiedy on przez lat 14 użyty był do niszczenia u nas wszelkiej narodowej żywotności, jako generał-gubernator trzech gubernii, kijowskiej, wołyńskiej i podolskiej. Drugi, którego tu wspominam, mniej dziwną po sobie zostawił reputacyę, ale miał równie dobry zasób bezczelnej tatarskiej chytrości i kłamstwa!

Gdy wielki książę oświadczył, że mnie każe zawiadomić o dniu audjencyi uzyskanej u cesarza, przez d o b r e g o d a w n i e j z n a j o m e g o, postanowiłem uprzedzić wizytę Eljasza Bibikowa i udałem się do niego. Znałem go istotnie jeszcze pułkownikiem, przysłanym do

Kijowa na śledztwo w jakiejś sprawie tamecznego arsenału. Był to, co zowią un bon vivant, karciarz namiętny. Przyjmowałem go nieraz na obiadach i widziałem, że był w bardzo ścisłych stosunkach tak z Michałem Orłowem, jako też z Wołkońskim, Murawiewem i Bestużewem i innymi członkami później odkrytego spisku; powiadają z pewnością, że doń należał a przynajmniej o nim wiedział. Sposób zaś, w jaki się z niego wycofał, przypisać należy jedynie wielkiej szlachetności księcia przy którym służył. Zaręczono mię bowiem w sto licy, że po 14. Decemb. i aresztowaniu Pestela, Bibików przychodzi do swego księcia i składa mu szpadę, mówiąc z wyrazem skruszenia: „Niegodnym jestem ją dalej nosić, służyłem przy waszej książęcej mości, wiedziałem o spisku, w części należałem do niego; nie odważyłem się o nim donieść...“

Na co książę, nie przyjmując składanej mu szpady, miał mu rzec:

„Tak długo przy mnie służysz i jeszcze nie wiesz, że niczem się tak nie brzydzę jak kłamstwem. Nie wiedziałeś o spisku, nie należałeś do niego, rozumiesz? proszę drugi raz z takiemi pomysłami do mnie nie przychodzić.“

Nie dał sobie tego drugi raz powtórzyć zacny Ilja i tak dobrze o wszystkiem zapomniał, że kiedym do niego przyszedł, tak był rolą swoją przejęty (zapewne przez uszanowanie woli księcia), że chociaż byliśmy sam na sam, on do mnie:

„Comment diable êtes vous tombé dans cette bagarre, cher Ami? vous rappellez vous donc combien nous nous moquions à Kief de ces insensés?

Spojrzałem na niego... i rzekłem:

„C'est bien que nous sommes seuls; nous pouvons nous le certifier l'un à l'autre.“ Nie wiem czy nie chciał mię zrozumieć, ale rozmowa o czem innem nastąpiła.

W tydzień po wypuszczeniu mię z więzienia, przedstawiałem się na publicznej audjèncyi najjaśniejszemu panu, cesarzowi Mikołajowi w pałacu tak zwanym zimowym, przy czem kilka zabawnych epizodów się wydarzyło.

Nasamprzód przytrafiło mi się widzieć Jowisza bez gromu i błyskawic na tym Olimpie a to z następującego wypadku:

Niezwykłą dworską jakąś pomyłką, zgromadzono nas do jednej z sal pałacu, która nie nam przeznaczoną była; spostrzega się w tem jakiś szambelan, wpada zadyszany i prosi

abyśmy za nim szli prędzej tajnym, ciemnym korytarzem, by przed wejściem cesarza jeszcze zdążyć i stanąć we właściwej do przyjęcia sali. Kłusujemy więc ordynkiem parami za przewódcą naszym przez oświecony lampami labirynt. Do tego korytarza wiodły z boku jakieś schody od pokoi cesarskich. W chwili właśnie, kiedy nasza para te schody mijała, cesarz z Wielkim księciem Michałem, niespodziewając się kogobądź w tym przesmyku napotkać, oba jak dwa studenty, trzymając się pod ręce, z chustek do nosa zrobiwszy sobie fartuszki dla ochrony białych inekspresyblów, śmiejąc się, zeskakiwali o jednej nodze na stopnie schodów.

Lecz gdy nas spostrzegli, cesarz stanął; i wiedziałem jak z dopiero co najweselszego i przyjemnego oblicza, w okamgnieniu utworzyła się groźna, przerażająca samowładcy postać.

Nieradbym był znajdować się w skórze tego szambelana, pomyślałem sobie wtedy!

Tego dnia przedstawiało się cesarzowi kilku senatorów, a między innemi rodak nasz senator August Gliński z Romanowa, kilku przybyłych z prowincyi generałów, szambelanów i nowo mianowanych kamerjunkrów. Wszy-

stko to świeciło haftami od złota; ja jeden w obywatelskim mundurze, który Wielki książę nazwał cyrulikowskim, bez haftu, bez czynu i żadnej orderowej błyskotki, trzymałem się zdala od tych świetnych panów i stanąłem jak to mówią na szarym końcu.

Wszedł cesarz — po przemówieniu parę słów do Ilińskiego i do kilku innych, minął resztę i wprost do mnie, stojącego na ostatku a z uśmiechem, który surową zwykle twarz jego wdzięcznie uprzyjemnił, rzekł po francusku:

„Voila comme nous devions faire connaissance; vous pouvez être sûr Mr. le Comte que je ne vous garde ancun mauvais souvenir — dans mon coeur.“

Ukłoniłem się nisko. Cesarz w powrotnym pochodzie, cisnąwszy tam i owdzie kilka słów po moskiewsku do w szeregu stojących, jako to: „Zdarów?“ „Dawno li?“ „Dołgo prabudziesz?“ skłonił się i wyszedł a za nim jego dwór.

Tu dopiero okazuje się znajomość nieznajomych!... ten do mnie przystępuje, ten mnie gdzieś widział... ten zaręcza, że dawno o mnie słyszał!! Taką zmianę jedno łaskawe słowo pana na umyśle i wzroku tej złocisto orderowej tłuszczy sprawiło! Dwóch generał adju-

tantów najzabawniejszym sposobem wyrazili mi radość swoją... z wydarzonego mi szczęścia. Jeden, Mikołaj Dymidów, którego dawniej poznałem w Marienbadzie, przystępując do mnie rzecze: „Nie uwierzysz jakem się ucieszył, dowiedziawszy się w Kijowie, że cię już powieziono do Petersburga, bo ten smutny komis miał być przezemnie spełniony, a jakże by mi to było bolesnem!“ Drugi, Martynow, co nas inspektował w fortecy, wskazując mię palcem, pytającym go oznajmił z pewnem zadowoleniem miłości własnej: *„Eto adin iz maich!“* (oto jeden z moich) przez co wszystkich uwiadomić raczył, że dopiero co wyszedłem z kozy!

Z kolei, przedstawiałem się cesarzowej matce Maryi Fedorównie, cesarzowej panującej, Wielkiej księżnie Helenie, żonie Wielkiego księcia Michała. Pierwsza, wiedząc żem z Kijowa, nie pytała jeno o zdrowie hetmanowej Branickiej i czym dawno ją widział? Druga, którą tak świetnie piękną lat kilka wprzódy widziałem 1818 r. w dzień jej zaślubin, jakże mi się zmienioną wydała i przelęknioną wybuchem rewolucyi 14. Decembra; dostała drząyczki nerwowej w głowie i nie mogła z wielką uprzejmością patrzeć na jednego z tych, co był oskarżony o uczestnictwo w tej zbrodni! ledwie też kilka obojętnych słów przemówiła i z tru-

dnością zdawała się obchodzić koło przedstających się jej osób — któżby mógł się spodziewać, że ta schorzała kobieta przeżyje lwa swojego?

Trzecia, Wielka księżna Michałowa, księżniczka wirtembergska, o ile była uprzejmą i zajmującą w prywatnych posiedzeniach, o tyle uciążliwą i nieraz ambarasującą w publicznych przyjęciach; zadawała albowiem pytania, na które nie jeden nie mógł, a nie jeden nie chciał, przy tylu odpowiadać świadkach. Podczas mego przedstawiania się, jakiś generał inżynieryi mocno się pocił, tłómacząc jej różnicę planu fortyfikacyi Kijowa a Dynaburskiej twierdzy; a i mnie nie łatwo przyszło odpowiedzieć na zapytanie księżny: Jakie w Kijowie pozostały ślady historyczne dwóch narodowości, rosyjskiej i polskiej? oraz czyja to wola silniejsza od cesarskiej, nie obrała Kijowa za pobyt mieszkalny dla cesarzowej Elżbiety (jak sobie tego życzyła) zamiast Taganrogu?“ „Nous n'aurions peut être pas notre terrible malheur á deplorir!“ czyniąc aluzyę do Taganrogu, w którym umarł cesarz Aleksander i gdzie z porady Arakczejawa cesarzowa Elżbieta zmuszoną była zimowe obrać sobie mieszkanie.

ROZDZIAŁ XIII.

Pobyt mój kilkotygodniowy w stolicy nie zawierał już w sobie nic osobiście szczególnego; wyjazd mój tylko i dalsze towarzyszące mu wypadki, zajmą z porządku właściwe im miejsce.

Nie wdam się w opisanie miasta, które przy wszystkich nagromadzonych rozmaitych bogactwach i grabieżach, będzie zawsze w oczach myślącego człowieka smutnym popisem despotyzmu, chcącego szpetną srogością swoją, walczyć ze srogością biegunowego klimatu?

Jako historyczne i ciekawe widowisko zanotować tu muszę obrzęd pogrzebu cara rosyjskiego, który się podczas mojego w stolicy pobytu odbywał. Zwłoki zmarłego prowadzono od rogatki Gatczyńskiej, a na ich spotkanie wyjechali cesarz panujący, matka jego, Wielki książę Michał z żoną i wszyscy będący w stolicy generałowie i flügel adjutanci nieboszczyka. Strzały armatnie w wielkich przestankach z wa-

łów fortecy oznajmiały postęp konduktu do cerkwi kazańskiej na Newskim Prospekcie, gdzie dwutygodniowa miała być tych zwłok ekspozycya, nie dla ludu, ale tylko dla czterech pierwszych klas, to jest tych, co czyn mieli, czyli stopień generalski. Rozmachanie się też dzwonów całego miasta było niepospolite. Dekoracya obrzędu wspaniała, zaprzeczyć temu nie można. Różnobarwne chorągwie państw czyli carstw składających imperyum, potem cechów rozmaitych, postępowały przeplatane wojskiem z muzyką żałobną.

Dwóch rycerzy, jeden życia na białym koniu, w złotej zbroi z przyłbicą i mieczem nagim do góry wzniesionym, drugi śmierci na czarnym koniu z przyłbicą i mieczem spuszczonym (zapewne jako symbola starego wykrzyku francuskiego: Le Roi est mort, vive le Roi!) wszystko to z batalionem popów, opatów, biskupów prawosławnych, na czele których szedł ostatni i sam petersburski metropolita wyprzedzało karawan. Na wozie żałobnym przy odkrytej z wieka trumnie, stali generał i flügel adjutanci, co towarzyszyli cesarzowi w ostatniej nieszczęsnej podróży.

Za trumną w pewnej odległości szedł naprzód cesarz sam z odkrytą głową, mając

kirem ramię, szpadę i kapelusz przewiązane. Po nim w najgrubszej żałobie matka, między Wielkim księciem Michałem i jego żoną, paziowie niosąc długie ogony ich szat. Za niemi dwór żeński, potem Sowiet czyli rada państwa, senat i inni dygnitarze. Kończył się kondukt, rotą gwardyi, ulubioną cesarza nieboszczyka, pułkiem piechoty z bronią spuszczoną i sztandarem kirem przewiązanym, a rozciągał się ogólnie prawie na wiorstę.

W cerkwi Kazańskiej przygotowany był architektoniczny katafalk niezmiernie wysoki z gradusami, na których dzień i noc przez dwa tygodnie paliły się niezliczone jarzące światła a w kandelabrach na każdym gradusie jakby wiązki aromatycznych pochodni.

U stopni stało na warcie, zmieniając się co parę godzin czterech grenadjerów Preobrażeńskiego pułku ze spiczastemi pozłacanemi bermicami na kształt infuł biskupich. Na pierwszym gradusie czterech adjutantów cesarskich niższych stopni, na drugim czterech pułkowników a na trzecim już przy zwłokach, czterech generał adjutantów.

Trumna była odkryta; z pod złotolitej opony wychodziła i spoczywała na poduszce głowa Aleksandra, której rysów, w dole stoją-

cym nie było widać dla wysokości naprzód, a potem dla ciemnoty wewnętrznej kościoła, tudzież dymu kadzideł i pochodni. Twarz wszakże wydała się nam bardzo zczerniała jako człowieka, co z zapalnej mózgowej umarł choroby, ale o tem dużo, czy słusznie lub nie mówiono, ma się rozumieć do ucha.

Tylko cztery pierwsze klasy przypuszczone były do odwiedzania tych zwłok najwyższych! (jak się wyrażał jeden czynownik). Ja miałem piątą czyli rangę radcy stanu o jedną klasę mniej, jakiej było potrzeba do prawego wejścia; byłbym się o to nie kusił, gdyby nie siostra moja, bawiąca na ten czas w Petersburgu, której zachciało się tego pobożno-smutnego widowiska. Że w Rosyi na wszystko jest rada, potrafiliśmy otrzymać bilet do wstępu, a dość było dodać sobie szerokie białe do sukień lampasy, żeby ujść za generalską familię. Tak wprowadziłem siostrę i jej towarzyszkę i obchodząc w około katafalk, przykrego doznaliśmy wrażenia, że w domu Bożym, wobec prochów tak niedawno jeszcze potężnego władcy europejskiego, najmniejszego nie doznawałem religijnego zachwytu! Bo też ani głosu kapłana czytającego modły kościelne, ani smutnej i rzewnej kantaty, ani płaczu lub

modlitwy cichej jakiej sieroty!... Nic tylko dym jałowcowy, warta zmieniająca się przy trupie i szmer włóczących i rozmawiających ciekawych!

Była to wystawa jakiejś wysoce drogiej kaziennej rzeczy, ściśle pilnowanej przez wojskowych różnych stopni, którą mieli potem zdjąć z widoku i schować do lochów fortecznych, jak owe sztaby złota i srebra, które także z pewnemi ceremoniami okazują niektórym wybranym, wprzód nim je do skarbu złożą, na dowód, że jest hypoteka na wypuszczane w kurs bilety bankowe. Nie przystąpiła tam ani myśl o nieśmiertelnej duszy i przejścia jej do wieczności!

Pobyt mój w Petersburgu przedłużyłem o kilka tygodni, czekając rozwiązania sprawy, w której tylu znajomych moich i przyjaciół zamięszanych było, ale gdy się na prędki koniec nie zanosiło, postanowiłem wyjechać już do domu, dla ułożenia na miejscu owych papierów przy rewizyi zabranych, a które mi komisya w korcowym worku zwróciła. Nie mogłem je w Petersburgu układać, bo to był zbiór różnorodny, zachwyconych z kilku miejsc papierów prawnych, ekonomicznych i literackich. W planie moim było udać się potem

do Krymu, gdzie w obec tak pięknej przyrody, tego wspaniałego morza, łatwiej może było o stratach i żalach zapomnieć! inaczej się jednak stało, jak się też opowie.

Koniec śledztwa i sąd polityczny w sprawie cesarstwa nastąpił dopiero w pół roku po wyjściu mojem z więzienia. Z dzienników ówczesnych wiadomo, wiele i komu śmierć haniebna, komu śmierć cywilna, czyli ciężkie roboty w kopalniach Sybiru naznaczono! kto na wygnanie do bliższych syberyjskich gubernii a kto na areszt domowy i nadzór policyi skazanym został. Dodam, że kara śmierci jawnej, będąc jakoby w prawie rosyjskiem czyli nezereżdżeniu Katarzyny skasowaną, Cesarz Mikołaj dla przywrócenia jej w sprawie o zbrodnią stanu, zwołał nadzwyczajny krajowy sąd (gatunek *Lit de justice*), któremu wszakże sam nie przewodniczył. Ten sąd składał się nietylko z trzech najgłówniejszych magistratur imperyi, to jest synodu, rady państwa i senatu, ale i z powołanych do niego wszystkich *en disponibilité* starych generałów*) broni, lub urzędników

*) W liczbie powołanych generałów znajdował się przeżyty już Francuz, hrabia de Langeron, sławny ze swoich dystrakcyi. Ostry to był człowiek, a może w swoim czasie mężny oficer, ale jak każdy cudzoziemiec co się własnej wyrzekł ojczyzny, dla za-

cywilnych równego stopnia. Ci to ojcowie ojczyzny, wywołali na ten raz szubienicę, a że kaci miejscowi do knutowej tylko kary wprawni, powrozu od lat kilkudziesięciu nie używali, kata wieszającego sprowadzić musiano z Finlandyi.

Tak się zakończyła ta straszna polityczna tragedya! Wiele rodzin w stolicy i po kraju ciężką okryte zostało żałobą! Kobiety rosyjskie ogólnie piękną odegrały rolę, wiernych aż do największego poświęcenia małżonek! Damy najpierwszego rodu, jako to: żona Sergjusza Trubeckiego (hrabianka Laval), żona Nikity Murawiewa, hrabianka Czernyszew, Marya Rajewska, żona Sergjusza Wołkońskiego, porzuciwszy syna, którego jedynie kochała, wszystkie powlokły się do Nerczyńska, pomimo próśb familii i groźb niby łaskawszego na nie

robku lub karyery w obcej, dla obydwóch obojętnym zostaje! Podczas długiego wywodu sprawy w komisyi, zamyślał się o czem innem, a gdy sekretarz z kolei przyszedł do niego pytać o zdanie, Langeron, jakby nagle zbudzony pyta go również: „Qu' as ton decidè?“ Sekretarz przedkłada, że jedni za odjęciem praw cywilnych i wiecznem zesłaniem do ciężkich robót opinjują; drudzy, chcą pięciu główniejszych spiskowych powiesić. Na te słowa, Francuz jakby oburzony, uderza pięścią w stół i powtarza zwolna słowa: „Powiesit! Comment? powiesit?“ Wszyscy zdziwieni czekają jakiejś energicznej protestacyi, gdy po chwili zadumania, on przybrany Pater Patriae kiwnąwszy ręką, wyrzekł po francusku: „Ma foi, powiesit!“

rządu! Wszystkie wiedząc, że je czeka podział losu ich mężów, to jest taczkowa robota i siermięga niewoli! Opatrzność zrządziła że na tym krańcu świata, komendantem kopalni był Polak, generał Leparski, dobry i poczciwy człowiek, który im wiele chwil przykrych ułatwił i złagodził!

Obok cudnego poświęcenia kobiet, jakiż wstrętny był widok podłości mężczyzn! Nie jedni pozostali bracia lub krewni zesłanych na wieczne wygnanie ofiar, popisywali się wiernością swoją dla cara, szukając chluby z lada wstążeczki lub haftu do służebnej liberyi dodanego, a znałem niestety ojca, co trzech synów w tej sprawie stracił... człowieka skądinąd mającego światło i rozum, który na cześć nieboszczyków napisał wierszami bajeczkę, o trzech posadzonych laurach, co mu burza złamała, ale jako senator moskiewski i za pieniądze cara Mikołaja długo po Włoszech podróżował.

Do jakiego upadku duszy złocista niewola samowładztwa nie doprowadza ludzi? Wam wrogom dotąd na ziemi, ale braci w duchu wyższej chrześciańskiej oświaty, oby się ta uwaga choć w trzeciem pokoleniu na co bądź przydała!

ROZDZIAŁ XIV.

Opuszczając Petersburg, chciałem też zwiedzić i Moskwę, dokądbym od siebie z dobrej woli, nigdy się podobno nie wybrał. Lecz że romansowe usposobienie serca wzmacniać się zdawało przez nowe ofiary Maryi, która postanowiła los męża swego, choćby najgorszy podzielać, uczułem potrzebę oddania się dobrowolnemu pustelnictwu. Zamiarem moim było, po urządzeniu w domu gwałtowniejszych interesów, udać się powrotnie na mieszkanie do mojej posiadłości krymskiej. Żeby wszakże pożyteczną pracą umysł zająć i nie dać mu zdziczeć, postanowiłem wziąść z sobą z Petersburga jakiego Anglika, species sekretarza i towarzysza podróży, aby z nim nauczyć się jego języka. Udałem się w tym przedmiocie do dobrej znajomej a doskonale ten język posiadającej księżny Izabelli Gagarynowej, Walewskiej z domu, aby mi takowe indywidyum nastręczyć raczyła. Po kilku dniach jawi mi się dość młody i przystojny człowiek z kartą od księżny

niejaki P. Knight, ochoczy do podróży, prędko przystaje na wszystkie warunki układu naszego; prosi tylko o kilka dni czasu dla opatrzenia się w paszport i uregulowania interesów swoich w mieście. Zadowolony z dostania Anglika, którego najpierwej same nazwisko już było lekcją, gdyż Knight, należy czytać Najt, jadę nareszcie z nim do Moskwy. W pobliżu Wyszniego-Wołoczba, spotykam się z W. księciem Michałem, który tam jakąś rewję odbywał, jadącym także do Moskwy.

Oczywiście, zatrzymuje się mój powóz gdy nas wymijał i ukłon mu oddajemy. Była to nieszczęśliwa uprzejmość, jak się potem pokazało.

Wielki książe miał trzy dni zabawić w tej stolicy; przybywszy tam na drugi dzień, idę zaraz do adjutanta jego Bibikowa, pytać go czy nie wypada mi złożyć mego uszanowania Jego Wysokości, dla której mam tyle obowiązków wdzięczności?

„Ani się waż pokażać; odrzekł Bibików, bardzo na ciebie książe rozgniewany! Spotkał cię jadącego z Aleksandrem Zawadowskim, którego cierpieć nie może, i zaraz powiedział mi.“ ‚Mon frère Constantin a eu raison de m'écrire que nous sommes trop hâtés avec l'elargissement d'Olizar; voyez avec qui il voyage!“ „Powtóre jakieś nowe relacje z Warszawy na ciebie przyszły; siedź więc najspokojniej, a co prędzej wyjeżdżaj z Moskwy“.

Ja zaś tłómaczę mu wtedy, że ów mniemany Zawadowski jest to Anglik, którego biorę z sobą do Krymu (a rzeczywiście był nadzwyczajnie do tamtego podobny) i proszę go aby o mojej niewinności raczył księciu przynajmniej nadmienić. — Musiał to uczynić, bo w późniejszych czasach miałem W. księcia Michała zawsze na siebie łaskawego.

Wyjeżdżając z Petersburga, a wiedząc że żona więzionego jeszcze Michała Orłowa (a córka starsza generała Rajewskiego) w Moskwie się znajdowała i że mógłbym jej ustne pewniejsze o losie męża przywieść wiadomości, poszedłem do brata jej męża hrabiego Alekseja Orłowa, który odznaczył się wiernością swoją dla cara i wielkiej zaczynał używać wziętości.

Przyjął mnie uprzejmie i zlecił zaspokoić bratowę względem losu jej męża, nad którym on czuwał. — „Dites lui, dodał, que son mari n'a plus a s'attendre a une carriére, mais qu'il ne sera pas dumoins traitté avec les autres en Siberie!“

Postanowiłem więc ustne zlecenie hr. Aleksego oddać jego bratowej, wieczór u niej przepędzić a nazajutrz wyjechać z miasta. Lecz tam nowy spotyka mnie kłopot: gdy opowiadam niefortunne spotkanie, nieszczęśliwe podobieństwo mego Anglika z Zawadowskim, ile mnie to zaszkodziło w mniemaniu W. księcia, Pani Orłowa rozpytuje o tego Knighta, a na odpowiedzi moje, rzecze: „l'est le même, il a servi comme domestique chez un comte Orłoff de ma connaissance et je vous dirai même qu'on s'est mal separé et que de graves soupçons ont plane sur lui; a l'occasion de la disparition de certains diamants!... Soyez sur vos gardes! a ja właśnie miałem na 300.000 rubli klejnotów w szkatułce, które księżna Jussupoff przesyłała przezemnie siostrze swojej, hrabinie Branickiej!

Wielki mnie strach ogarnął; wracam co prędzej do mieszkania, zazieram naprzód do szkatuły... klejnoty są! ale po chwili namysłu miarkuję, że lepiej tu rozstać się z moim nauczycielem. — Przywołuję go i delikatnie mu tłómaczę co mi o jego przeszłości powiedziano.

Na to, potoczyły mu się łzy z oczu. — „Nie, odparł, kto powiedział, żem lokajował

ten skłamał; byłem jak wiele cudzoziemców, ofiarą złej wiary — w moim kraju byłem artystą dramatycznym, posiadam talent do deklamacji. Sprowadzono mnie jako nauczyciela języka mego za przyzwoitą, może nawet za wielką pensją. Rzuciłem mój zawód, szukając lepszego losu; ale zamiast chłopaczków do nauki, dają mi dzieci maleńkie, abym był ich piastunem! Przyjąłem i to ale widząc dalej, że zeszedłszy z nauczyciela na piastuna, mógłbym wkrótce zejść i na niższą służbę, za pierwszym niewłaściwym otrzymanym rozkazem, wymówiłem obowiązek nie zgadzający się z godnością moją.

Mogła to być prawda; wszelako po dwóch doznanych nieprzyjemnościach, zraziłem się do Knighta i wynagrodziwszy go uczciwie, odesłałem do Petersburga. Na tej błachej okoliczności spełzła projektowana angielszczyzna moja! Nie los przeto oskarzam o to bynajmniej, ale gnusność woli mojej, która jak we mnie tak podobno u wielu innych, jest zawsze przyczyną nie osiągnienia dobrych celów!

Usłuchawszy rady Bibikowa, wyjechałem nazajutrz z Moskwy — worek, ów sławny worek papierów, oddany mi przez komisję śledczą jechał ze mną przywiązany pod kozłem stan-

greta. Niestety, rzeczony wór, między Tułą a Orłem oderwał się w nocy przy stuknięciu powozu, na jakimś wyboju znużony snem, dopiero w Orle opatrzyłem się, że worek zgubiony, a że w liczbie tych papierów zajrzałem był korespondencję moję z Felińskim, o którą dbałem, daje pismienne upoważnienie smotrytelowi stacji pocztowej w Orle, ażeby do zażądania mojego z Kijowa, zachował ten worek u siebie jeśliby go pocztylion odszukał.

Ani mi w głowie postać nie mogło, aby ten zgubiony sprzęt mógł być przyczyną powtórnego mego uwięzienia i dalszych prześladowań siedm lat z górą trwających!

Na nieszczęście, wór ten znajduje, nie nie pocztyljon ale prosty jakiś mużyk; szukakając w nim pieniędzy, padł na błyszczące różne massońskie oznaki; biorąc to za jakąś kazienną własność, nie zatrzymał jej ale oddał sprawnikowi, który przy raporcie odesłał wór do gubernatora. Gubernator wyczytawszy w patentach massońskich imię moje a z nie oderwanej dziwnym trafem pieczęci komisji śledczej wnioskując, żem był do niej powołany, wyprawia znowu przy raporcie nieszczęśliwy *corpus delicti* do tejże komisyi do Petersburga.

Zbierała się więc nowa nademną prześladowań chmurka, o której nic nie wiedziałem, a zabawiwszy dni kilka w Kijowie, dążyłem do domu, aby obecnością moją pocieszyć niektórych przyjaciół i sług wiernych. Spieszyłem też i do mego kościoła, do poczciwego proboszcza i do godnego domowego doktora, bo rad byłem dłużej trochę z niemi pobyć, wybierając się na powtórne do Krymu pustelnictwo.

ROZDZIAŁ XV.

Ledwie dwa upłynęło tygodnie, gdy odbieram sztafetę od kijowskiego gubernatora, znanego już Kowalewa, wzywającego, abym natychmiast do niego przyjechał, skorom mu się pokazał, poczciwy ten człowiek powitał mnie słowy:

„Liubiczniejszy Graf! nowoje nesczastje! Cóż takiego? pytam —

„Kazali mnie sprowadzić Pana do Kijowa, trzymać go w mieście i mieć na oku do dalszego rozporządzenia, stosownie do rozkazów jakie odbiorę od w. księcia Konstantego z Warszawy? ale to się zapewnie wkrótce wyjaśni, dodał, w poczciwej chęci pocieszenia.

Nowy ten areszt był mi przykrym, ale się go n[illegible] obawiałem, nie mogąc domyślać się, iż on nastąpił w. skutek reklamacji zamkniętego już śledczego komitetu Petersburskiego do działającej jeszcze komisyi Warszawskiej.

Towarzyszami tego miejskiego aresztu miałem kilka znaczniejszych obywateli, między

innemi hr. Piotra Potockiego, starostę Szczerzeckiego, Franciszka Charlęskiego byłego kijowskiego prezesa Izby kryminalnej i Stanisława Fedorowicza, właściciela dobrej szlacheckiej wioski, bardzo powszechnie lubionego i uchodzącego za bardzo biegłego lekarza z miłośnictwa; chociaż nie patentowany ale odbywszy medyczne akademickie kursa w Wilnie, które to amatorstwo słono urzędowi medycznemu nieraz opłacać musiał.

Dlaczego nas w Kijowie trzymano i z czyjego rozkazu? było to dla wszystkich zagadką, najpodobniej wszakże, że czyjekolwiek wymówione imie w śledztwie Petersburskiem lub Warszawskiem, dostatecznym było powodem do zatrzymania tej osoby, aby ją mieć pod ręką.

Potocki miał już wtenczas z górą lat 80; energja tego charakteru połączona z pewną arystokratyczną dumą d a w n e g o a u t o r a m e n t u, niewypowiedzianie była znakomitą; nie zapominał on nigdy, że był Piławą, że z prymasowskiej linji, że był posłem Rzeczypospolitej w Stambule, a później przez lat wiele kijowskim, guberskim marszałkiem.

Urzędowanie jego nie tyle było może korzystnem, ile godnem; nadto z pańska traktował rzeczy a zwłaszcza moskiewskich urzędni-

ków, co mu wiele nieprzyjaciół osobistych w tej klasie przysporzyło. Miał przy sobie sekretarza, Włocha rodem, człowieka sposobnego ale zjadliwego. On to w redagowaniu pism rosyjskich, które Potocki nie rozumiejąc dobrze, z zaufaniem podpisywał, nie jedną mu złą przysługę w oczach wyższego rządu oddał, nawet za czasu cesarza Aleksandra.

Areszt nasz kijowski był tylko na słowo, a więc lekki; mogliśmy między sobą i ze wszystkiemi obcować, a że staruszek Potocki był trochę niezdrów i bardzo samotny, miło mi było go pielęgnować. W chwilach poufnej rozmowy opowiadał mi dzieje przeszłości, smutne położenie swoje jako ambasadora rzeczypospolitej przy Wielkiej Porcie za panowania tak niedołężnego króla!

Wyrzucał Stanisławowi Małachowskiemu, który go przekreskował na wyborze marszałka Wielkiego Sejmu, że się źle znalazł, gdy król przystąpił do Targowicy. „Ja bym w tym razie, mówił, ogłosił bezkrólewie, a naród pierwszemu dzielniejszemu mógł był jeszcze powierzyć losy dalszego bytu swojego!“

Nie badano nas o nic; byliśmy tylko jak jeden z nas się wyraził: „en disponibilité de pendaison!“

Potockiego raz jednak pytano na żądanie komisyi warszawskiej, czy co wiedział o związku patryotycznym i jego celach? Odpowiedział naturalnie *negative*; lecz jak doszła do niego wiadomość, że Jabłonowski plącze się w zeznaniach i wszystkich weń wikła, rozgniewany staruszek chcąc skarcić delatora, napisał mimo usilnych próśb naszych, osobne pismo do gubernatora, podnosząc, że mu Jabłonowski o jakichś swoich projektach gadał, że on surowo go za nie zgromił, aby poczciwych ludzi nie bałamucił.

Kowalew mówiłem, był dobry człowiek, udało się nam więc ten kaprys starca nieszkodliwym dla niego uczynić. Wkrótce też potem wypuszczony został z Kijowa i wróciwszy do rezydencyi swojej wiejskiej w Biłołówce, niebawem życia dokonał, powtarzając ciągle: „Ils sont tellement voleurs, qu'ils ont réussi a me voler encore un dernier printemps, que le bon Dieu voulait bien m'accorder!“

Rodzina Charlęskiego, równie ze mną aresztowanego, bardzo mnie także obchodziła; ożeniony był z Grocholską, siostrą Adolfa i Ignacego, (co miał ów nieszczęsny pojedynek z księciem Edwardem Lubomirskim, w którym ten ostatni zginął); panna była posażna, z twa-

rzy piękną ale ułomna; w poważnym była stanie, kiedy jej męża do Kijowa sprowadzono, napisała testament na przypadek nieszczęśliwego rozwiązania, którego miała powód się obawiać i ten mi powierzyła prosząc, abym w potrzebie, ostatniej jej woli był wykonawcą. Nie mogłem odmówić takiej poufałej posługi, gdy przychodzi z Warszawy rozkaz, aby mnie jednego natychmiast do tamecznej śledczej komisyi dostawić!

Poczciwy Kowalew posyła wnet po mnie, a ze zmieszanej, zmartwionej miny jego widzę, że ma mi jakąś fatalną powiedzieć wiadomość! Jakoż oznajmuje o odebranym rozkazie i dodaje, że Leib kozak warszawski, co go przywiózł, nagle zachorował i umarł a on gubernator zmuszony mię ze swoim czynownikiem natychmiast do Warszawy wysłać! uprzedza mnie więc o kilka godzin przed aresztowaniem mojem w mieszkaniu i opieczętowaniu papierów. Podziękowałem za tę jego dobroć, zaręczając, że nic nie mam kompromitującego ale prosiłem, żeby złożony u mnie testament pani Charlęskiej pozwolił mi z papierów wyjąć, wyrażając przy tem stąd wynikające żądanie, ażeby mię w nocy a nie w dzień aresztować kazał, zważając na stan niebezpieczny tej pani,

której moje porwanie równą obawą o męża by napełniło w chwili grożącej przeprawy.

Kowalewa rozum był cały w sercu, dlatego to wszystko pojął i zalecił nawet, żebym w tym dniu do północy (o której miała do mnie policja zawitać) w niczem trybu życia nie zmieniał. Wzmiankuję tę okoliczność gdyż ona szczególnie się przyczyniła z jednej strony do prędszego uwolnienia mię z więzienia warszawskiego, z drugiej, do szczególnego obrażenia na siebie w. księcia Konstantego i moskiewskiej jego kliki, co mi potem siedm lat opieki (czy aresztu) sekretnej na wsi w majątku moim przyspożyło!

Mieszkał w Kijowie dawny oficer polski (officier d'ordonnance) przy Davoutscie, kolega wojskowy Artura Potockiego, p. Kajetan Swiejkowski; spotykam go właśnie na ulicy, a on krzyczy z daleka „Dziś u mnie obiad! tylko co przyjechał z Petersburga adjutant Worończowa, młody hr. Piotr Buturlin; będzie też u mnie na obiedzie i ciekawe usłyszymy wiadomości, gdyż on w sam dzień egzekucyj wyjechał — mrowie po mnie przeszło na te słowa, wiedząc, że tejże nocy mam być na niepewną przyszłość do Warszawy wysłany, ale po chwili zastanowienia, uspokoiłem się wkrótce,

wierząc bowiem silnie w miłosierdzie Opatrzności, pomyślałem zaraz, że ta wiadomość może mi nawet być bardzo pomocną w śmiałej obronie z jaką będę mógł wystąpić przed śledczą komisją, gdyby mię znowu badano oto co w Petersburgu. Do głowy wszakże przyjść mi nie mogło, że ów zgubiony worek z pieczęcią jeszcze komisji petersburskiej, która go przezierała, zawierał w sobie dowód nowego politycznego kryminału, o który mię badać mieli w Warszawie.

A jednak tak właśnie było!

Pomiędzy papierami zabranymi z różnych szaf i szuflad, znajdowały się, jak mówiłem i patenta moje massonskie. Jakim sposobem zaplątał się wśród nich żartobliwy mistyfikacyjny pewien patent przeznaczony dla jakiegoś individuum z któregośmy chcieli zażartować, tego dotąd nie pojmuję — Gustaw Małachowski (późniejszy minister Oświecenia podczas rządu rewolucyjnego) wesoły wówczas i dowcipny młody człowiek, był tego patentu autorem. Lecz, co dziwniejsza to, że ów patent, ozdobiony udanemi podpisami znaczniejszych zagranicznych dyplomatów akredytowanych wtedy w Petersburgu, nie wpadł zaraz w oczy komisyi śledczej petersburskiej. Rzecz

byłaby się odrazu wyjaśniła a jabym może uszedł powtórnego więzienia?

Dopiero rewizja Mużyka a następnie gubernatora, straszliwy ów patent na jaw wydobyła, tak że komisja widząc jakiś nowy nieznany dowód politycznych moich zamachów, zmuszoną się widziała przekazać komisyi Warszawskiej, wykrycie tej niespodzianej tajemnicy?

Tejże samej nocy, wywiózł mię z Kijowa dodany przez gubernatora czynownik Danielewski, Małorosjanin, ludzki i dobry człowiek.

W podróży miałem czas rozważyć, że ten szczególny wypadek, ażeby właśnie w dzień wypełnienia sądu w stolicy wyjechał młody pędzący oficerek, którego niewinną ambicją było prześcignąć feldjegrów czyli rządowych kurjerów, mógł to sprawić, iż wiadomość o śmierci główniejszych przewodników zamachu, pierwej do Kijowa jak do Warszawy, przyszła powtóre, że w Warszawie, sądząc z daty wyprawienia mojego z Kijowa, domyślać się nie mogą, że ja już o egzekucyi Petersburskiej wiedzieć coś mogłem? Myśl ta dodała mi otuchy i postanowiłem domagać się śmiało o naoczne stawienie z nieboszczykami, gdyby mię ich jakoby zeznaniami plątać chcieli w ko-

misyi, czem bym jeszcze bardziej niewinności mojej dowiódł.

Z dobrym więc animuszem do nowego jechałem więzienia; nim jednak szczegóły mnie tyczące się opisze, podam szkic ogólny składu komisyi śledczej warszawskiej.

Prezesem komisyi był ordynat Stanisław hrabia Zamojski, prezes senatu, człowiek dobry ale pozoru zimnego i słabego charakteru.*) — Obok niego kilku członków godnych i dobrych

*) Kto go widział w skromnej może w zbyt wielkiej układności w stosunkach towarzyskich czy z Wielkim księciem Konstantym czy z Nowosilcowem, mógłby łatwo osądzić go jak ja człowiekiem słabego charakteru. Późniejsze atoli z pewnych źródeł wyczerpane wiadomości, każą mi sprostować własne poprzednie zdanie, takowe bowiem wzrosło z uczucia niesmaku jakiego doznawałem, widząc burmistrzowanie najemnika obok gospodarza przy mojej indagacyi w komisyi śledczej. Zamoyski ordynat przy formach potulnych był owszem mocnej woli człowiekiem; w zarządzie domowym oskarżano go nawet o samowładztwo. Jako rozsądny konserwator, nie mógł zrazu dzielić porywu młodych ludzi, mogącego nieobrachowane na kraj sprowadzić klęski! Bo rewolucya belwederska nigdyby się przemienić tak prędko nie mogła w objaw woli narodowej bez osobliwszego Wielkiego księcia tchórzostwa. Przestrzegał jednak Zamoyski ciągle i zaraz po sądzie sejmowym cesarza Mikołaja, że jeżeli nie ukróci władzy Wielkiego księcia, a nie zmieni Nowosilcowa, kraj ten musi dojść do wybuchu oburzenia największego; kiedy w przeciwnym razie, on (Zamoyski) głową swoją za jego wierność cesarzowi ręczy! Nie usłuchano go. Obok wszystkich bezprawi władzy wykonawczej, Zamoyski (prezes senatu) wierzył i chciał wierzyć w prawość konstytucyi królestwa kongresowego, a wykroczenia władzy przeciw niej, brał za przeminąć winne nadużycia. Tak, kiedy w sprawie związku patryotycznego

jak Walenty i Ignacy Sobolewscy do których się łączyli ludzie znani z nikczemnej służbistości jak generałowie Rożniecki i Rautenstrauch i t. d.

Najdokuczliwszym zaś i najzawziętszym wrogiem naszym, przechodzącym w niegodziwości samego Czernyszewa, bo miał nierównie więcej rozumu od niego, był ów sławny Nowosilcow, co nam tyle klęsk i szkody sprawił! jako komisarz cesarski przy rządzie niby konstytucyjnym królestwa, siedział obok pre-

mianowano go prezesem komisyi śledczej, opierał się długo przyjęciu tego stanowiska; zmuszony atoli przez nalegania swoich do przyjęcia tej prezydencyi, starał się o ile można tępić zaostrzone zęby i pazury wrogów naszych, przy wszelkiej na oko dla nich powolności i nie jeden więzień szlachetnego jego współczucia, a stąd i ulgi doświadczył. Gdy powstanie wybuchło, ordynat był na wsi; uwiadomiony przez syna Władysława o tem co się dzieje, niemogąc z jednej strony iść za ruchem rewolucyjnym, bo królowi za wierność ręczył, niechcąc łączyć się ze stroną przeciwną, to jest z Wielkim księciem, postanowił czekać na granicy u Władysława Branickiego; wysłał nawet odezwę do senatu ofiarując swoją medyacyą z Mikołajem, jeżeliby go do tego chciano użyć, ale już w Warszawie rząd narodowy był zorganizowany. Wtedy wysłany po niego cesarski feldjeger zawiózł go do Petersburga, gdzie chociaż mianowano go członkiem rady państwa rosyjskiego, jako i innych senatorów królestwa będących przypadkowo w naszych prowincyach (t. j. po za królestwem), był tam raczej więźniem, zakładnikiem jak urzędnikiem; cesarzowi przy pierwszej rozmowie o dawniejszych swoich przestrogach przypomniał i zaklinał o wspaniałomyślność. Syn zaś jego Konstanty pułk polski sztyftował i bratu swemu Władysławowi formowanie onego polecił.

zesa Zamojskiego. Ale prezes był niemy a wszystkie badania zdawały się szczególnem Nowosilcowa zajęciem.

Gdy przyszła na mnie kolej, Nowosilcow odzywa się półgłosem, tak jednak, abym usłyszał: „c'est donc le sac a papiers!“ Była w tem już myśl złośliwa, jakoż kazał mi natychmiast opowiadać historję mego sac a papiers czyli zgubionego worka z papierami. Z początku rozmowa była przeplatana śmiechem, tak indagujących jako i oskarzonego sumiennie, nie mogli taić sobie ci panowie, że mistyfikacja była dziś dla nich, ale czy w skutek danych rozkazów, czy korzystając z okazyi mego uwięzienia, zaczęli mię badać o stosunkach jakie miałem z obydwoma patrjotycznymi związkami?

Na to odpowiedziałem „że tłómacząc się już przed komisją cesarską i otrzymawszy od niej patent niewinności, nie podobna abym co nowego mógł królewskiej komisyi o sobie powiedzieć? a zwracając się do Zamojskiego, rzekłem:

„Pan hrabia musisz mieć przekonanie, że wypadek zgubienia mego sac a papiers nie zasługuje na torturę nudów więzienia; przeto

raczysz mi dla rozrywki, przysłać kazać kilka książek ze swojej biblioteki?“

Zamojski zdawał się zdziwiony, przelękniony prawie tem, że więzień stanu, śmie pomijając Nowosilcowa, udawać się z czem bądź do niego directe i niepewnym głosem odparł: „Jakież to Panu przysłać mogę książki? a Nowosilców podchwycił:

„Envoyez à Monsieur l'ouvrage de Droz sur l'art d'être heureux“ A ja nato: „Le conseil est digne de votre esprit, Mr le Comte et surtout de votre coeur!!“

Widziałem, że się to moje znalezienie podobało większości — Zamoyski przysłał mi potem do więzienia książki, ale ich wybór trącił dziwną ostrożnością, bo to były podróże księdza Olivier po Turcyi.

Po kilku dniach odbieram pismienne zapytanie komisyi o stosunkach moich ze spiskowymi?

Odpowiedziałem na nie trochę za ostro, zauważając, że boleśnie jest i próżnym tłómaczyć się jeszcze z tych samych zarzutów, którym komisja cesarska i sam cesarz przemawiając do mnie, wiary nie dał, zakończyłem próśbą o naoczną konfrontacją z oskarzycie-

lami j a k o b y m o i m i, Murawiewem, Pestelem Bestużewem, którzy (PP. śledczym jako i mnie wiadomo było) w tej chwili już nieżyli!!

Komisja postanowiła uwolnić mnie natychmiast; ale W. książe Konstanty obrażony tonem zuchwałym z jakim dawałem do poznania, że z wyższej instancyi zstępować do niższej po sprawiedliwość, jest niesłusznem, kazał mię jeszcze parę tygodni dłużej w więzieniu zatrzymać.

Karmelity i drugie więzienia tak były jeszcze zapełnione, że mnie osadzono w jakichś k o s z a r a c h, które dawniej nazywano p r u s k i e m i.

Ciupka moja znajdowała się na drugiem piętrze, ale na nieszczęście wystawiona na południe i w Lipcu? to więc było moje *sotto i piombi*, a do tego okna kredą na zewnątrz zamazane, przepuszczały blask i gorąco, lecz nic widzieć nie pozwalały! Za co pomyślałem sobie, tyle r a f i n a c y i w dokuczaniu więźniom p o s ą d z o n y m dopiero, a n i e o s ą d z o n y m i niby n i e k a r a n y m?

Rządom jakimbądź trudniej jeszcze przejąć się prawami m i ł o ś c i jak pojedyńczym ludziom!... a stąd smutna ogarnęła mię myśl filozoficzna, że jeszcze dużo upłynie czasu, nim

prawdziwy chrześcianizm owładnie rządy tego świata, chociaż zachodnia część Europy jest w pewnym postępie!

Jeżeli w więzieniu petersburskiem miałem zabawną scenę z golibrodą sierżantem, pocieszniejszą jeszcze rozmowę miałem z dozorcą warszawskiego więzienia. W godzinę po osadzeniu mię w niem, przychodzi jakaś figura w surducie oficerskim, ale bez szlif, to jest w negliżu, jak to zowią eleganci, oświadcza mi, że jest moim d o z o r c ą i pyta:

— Kak wasza familja?

— Kiedy pan jesteś moim dozorcą, to panu moje nazwisko musiano powiedzieć!

— Ale ja go radbym dokładniej usłyszeć.

Na to powiedziawszy mu imię i nazwisko moje, pytam nawzajem o godność jego.

On na to napuszywszy się dość smiesznie, rzecze:

— Czy pan gazet nię czytałeś?

— Wyznaję że nie dano mi do tego sposobnego czasu, włócząc z więzienia do więzienia.

— Moje imię znane Europie.

Zaintrygował mię bardzo ten Napoleon, Wellington czy Metternich, ale w tej fizjonomji

tak pospolitej trudno mi było wyśledzić jakiebądź powinowactwo z imionami znanemi w Europie.

— Czy pan znałeś Küchelbeckera?

— Słyszałem o nim.

— A wiesz kto go poznał i schwytał?

— Nie wiem.

— To ja, jestem Georgiew — i zostałem za to oficerem.

Tak mi się zalecił mój nowy dozorca, którego grubiańska szczerota wielce mnie nieraz bawiła.

Pewnego dnia, już po mojem stawieniu się przed komisyą, Georgiew z wesołą miną przychodzi do mnie, pozdrawiając mnie temi słowy:

„Wy nie takoj widno maszennik, kakim was zdieś prywieźli? Wam pozwolono gulat!“ Co znaczy: pan widać nie taki zbrodzień, jakim go tu przywieziono? panu dozwolony jest spacer.

Nie uważając na komplement, pytam go skwapliwie:

— W jakim ogrodzie? Saskim, czy Krasińskich?

On na to: „Niet, izwiniete — po kalidora.“ (Nie, wybacz pan — po korytarzu).“

Wolność więc przechadzania się parę godzin po korytarzu tak wpłynęła na zmianę opinii o mnie poczciwego Gieorgiewa, to dosyć charakterystyczne!

We cztery tygodnie po moim pierwszem stawieniu się w komisyi, przyjeżdża plac-major Aksamitowski z uwiadomieniem, że już tego wieczora będę wolnym! i że tylko mam z nim pojechać do generała Rautenstraucha dla dopełnienia pewnych formalności. O trzeciej po południu zajeżdża też odkrytym pojazdem ze stajni królewskiej; jedziemy przez całe miasto do willi tego wysokiego urzędnika, który wszakże dla mnie był bardzo grzecznym. Przejeżdżając przez główniejsze ulice Warszawy, spostrzegam ogromne afisze, zapowiadające na tenże wieczór operę Webera: „Wolny strzelec,“ ulubioną moją muzykę; ciekawy jak ona brzmi po polsku, postanawiam sobie korzystać z okazyi i być wieczorem w teatrze.

Generał Rautenstrauch wyszedł, trzymając jakiś papier i powinszowawszy uwolnienia zadekretowanego na wczorajszej sesyi komisyi.

„Masz tu pan, dodał, podpisać mały cyrografik, poczem dopiero będziesz mógł ostatecznie opuścić więzienie.“

Ten mały *cyrografik* zawierał *przyrzeczenie*, nie opowiadania nikomu o co mnie w komisyi badano; przy tem, że o wszystkiem, o czem bym kiedy mógł się dowiedzieć, coby rządowi było przeciwnem, natychmiast *doniosę*; zgoła, że będę honorowym *szpiegiem*.

Pytam generała, czy nie mógłbym się od podobnego obowiązku uwolnić?

Żadną miarą, odpowiedział; zresztą jest to *forma*, o którą Wielki książę dba szczególniej i bez której nic pana z więzienia nie uwolni.

— A jak podpiszę, kiedy będę wolny? — spytałem.

— Za dwie lub trzy godziny. — Podpisałem cyrograf.

Odwozi mię Aksamitowski do mojej ciupy, a ja liczę godziny i minuty, aby się na teatr wybrać. Siódma wybiła, nikt nie przyjechał mnie oswobodzić; przepadła uwertura, a taka piękna! pomyślałem. Ale może jeszcze drugiego aktu coś zachwycę, gdzie się owe zaczarowane kule topią? bije ósma, nikt nie zajrzał!... tu mi się łzy zakręciły, ale na dobre jakbym miał lat ośm!... a wtedy już inna myśl

nastała! Co to za dziwne i ułomne stworzenie ten człowiek! W kazamatach, obok Murawiewa i Bestużewa; których los tak był groźny, niedbałem o nic! a tu mała przeciwność wprawia mię w rospacz.

Układam sobie nareszcie plan przeniesienia się do księcia Ksawerego Lubeckiego, z którym byłem w tak bliskiem pokrewieństwie i sądziłem, że będę mógł przynajmniej kilka tygodni przepędzić swobodnie w Warszawie, wśród krewnych i przyjaciół. Inaczej się stało, gdy wszakże jutro i dzień następny mijał, a więzienia nikt nie otwierał, uspokoiłem się wtedy zupełnie, znowu woli Bożej a nie ludzkiej oddany, przysposabiałem już myśl do kilkoletniego zamknięcia, gdy wieczorem dnia drugiego, ten sam wstrętny plac-major przybył i kazał mi się w drogę wybierać!

Zawiózł mię naprzód do placu, gdzie powóz i rzeczy moje zastałem, oraz służącego Lubelckich, którzy o potrzebach podróżnych przezornie pomyśleli.

Dodany oficer policyjny wręczył mi dwa urzędowe pakiety do gubernatora kijowskiego adresowane, które jak się potem pokazało, zawierały tylko te słowa:

W pierwszym: „Hrabiego Olizara i jego papiery odebrano.“

W drugim: „Hrabia Olizar i jego papiery jako niepotrzebne, odsyłają się!“

Komentarza na ten sposób traktowania ludzi w XIX. wieku i w kraju niby konstytucyjnym, zdaje się nie potrzeba!

Podróż litewska.

Ulegając niepohamowanej żądzy syna mojego zakosztowania czynnej wojaczki w nietrwałych zapasach rządu moskiewskiego z rozmaitemi pokoleniami wolnych ludów wyżyn Kaukazu, zezwolić musiałem na gorączkowe popędy rozognionej młodości. Po odbytej kampanii na Wschodzie, Bóg mi go zdrowo powrócił z Kaukazu, gdzie waleczności złożył dowody i do krzyża przedstawiony, przybył w objęcia moje.

Sądziłem, że nastąpiła pora, w której o przyszłości jego dalszej w szczęściu domowem pomyśleć wypadało; dla rozwinięcia zalet obywatelskich, cnót i przymiotów społecznych do tego zawczasu usłać mu drogę. Stosunki familijne z kilkoma rodzinami na Litwie, natchnęły mi życzenie, szukania w tej krainie cnót, świętych zasług i obyczajów, związków dla jedynaka mojego.

Taki cel i nadzieje spowodowały podróż moją z synem do Wilna, tego ogniska gorącej wiary, świętych uczuć narodowych i heroicznych poświęceń, których objawy płynące z wiekami w nieprzerwanych wspólnych dążeniach, dziś jeszcze zachowują swoje piętno i formy.

Z listów.

Podróży naszej nie towarzyszyły lazurowe nieba a zatem stan dróg niepomyślny, niedozwolił nam pierwsze wrażenie kochanej ziemi litewskiej ujrzeć w najlepszem świetle. Piaski i lasy sosnowe więcej od naszych poniszczone, nie miłe widoki przed oczy nasze nasuwały, przy padającym śniegu, którego obfity nawały zimowe jeszcze nie znikły. Zjazd spodziewany znaczniejszych obywateli na kontrakty do Wilna spóźniony.

Wszystkich zajmuje mający się dopełnić dział majątku Tyzenhausów, między Konstantym z Postaw, a synowicami jego, trzema córkami zmarłego jego brata Rudolfa, wydane są za Uruskiego, druga za Augusta Zamoyskiego, trzecia za Konstantym Potockim. Trzej zięciowie stawią się dla rozstrzygnięcia tej sprawy, gdzie idzie o 11 milionów, tak w dobrach jak w kapitałach. O wiele jeszcze przenosi znaczenie fortuny Tyszkiewiczów z Czerwonego; właściciel jej p. Benedykt Tyszkiewicz po stracie żony i syna ma trzy córki z których jedna na wydaniu, przeznacza każdej 6 milionów niezmiernie ponętnych dla zięciów.

Brak dawnych znajomych ograniczył wizyty moje na p. Mirkowicz żony, nieobecnego w tej chwili jen. gub. Wileńskiego, p. Łopacińskiej (Moriconi). Rozkosz moja są te stare kościoły równie jak Łuckie podkopane ale stojące jeszcze. Co dzieńw innym bywam na mszy o 7mej, ale najczęściej na ulicy przed kaplicą Matki Boskiej Ostrobramskiej.

Obchodziliśmy tu świetne nabożeństwo Bożego Ciała. — Biskup Cywiński 70-letni starzec prowadził procesyą, w asystencyi kanoników purpuratów — kapituła bowiem tutejsza używa przywileju kardynalskiej barwy, od czasu jak Zygmunt August, skłaniając się bardzo do luteranizmu, wybierał się już do Nieświeża do Radziwiłłów, gdzie miał renegować wiarę swoją gdy uwiadomiony o tem biskup Wileń. z całą kapitułą w poutyfikalnych ubiorach, zaszedł mu drogę i rzekł: Królu! nie tu jest droga zbawienia twojego!... a czułą wymową tyle dokazał, że król z niechęcony zawrócił się do zamku. W nagrodę i na pamiątkę takowego

czynu Stolica Apostolska przydała kanonikom Wileńskim kardynalską purpure.

Po Mszy św. i kazaniu ks. Szyszkiewicza, w którym usłyszeliśmy te piękne słowa: Oprowadźmy więc Boga naszego po ruinach kościołów naszych wznosząc mu coraz wspanialsze przybytki w sercach! Wystąpiła procesya w takim porządku: Naprzód 12 chorągwi cechów miejskich, 6 obrazów niesionych przez bractwa kobiece, gimnazjum i Instytut w mundurach, kilkudziesięciu zakonników w ornatach. Pod baldachimem niesionym przez 6 księży czy diaków w kapach litych. Biskup Cywiński w bogatych szatach niósł Przenajświętszy Sakrament podtrzymywany przez nas, Marszałków guberskich, wileńskiego i kijowskiego w asystencyi dwóch księży w kapach i dalmatykach. Obok baldachimu niesiono 12ści pochodni w latarniach złoconych, na złoconych drągach osadzonych, a przed biskupem szły dziatki ubrane za aniołki z koszami, rzucając kwiaty. Za baldachimem zaś do 40.000 ludzi. Wszystkie dzwony biły we wszystkich kościołach, nawet świeżo przez innych gospodarzy zajętych. Ołtarze bogato i pięknie przystrojone na kilkunastu gradusach wzniesione były. 1szy obok katedry, przed którym największy plac miasta

ludem był zapełniony, który jak w Rzymie w mgnieniu oka ukląkł cały podczas benedykcyi; 2gi ołtarz u św. Jana; 3ci dawniej w Ratuszu, ale z okazyi nowo utworzonej procesyi prawosławnej do św. Kaźmierza od dworca nasz ołtarz umieszczono przy blizkim wspaniałym domu ozdobionym statuą Sprawiedliwości i Pogonią; 4ty naprzeciw mieszkania biskupa.

Gdy staruszek (acz niezmiernie czerstwy jeszcze doszedł do czwartego ołtarza gdzie sam śpiewał Ewangielię św. Jana tak potem opadł na siłach, żeśmy go prawie już na rękach nieśli. Pogoda nadzwyczaj piękna towarzyszyła całemu nabożeństwu.

Procesya kościoła greckiego na cześć św. Mikołaja nowo urządzona, była jak powiadały osoby przytomne zupełnie wojskowa. Żołnierze nieśli chorągwie, żołnierze nieśli Ikony — Archimandryta z 4ma Bazylianami szybkim szedł marszem, za nimi kilkudziesięciu kupców, rzemieślników i przekupek, władze zaś wszystkie wojskowe i cywilne tego wyznania przyjechały w ślad za tą szybką procesyą, wprost do Cerkwi, powozami.

Tymczasem, po zakończeniu układów familijnych naszych milionerów, uposażeniem

trzech córek Rudolfa Tyzenhanza, nastąpił odjazd ogólny ale stosunki zawiązane z tylu zacnemi domami podały nam sposobność zwiedzenia części najpowabniejszej litewskiego kraju, odpowiadając, na miłe i gościnne zaprosiny nowo nabytych znajomości, odwiedzinami.

O 9 wiorst od Wilna, pani Łopacińska prowadząca w Wilnie dom bardzo nawiedzany, posiada Willę zwaną: Kojrany, której wdzięczne położenie, urząozenie, gnst i elegancya szczególnie zalecają. Składa się z rozmaitych rozrzuconych domków, gdzie gościnność właścicielki nic niepominęła, coby nawiedzającym pobyt uprzyjemnić mogło — jest kaplica, nawet teatrzyk towarzyski. Wieczorem gra orkiestra. Wytworność ogólna uderza, ale szczera gościnność bardziej przywabia.

P. Jen. Gub. Mirkowicz z żoną przybyli zaproszeni na obiad. Wysoki dygnitarz raczył zaprosić mnie na otworzenie nowej gubernji w Kownie, mającej odbyć się wkrótce.

Kowno. Miło mi ztąd położyć datę na liście, i powinszować sobie muszę, że wypadki przywiodły mnie do zwiedzenia tej okolicy.

Szczęśliwym trafem, podczas zjazdu tak licznego że wiele miejscowych prawie obozować muszą, dostałem nadspodziewanie kwaterę wygodną, w kollegium niegdyś Jezuickiem. Przytem potrzeba jeszcze szczęścia ażeby pokój w którym mieszkam, framuga w której spoczywam, były te w których mieszkał, myślał, czuł i pisał wieszcz Niemna, wieszcz domowej rzeki!

Z okien moich widzę brzeg Polski, górzysty, pięknemi drzewy okryty, tudzież murowane domy Aleksoty, kilkanaście u brzegu masztów, ruch innej cywilizacyi, to wszystko na szerokość Niemna odległe. Więcej jeszcze, na dziedzińcu Kollegiały stoi dotąd w całkowitości prawie murów swoich najokazalszy pomnik Litwy pogańskiej, bo świątynia Perkuna. Luboć architektura tych zabytków jest nader chrześciańska, wątpić nie można ażeby upór tradycyi miejscowej nie miał jakiejś słusznej podstawy do ocalenia w tem miejscu pamiątki, chociażby kilku cegiełek fundamentów Perkunowych? Co do mnie szczęśliwy jestem, że mi wiara zawsze więcej pociechy przynosi od najrozumniejszej analizy!

Zwiedziłem ujście Wilij do Niemna, tak nam znane z poetycznego opisu; rzecz istotnie zajmująca, że Litwa zna i ceni swego Homera; bo i na ulicy słychać wiersze opisowe tej lub

owej okolicy Niemna. Zwiedzając sławną dolinę, piłem mleko u młynarki, która o dolinie narcyzach i tulipanach tak rozprawiała jak może żadna salonowa literatka! Dolina należała do klasztoru OO. Karmelitów; dziś z klasztoru zrobiono szpital wojskowy, a grunt i młyn kazienny (rządpwy). Na przeciw wyjścia do tego dzikiego ogrodu w jodły, dęby i graby strojnego, ożywionego rzeczką Gerst-upią zwaną po litewsku (znaczącą wodę-ducha). Widać z przeciwnej strony Niemna ów pagórek na którym Napoleon stał przez kilka godzin, patrząc na przejście potężnej armji, która trzema kolumnami w granice Rosyi wkraczała. Tegoż dnia nocował w klasztorze karmelitów, ale nie ma kogo zapytać, w jakiej celi, i jaki dziś nieborak jęczy na tem miejscu, gdzie ów pan połowy świata, marzył rozkosznie o zawojowaniu drugiej? Ta znikomość sławy ludzkiej studzi nieco entuziazm.

Zwiedziłem Czerwony-dwór, zamek niegdyś Krzyżacki, dzisiaj wposiadaniu Tyszkiewiczów. Oszpecony trochę ale utrzymany, a właściciel jego p. Benedykt Tyszkiewicz, uprzejmy gospodarz, wielkim smutkiem jest znękany po stracie żony i syna, dla których piękne marmury pomnikowe z Włoch kosztownie sprowadza.

Tu jak wszędzie mi się to zdarza mnóstwo znajomych spotykam! Filipowicz i Wspomnienia łaskawe usposobiły dla mnie względy a w dolinie Gerst-upi, ktoś z nieznajomej kompanji złączył się z nami chcąc się ze mną poznajomić, nadmienił życzenia nowych wspomnień z okazyi zwiedzenia tej doliny!... pomyślałem w duchu pokory, gdzie ślad przejścia tędy Napoleona i miliona wojsk jego?

Gubernator Mirkowicz niezmiernie uprzejmy, zaprasza na każdy obiad lub wieczór i tam spotykam niespodzianie znajomych z dawniejszych czasów, przysłani tu są z Petersburga z każdego ministerjum po jednym egzemplarzu przedstawiciela; są to figury dosyć znaczne które powiększają obręb moich znajomości, a kto wie może się kiedyś przydadzą.

Na obiedzie był i stan duchowny, reprezentowany przez Archireja Litewskiego, odstępcę Siemaszkę z 4ma Archimandrytami, stare-prawosławnymi i dwóch przeorów zasztatnych kowieńskich klasztorów Dominikański i Franciszkański. P. Archirej bardzo zielono wygląda, a takim go uszanowaniem otaczano, że kiedy on z gospodarzem wszedł do drugiego pokoju to nikt z obywateli nie chciał pójść za niemi. Siemaszko raczył kilka słów przemówić do na-

szych pokornych Rzeszów; niesłyszałem odpowiedzi, widziałem tylko z ich strony niski ukłon.

Dnia 1 Lipca nastąpiło owo solenne otwarcie Gubernii. Obywatele w mundurach i z Jen. Gubernatorem na czele w ordynku do Sobornej Cerkwi ex Jezuickim kościele, gdzie Siemiaszko czekał z celebrą; kazanie miał Archimandryta suski bo Archirej dla złej wymowy wstrzymywać się musi od publicznych przemówień. Po celebrze, na której kto mógł nie był, a w tym rzędzie i ja, poszła cała procesyp do Ratusza, gdzie Jen. Gubernator wkrótkiej czytanej przemowie wyjaśnił historyę przeszłych wielkości Kowna i nadzieje świetniejszych jeszcze przyszłych jego losów pod szczęśliwem panowaniem N. Pana, poczem nastąpiło kropienie wodą przez Siemiaszkę i święcenie pieczęci różnych juryzdykcyi, wręczone prezesom onych. Objad potem u Gubernatora cywilnego, a na placu przed oknami na stołach dwa woły pieczone całkowite z wyzłacanymi rogami, bułki, chleby i wódka w beczkach dla pospólstwa. Rzeźnika, w ubiorach kucharskich w bieli, toporami woły płatali a lud rzucał się na to i w oka mgnieniu woły te rozebrali. Wieczór bal dawał Jen. Gubernator w złym dość humorze, że nikogo z obywatelskich dam nowej gubernji nie było.

Po odjeździe z Kowna pierwszy nocleg wypadł nam w Smorgoniach; minąwszy krwawosławną Oszmianę. Cała ta część Litwy pię kniejszą i weselszą mi się wydała, choć tak smutne do niej przywiązane wspomnienia. Podejmowani tam najgościnniejszem przyjęciem u Mieczysława Przeździeckiego, udaliśmy się do Ireneusza Ogińskiego w Zalesiu. Dom, urządzenie jego, komfort, ogród, kwiaty, to co najpiękniejszego widziałem na Litwie, a serdeczne przyjęcie obojga księstwa i wdzięczna przyjaźń samej, miłe pamiątki wznosiły. Nie mogłem ominąć Dziewiętni pobytu Szanownego Autora „Obrazów Litewskich — ztamtąd odwidziłem Sulistrowskich w Wiszniewie, wszędzie gościnność serdeczna, miłe wiejskie domy, świeże ogrody, cień lip starych, które zdają się być piętnem każdego poczciwej Litwy ogrodu.

Przyszła kolej na Dobrowlany Günthera które wyglądają na pańską rezydencyę. Dom piątrowy, od ogrodu ma facjatę wzniesioną z drugiem piątrem, balkon na arkadach włoskich i dolną balustradą w pół-kole z jodeł strzyżonych jak w francuskich ogrodach. Wegetacya wspaniała, kanały, mosty murowane i pełno pamiątkowych pomników ogród zapeł-

niają. Piękna w samym domu kaplica w kosztowne sprzęty i zbroje krzyżackie zdolna, ma okna starożytne ze szkła malowanego. Co dzień msza św. a wieczór dom cały wieczorną modlitwę i Litanję do Matki Najświętszej odmawia; patryjarchalne to i nader tkliwe.

Ostatni nasz przystanek był w Postawach u Konstantego Tyrenhausa, którego przyjęcie było rozrzewniające, obok zwykłej jego oziębłości, tam w gronie familijnem przepędzone chwile zakończyły najmilej szereg obrazów na zawsze pamiętnych podróży tyle przyjemnej jak szczęśliwej.
